

Kobiety mej młodości

Fiedler Arkady



calibre 0.9.43

Arkady Fiedler

Kobiety mej młodości

Rzeczy wybrane

i

Wydawnictwo Poznańskie/Poznań 1989

Opracował graficznie Tadeusz Pietrzyk

Zdjęcia ze zbiorów autora

Š Copyright by Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989

ISBN 83-210-0863-1

Ś

Słowo wstępne

Kiedy kobieta pojawiła się pierwszy raz na stronicach książki Arkadego Fiedlera?

Było to chyba w wydanej w roku 1935 książce pt. Ryby piewajš w Ukajali, pierwszym bestsellerze tego nigdy nie sytego kochanka natury, zauroczonego niš i stale na nowo odkrywajšcego. Pojawiła się jako twór natury najpiękniejszy i najwdzięczniejszy, pocišgajšcy i fascynujšcy. Tš pierwszš była córka Metysa i Indianki Kampa, miała lat... nacie, na imię Dolores. Poza tym (zacytujmy wspominajšcego jš Autora) miała jasnobršzowš cerę, wilgotne usta, miałe oczy, a pod jej kaftanikiem prężyły się zuchwale dojrzewajšce kształty kobiece. Był to typowy produkt tych stron, zrodzony na pograniczu puszczy i cywilizacji... Dziewczyna należała jeszcze do puszczy, która nie wypuciła jej ze swych objęć, lecz wiat cywilizacji juž zaszczepił w niej ogromnš ciekawość porywajšcej tęsknoty”.

Potem juž nieodzownie miały pojawiać się jej następczynie, w Kanadzie pachnšcej żywicš, w serii goršcych opowieci o Madagaskarze okrutnym czarodzieju”, w tahitańskich wspomnieniach. Po co zresztš wyliczać, wystarczy wziąć do ręki którškolwiek książkę Arkadego Fiedlera (no, może poza tymi specjalnie dla młodych czytelników napisanymi), by odkryć wdzięczny portrecik, melancholijnš czy autoironicznš wspominkę, romantyczne zwierzenie. Tak, nie bójmy się tego niemodnego, starowiecko brzmišcego określenia. Arkady Fiedler

był romantykiem, umiejścym kochać za każdym razem z takim samym temperamentem i oddaniem.

To co dotychczas wylaniało się spośród barwnych, pełnych dźwięków i zapachów opowieci o najdalszych kontynentach i egzotycznych wyspach, zyskało teraz rangę pełnego wyznania, sumy najoso-bistszych przeżyć i wspomnień, mających największą wartość. I jakże szczerych; oferowanych czytelnikowi z nie zwyczajną nad Wisłą i Wartą otwartością. Ale jak się rzekło kobieta i natura stopione są w twórczoci Arkadego Fiedlera w jedno przeżywaną z jednakową intensywnością. Jak chociażby w tym fragmencie:

Znam przecież inną puszcę, hen daleko na południu, nad Amazonką. Kocham ją i tęsknię do niej. Jest wspaniała, wybuchowa, tajemnicza, goręca jak piękna kobieta, jest przy tym pełna spazmów i zasadzek, zdradliwa, okrutna i zachłanna. Jak namiętna, zła kobieta puszcza nad Amazonką najpierw upaja, potem męczy i pożera. Człowiek boi się jej, a jednak tęskni...”

Czyż więc dziwić się można, kiedy przed naszymi oczami przesuwać się będzie korowód przywołany imionami Benaczehiny, Velomody, Kintany, Reri, Hutii, Pajpy... W każdej z nich Arkady Fiedler potrafił odkryć coś wyróżniającego, powiedzieć o każdej coś miłego. Chociaż nie wszystkie na to zasłużyły.

Ten bukiet egzotycznych kwiatów z dalekich dżungli i wysp przypomnianych na kartach tej książki, to tylko niektóre z kobiet występujących w życiu Autora. Bo są poród nich i te pierwsze, dziecięce, i młodzieńcze: towarzyska zabaw z podwórka, szkolna miłość (której imię o niewdzięczności męska Autor zapomniał), francuska wieniaczka Odette, przedmiot westchnień młodego Polaka w pruskim mundurze, siostra przyjaciela, Felka Szmyta Stefka, Wanda, Janka, goręca” i niezbyt wierna Andra... Z każdą z nich łączyło Arkadego Fiedlera uczucie głębsze lub przelotne, krótkotrwała fascynacja lub gwałtowna, niekiedy lepa miłość. Ale są we wspomnieniach i inne kobiety: te, w których kręgu się znalazł, z którymi się zaprzyjaśnił, które darzył uczuciem głębokim i szczególnym. A więc ekscentryczna Bela Czajka, bohaterka ruchu oporu Krystyna Skarbek, tancerka Lili Badmajew, poznańska disease’a” Tola Korian...

Ukazując milionom czytelników dzieje swych młodzieńczych romansów, stworzył Arkady Fiedler tym samym pierwszą i jedyną

w bogatym swym dorobku pisarskim... ksiżkę o miłoci*. Ukazuje się ona w czasie, kiedy pisanie na ten temat jak gdyby wyszło z mody, jakby literatów przestało interesować to najpiękniejsze ludzkie uczucie. Pisarz ukazuje nam tej miłoci różne odcienie. Prezentuje nam więc miłość naiwną i sentymentalną, zmysłową i niedobrą, gorczą i frywolnie przelotną. Zwierając się, a więc na podstawie własnych przeżyć, przekonuje nas, czym może być uczucie łączące mężczyznę i kobietę i ile może mieć odmian.

Prawdą jest, że trudno znaleźć w tej dziedzinie i powiedzieć na ten temat co, czego jeszcze w literaturze nie było. Myślę jednak, że Arkademu Fiedlerowi udało się przekazać co własnego. I nie ma w tym tajemnicy, że pisał o sobie, o swej niepowtarzalnej osobowości, o tym, co przeżył i czego sam dowiadczył. A więc tak samo jak we wszystkich poprzednich ksiżkach, którymi urzekł czytelników Polski, Europy, Ameryki i Azji.

Udajmy się zatem z autorem w kolejną, pasjonującą podróż. W najbardziej egzotyczną krainę ludzkich uczuć i ich meandrów

Zdzisław Beryt

Koncepcja ksiżki, przygotowanej w podobny sposób jak Motyle mego życia oraz Ziurzędta mego życia, powstała w zamyle autorskim i została zrealizowana przez A. Fiedlera pod koniec jego życia.

O miłoci i o szkole

W lecie 1911 roku, gdy miałem szesnacie lat, przyszło na mnie, co przyjąć musiało: zadurzyłem się po uszy. Częciowo winę ponosił warszawski dziennikarz, który przed mniej więcej rokiem brał udział w posiedzeniu redakcyjnym w mieszkaniu mego ojca; był wirtuozem polskiego słowa i olniewał mnie swą językową swadą. Więc gdy na słonecznej plaży w Sopocie, w lipcu 1911 roku, poznałem wesołe a pełne wdzięku grono kilkorga młodych warszawiaków w moim wieku lub nieco starszych, kipiących zuchwałymi radociami straciłem głowę. Całą duszą zbratałem się z uroczyście fajnym; z miłym Zdzitowieckim (zapomniałem jego imienia) byłem potem przez długie lata w kontakcie, a w owej dziewczynie zakochałem się piorunem i na zabój.

Nie pamiętam jej słodkiego oczywiście imienia ani nazwiska, ale cholerny Amor strzelił do mnie celniej, niż uczyniłby to dziki Indianin. Nie dotknąłem jej ani palcem, nie pocałowałem jej boskich ust, nawet wstąpię, czy jej co napomknąłem o swym afekcie, ale łupnęło mnie zdrowo. Łupnęło mnie tak dokumentnie, że w następnych miesiącach będąc już w Poznaniu, chodziłem jak oczadziały i na w. Michała przyniosłem złe wiadectwo, a w następnym roku, na Wielkanoc nie dostałem promocji do wyższej prymy. Przepadłem z historii i chemii. mieszne: nie dopisała pamięć.

Niezależnie od straty chesnego, które nie było bagatelne w niemieckiej wyższej uczelni realnej, taki szkolny dramat w owe czasy

zawsze spadał na rodzinę jak ciężki cios moralny. Wszyscy się tym ogromnie przejmowali. Moją własną zgrzyotę pogłębiał jeszcze widok zmartwionych rodziców; zwłaszcza ojciec nie mógł się otrząsnąć ze strapienia przez parę dni. W duszy, w poczuciu winy, wyłem z bólei. Dopiero około gwiazdki ustąpiło sopockie zadurzenie, ale chociaż zmysł i rozum powracał do równowagi, tęsknota za tym, co było w lecie, wciąż mnie trawiła. Znamienne, że w tych miesiącach Sienkiewiczowska Trylogia niosła mi ogromną ulgę, i to z osobliwych przyczyn. Namiętnie czytałem ją, bo jej bohaterowie dziwnie przypominali mi uroczych warszawiaków z plaży sopockiej, a przede wszystkim moją wybrankę, i to mi sprawiało rzewną, niewysłowioną pociechę. Ale po trzech kwartałach wszystko się we mnie wygładziło i minął pierwszy w życiu żar uczniowskiego szału.

Stefka

Ś

Stefka, o dwa lata młodsza ode mnie, siostra mego przyjaciela, a córka zaprzyjanej z naszym domem rodziny, była dla mnie istotnie bliższą, jak gdyby siostrą. I tak też zawsze ją traktowałem. Od czasów dzieciństwa bawiliśmy się razem, szamotali, gniewali i znów godzili; po prostu ani fizycznie, ani psychicznie nie spostrzegłem w niej ładnej dziewczyny i patrzyłem na nią jedynie jak na siostrę. Była dla mnie tylko miłą Stefką.

Kiedy, mając prawdopodobnie siedemnaście lat, słyszałem jak matka z podziwem opowiadała wśród znajomych o niezwykłej urodzie Stefki. Gdy niebawem kto inny zachwycił się przy mnie pięknocią dziewczyny, zdziwiłem się. Przy najbliższej sposobności, zaciekawiony, przyjrzałem się dokładniej pannicy i stwierdziłem, że, owszem, i matka, i ten kto inny nie byli dalecy od prawdy.

Stefka miała wtedy chyba piętnaście lat, figurę zgrabną, już mocno dziewczęcą, włosy bujne, prawie kucze, twarz licznie owalną, usta pełne, oczy wyjątkowo głębokie, ciemne, o długich rzęsach. Później, po kilku latach, ujrzałem podobne rzęsy u młodej Francuzki Odette, ale będę na nie inaczej patrzył, niż patrzyłem na rzęsy piętnastoletniej Stefki. Jej oczy trzeba to przyznać były liczne, wyrażały ciepło, jakie ogromne zaufanie do wiata i głębię, jeli nie

mśdroci, to na pewno uczucia. Nie mśdroci, nie sprytu stwierdzałem wtedy w duchu z żartobliwym przekśsem, rad, że wreszcie znalazłem w Stefce co ujemnego.

Do tego dochodziła jeszcze łagodność usposobienia. Dziewczyna była nad wyraz subtelna, aksamitna, jak gdyby wciśz niepewna siebie, i te cechy, tak rozbrajające, podzielało w równej mierze jej rodzeństwo, brat i dwie młodsze siostry. Jakże z innej gliny byłem ja, skory do gwałtownych miechów i wybuchów temperamentu.

Owe wszystkie dziewczęce walory Stefki, widziane i przyjmowane na chłодно, okiem rzeczowego obserwatora, nie robiły na mnie najmniejszego wrażenia. Nie byłem już obojętny na sprawy seksu, niły mi się po nocach namiętne zjawy, ale na Stefkę spoglśdałem jak na półsiostrę. Powtarzam: nie widziałem w niej dziewczyny, a tym mniej tak ładnej dziewczyny.

Hej, Stefka! odezwałem się do niej wesoło, z sarkazmem. Powiadajś, że taka ładna. Czy to prawda?

Delikatny, bezbarwny umiech na jej ustach i w oczach:

Nie wiem!

A kto ma wiedzieć? palnśłem zaczepnie.

Tym razem zamigotały ucieszne błyski w jej renicach:

Może ty?...

Głupia, Stefko! uciśłem.

W następnych latach rzadziej jś widywałem.

W lipcu 1914 roku, po powrocie z Krakowa, odwiedziłem jej brata i jś również spotkałem. Siedemnastolatka jeszcze bardziej wyprzystoj-niała, wszakże nie tracśc swej dawnej szlachetnej niemiałoci. Była już bardzo kobieca, prowokujśco ponętna, a ja chyba wciekły na siebie: wciśz widziałem w niej tylko nasze dziecięce lata, paraliżowany idiotycznym kompleksem siostrzanej wizji. Nie uznawałem jej urody. A potem ugrzęzłem w niemieckim wojsku.

W lutym 1917 roku dostałem dwa tygodnie urlopu. Zaraz na wstępie matka oznajmiła mi, że Stefka dopytywała się o mnie.

Czego chciała? burknśłem.

Widzieć się z tobś powiedziała matka. Zajrzyj do nich przy sposobnoci...

Tak się jako złożyło nieszczęśliwie, że podczas urlopu nie miałem wiele czasu, a Stefkę spotkałem przypadkowo w tramwaju dopiero na trzy dni przed wyjazdem z Poznania. Na dworze było zimno, złe wiatry

hulały, dokuczała zdechła pogoda i ziśb przenikał przez mundur, więc ja, podgłodniały od miesięcy, mizernie się czułem, jak z krzyża zdjęty. Do tego bliski koniec urlopu nie przysparzał radoci. Ale powitałem Stefkę z serdecznościś, na jakś mnie stać było w takim nastroju, i tłumaczyłem się:

Wybacz, urlop tak szybko mi zleciał... Czy co ważnego zaszło?...

Ona osobliwie spojrzała na mnie i jeli co odpowiedziała, tochyba oczami: zaszły mgiełkś i była w nich jak gdyby proba czy zakłopotanie, jak to zwykle u Stefki. Oniemielona, zarumieniła się.

Co u ciebie? Co u was w domu? żywo się dopytywałem. Chciała co odpowiedzieć, ale nie wiedziała jak. Była wciśż

zmieszana.

Czy to co tak bardzo ważnego? dopominałem się. Spojrzała znowu i pokiwała główkś, że tak.

. Artku!... szepnęła i zaraz urwała, spłoszona, jak gdyby jej dech zamarł.

Co tobie, Stefko! Gadajże! zaczęło nachodzić mnie zniecierpliwienie, bo w tramwaju było kaducznie zimno. Czy mogę ci pomóc w czym?

Na pewno! ledwie wyszło jej z ust. Artku!... Podniosła na mnie proszśce spojrzenie i po chwili wyszemrała:

Artku, ja ciebie... Ja tobie muszę...

I nic więcej. Niech jś lichu z tś niemiałociś. Gdy usłyszała moje niecierpliwe sapnięcie, owładnśł niś gwałtowny lęk i Stefka, zwalczajśc swe zażenowanie, spojrzała mi mocno w oczy.

Artku, czy ty mnie lubisz? spytała znienacka. Pytanie, a jeszcze więcej wyraz jej twarzy, zmieszały mnie.

Zawsze ciebie lubiłem, wiesz o tym przecież! odrzekłem z umiechem.

Nie, Artku! Nie tak! Czy mnie bardzo mocno lubisz? nalegała, kładśc nacisk na słowo: bardzo, i przebijało z jej oczu tyle niezwykłego błagania, że się przeraziłem nie na żarty.

Chcę, żeby mnie bardzo polubił. Proszę!... zaklinała. Czyżby jaka histeria? Przeszył mnie niepokój. A jeli nie histeria,

to lęk, niedorzeczny i niezrozumiały lęk?

Artku, wysiśdmy! Porozmawiajmy! prosiła.

Na skutek zmarznięcia i chandry tak le się czułem, że nie chcia-

Jem tego dnia pozostawać dłużej ze Stefką, i umówiliśmy się na dzień następny. Następnego dnia nie poszedłem, nie było czasu. Jej niezwykle zachowanie się zbagatelizowałem jako kaprys dziewczęcej egzaltacji i postanowiłem pogawędzić z nią później, przy następnym urlopie. Niestety, los zrzędził inaczej: do rozmowy ze Stefką już nigdy nie doszło.

Gdy przeszło pół roku później wpadłem do Poznania, dowiedziałem się z przerażeniem o jej niedawnej mierci. Z opowiadań znajomych udało mi się odtworzyć szczegóły tragicznej historii. Na ponętną dziewczynę zagiął parol jeden z aktorów poznańskiej sceny, sekretarz Teatru Polskiego, kuty wyga w sprawach sercowych, a pies na cnotę niewieciś. Nie ustawał w zabiegach, wdzięczył się, robił słodkie oczy, nie zrażał się odmową, co zrazu pochlebiało młodej dziewczynie. W tym okresie zjawiłem się w Poznaniu na urlopie i Stefka, jak gdyby w przeczuciu czekającej ją tragedii, szukała u mnie pomocy. Dlatego tak nienaturalnie do mnie się odzywała. Chciała do mnie przyłgnąć i tym samym obronić się przed tamtym. Nie zrozumiałem jej próby i nie podałem jej ręki, nie znalazła u mnie pomocy: pozostała sama.

Co później nastąpiło, przykro obarcza moje sumienie, od czego nie uwolnię się na pewno do końca życia. Po moim odjeździe aktor pozostał na polu i wykorzystał swą szansę. Nie był pedantem odpowiedzialności, był ptakiem-letkiewiczem, który sieje, lecz nie zbiera. Gdy Stefka zaszła w ciążę, biedna i oszołomiona, nikt jej nie pomógł. Nie miała innego wyjścia jak pójść do młódej” na ródce, by przerwała ciążę. Młódra”, niezręczna w swych zabiegach, jednocześnie przerwała pasmo jej żywota.

Oto moje żalosne przeżycie.

Odette o zapachu mleka

Od chwili wybuchu pierwszej wojny wiatowej dostałem się w bezlitosne szpony Czarnego Orła. On nie cackał się z rekrutami. Po niewielu tygodniach mordęgi wysłano mnie do Francji na front zachodni do kolumny amunicyjnej, dowożącej co kilka dni z małej stacji kolejowej amunicję do artylerii na froncie.

Te strony Ardenów obfitowały w lasy, a w nich jeszcze siedzieli

francuscy partyzanci, przed którymi mieliśmy się ciśnieć na baczności. Służba była teraz znośniejsza niż w poznańskich koszarach, ale za to dał mi się we znaki inny rodzaj udręki, straszliwe poczucie osamotnienia. Powodowali je moi towarzysze ze szwadronu. Była to zgraja niezmiernie prostackich bauerów z Dolnego Łęska, nieustannie siłujących się na grubiaństwo, zwłaszcza wobec słabszego, a za takiego mnie uważali od pierwszego dnia.

Przydzielono mi nędznego wierzchowca, zdobytego na Francuzach, ale ten nieszczęsny Rosynant był słaby w nogach i gdy szedł klusem, okrutnie się potykał. Ciśnieć chciał upadać, więc rozpaczliwie powstrzymywałem go cugłami i tak wzajemnie sobie pomagały dwie ofiary losu, on wojenny jeniec, ja też jakiej kategorii niewolnik.

Między jednym wypadem na front a drugim staliśmy kwaterś we wsi niedaleko dworca, a ja wraz z moją sekcją mieszkałem u bogatego wieniaka francuskiego. Ów człowiek, dowiedziawszy się potajemnie, że jestem Polakiem, okazał mi wiele przyjaźni i poprosił mnie, ażebym przebywał wolne od służby chwile w jego pokoju gocinym. Jakże mi to było potrzebne!

Natychmiast, jak głodny stwór na pustyni, rzuciłem się do pisania dalszego ciśnieć mych Prerii. Rozmyślenia o dalekim, rozległym kraju okazały się zbawczym antidotum na ordynarność mych towarzyszy. Zaczęłem otrząsać się z przygnębienia i wyprostowywać grzbiet: już nie byłem sam. Po wieczery mając godzinę lub dwie wolnego czasu, wymykałem się do zacisznego pokoju gospodarza i tu, przy wietle sta-jennej latarni, oddawałem się, znowu, po latach, dobroczynnej pasji. Pasji przebywania z serdecznymi przyjaciółmi, Mieczkiem i Olkiem, na ranczo polskich hodowców w Wyomingu, gdzie doznawaliśmy podniecających przygód. Powtarzam: zbawcze to było ródło i tak krzepiśce, że następnego dnia czułem się odporniejszy na wszelkie wulgarności prostaków.

Niemcy zaczęli mnie nagabywać podejrzliwie, dlaczego tak często zachodzę do pokoju gospodarza, przecież wroga, Francuza Zamknęłem im gęby uspokajającym wyjanieniem, że douczam się języka francuskiego, a gospodarz miał w swej izbie gocinnej biblioteczkę popularnych księżek.

Ach so! Das ist was anders! zgodzili się. Przez cały dzień cieszyłem się na wieczorną godzinę pisania, i gdy nadchodził czas, zasiadałem w izbie gospodarza jak do uroczej biesia-

dy. Znowu uwiadamałem sobie doniosły krok naprzód: już mi nie wystarczał opis samych przygód i sensacji, zacząłem pogłębiać psychikę mych bohaterów i smakować w różnorodności ich duchowego obliczś.

Czy Odette, córka gospodarza, przeszkadzała mi w pisaniu czy pomagała? Trudno to wyważyć. Przerywała, owszem, bo gdy wpadała do mnie, odkładałem ołówek i rozmawiałem z niś, ale jednocześnie rozjaniała ona pokój swym pięcym głosem i przyjaznym umiechem, który miał być zagadkowy. Chyba był zagadkowy, ale nade wszystko bardzo dziewczęcy. Po raz pierwszy w życiu zbliżyło się do mnie co, co tchnęło aurś kobiecoci i niosło słodkś zapowied doznań zmysłowych, i nie tylko zmysłowych. Gdy wieczorem rzuciłem się na legowisko do snu wśród żołnierzy, z przyjemnym zdziwieniem stwierdziłem, że myślę o Odette, i to z czułościś, jakiej dotychczas nie znałem. Było to intymniejsze uczucie, niż to, jakim darzyłem przed trzema laty warszawiankę z sopockiej plaży.

Odette była w moim wieku, ładna i zgrabna, i podobała mi się bardzo, bo ona chciała mi się podobać. Ale nie umiałem przebić się przez mur swej niemiałości i zażenowania. Ona na pewno zdobyła już dowiadczenie, ja dotśd nie. Ona więcej niż ja, niedojda, miała pewności siebie, sprytu i mielszych iskier w oczach. Byłem dla niej i dla jej rodziny jakim ekstraktem przyjaznej egzotyki, przyjaznej, bo polskiej. Odette była pełna chęci przeżycia czego.

Niemal od samego poczśtku wyczuła moje osamotnienie i natychmiast zrodziły się w niej uczucia macierzyńskie. Czerpała z nich poufność i lubiła dotykać mych włosów. Ręce miała twarde od pracy. Rodzicom pomagała w gospodarstwie i pachniała mlekiem. Chciała mi wyjć naprzeciw, ale nie wiedziała jak.

Co tak ciśgłe piszesz i piszesz? oczywiście przyszedł czas, że mnie o to zapytała.

Wytłumaczyłem jej, że piszę pięknś ksiżkę o mej zmyłonej podróży, rzekomo odbytej z dwoma przyjaciółmi z Polski, z którymi jechałem do Indian na północnoamerykańskie prerie. Odette słuchała z niezwykłym zainteresowaniem, a po chwili odezwała się:

Wiesz, ja też umiem dobrze jedzić na koniu...

No to co z tego? spytałem zdziwiony.

Powiniene mnie zabrać ze sobś do Ameryki! oznajmiła.

Przecież to tylko podróż w ksiżce, na niby, wymyłona przeze mnie... tłumaczyłem rozbawiony.

Co ty? Mylisz, że nie wiem? Odette uroczo się zaperzyła i nadal nalegała z dyskretnym umiechem.

Wiem, że to w księżce, i dlatego możesz mnie zabrać ze sobą...

Ale zabrać jako co, w charakterze czego? zrobiłem żartobliwie szyderczą minę.

Jako dobrą towarzyszkę.

Phi! gwizdnąłem na taką towarzyszkę.

To w takim razie zabierz mnie jako metresę! wniosła poprawkę.

A mnie trochę zatkało, że Odette powiedziała to tak prosto i tak poważnie. Nie wybuchnąłem miechem, lecz spojrzałem na nią badawczo. Spuściła oczy i nastąpiło między nami milczenie. Miała bardzo długie, ładne rzęsy.

Następnego dnia, o wicie, dostaliśmy nowy ładunek amunicji i wyruszyliśmy na front, ale na inny odcinek niż dotychczas. Wznosiły się tu lesiste wzgórza i było wiele skał, właściwie całe podglebie stanowiło skalistą masę. Wojnę prowadzono tu niezwykle i niesamowicie, podziemnie. Obydwie strony gorączkowo wykuwały w skale tunele wzajemnie pod siebie, by, dowierciwszy się pod przeciwnika, wysadzić go dynamitem w powietrze.

Z ulgą wycofaliśmy się z makabrycznej czeluci i powróciliśmy do swych furgonów i koni. Będąc w skalnej otchłani, pomyślałem przez chwilę o Odette. Nie byłoby dobrze wylatywać tutaj w powietrze.

Po naszym powrocie do wsi przywitała mnie Odette bardzo serdecznie, chyba tęskniła. Widocznie zależało jej na mnie, a gdy mnie ujrzała, oblała się rumieńcem. Chciałem pożartować z jej zmieszania, ale w czas ugryzłem się w język. Już kilka godzin przedtem, wracając z frontu, zadumałem się nad jej kaprysem, by dostać się do mej księżki. Kaprysem młodej dziewczyny raczej rozumiałem. Więc dlaczego nie spełnić go i nie wciągnąć jej do grona miłych przyjaciół-podróżników? Dotychczas działali w księżce sami mężczyźni, wyłącznie wśród nich toczyła się akcja, intryga, walka: było to wyranym niedociśnięciem. Toteż postanowiłem wprowadzić na polskie ranczo w Wyomingu rozgarniętą, młodzieńską kobietę francuskiego pochodzenia. Odette nadawała się wietnie do tego.

Gdy w pokoju gocinym jej ojca znaleliśmy się znowu sami, zawiadomiłem ją o moim zamiarze. Podskoczyła z radoci i znowu się zarumieniła, aż mnie wzruszyło, że tak łatwo okrywa się płaszczem.

- A co będę tam robiła? dopytywała się z niezwykłym ożywieniem.

Przecież mówiła, że umiesz jeździć konno! przypomniałem jej.

Konno to nie wszystko! powiedziała. Muszę tam robić różne rzeczy. Być dobrym kompanem, oddań towarzyszkę...

Oczywiście będziesz! Będziesz towarzyszkę nas wszystkich... Odette silnie potrząsnęła głową, aż rozwiały się jej ciemne włosy:

Nie. Ja będę towarzyszkę tylko jednego!

Moję, prawda?

Zgadłe, twoję!

To tamci z zazdroci zatłukę mnie na mierę i księżka smutnie się skończy. Tego chcesz?

Ty, Polonais, nie kpij sobie ze mnie! z gronym na niby zadęśnaniem było jej licznie. Nie zatłukę nikogo, bo ja ciebie obronię i księżka pójdzie dalej...

Wybuchnęlimy wesołym miechem, ale ona znowu jako cudacznie, nerwowo.

Chciałabym ci podziękować za to, że będziesz o mnie pisał! rzekła z wypiekami na twarzy. Czy mogę?

Rozmieszyła mnie trochę ta ceremonialność:

Ależ naturalnie, że możesz! Tylko nie przesadzajmy: to ja powinienem ci dziękować, że podsunęła mi szczęliwę myśl.

To dziękuj! szepnęła ledwo dosłyszalnie i zaczęła się zbliżać do mnie krok po kroku. Szła z wolna, jak gdyby podkradając się, i choć umięchnięta, nie spuszczała czujnego spojrzenia z moich oczu. Stałem przy stole i patrzyłem na nią z pewnym osłupieniem. I z odruchem niepokoju.

O zielony, pocziwy amancie! Szło ku mnie urocze stworzenie, romantycznie przejęte młodym cudzoziemcem, a ja, ponieważ to miało się stać po raz pierwszy w moim życiu, mdlałem z trwogi. Otwierała się przede mnę nieznaną czeluć, o której latami tylko niłem w chłopięcych snach, czeluć niby odstraszająca, a tak błoga. Oblatywał mnie i ten jeszcze lęk, czy będę umiał zachować się należycie, po męsku, czy nie popełnię nic miesznego. Ów naiwny skrupuł diabelnie mnie peszył i obezwładniał.

Gdy Odette podeszła, chwyciła mnie mocno za ramiona. Uderzył mnie znowu jej silny zapach mleka. Był przyjemny, wieży.

Ark! szepnęła proszsko. Fais l'amour avec moi!

Była zmieszana. I nie miała już na sobie koszuli.

Należało teraz wziąć ją gwałtownie w ramiona i pocałować, ale nie zdążyłem. Usłyszeliśmy zbliżające się kroki jej ojca, natychmiast ostygliśmy. Ona odstąpiła o krok ode mnie. Już znowu miała koszulę. Drzwi do pokoju się otworzyły i wszedł gospodarz z życzliwym powitaniem.

Więc nie doszło do niczego, a ja w kwadrans później zdołałem jej tylko szepnąć, że pojutrze, w niedzielę, będę ruiął wolne całe popołudnie: potwierdziła to wymownym błyskiem oczu.

Nie,-nie było mi wtedy pisane.

Moja zażyłość z młodszą i ładniejszą dziewczyną nie uszła uwagi niemieckich kamratów i zaczęła budzić ich zazdrość. Brutale, jak i oni, karczemnie podrzywali ze mnie i z niej, ale trzymałem się jedynie możliwej obrony, nie odpowiadając na ich złoliwe prowokacje jak tylko zdawkowym umiechem. Każda inna moja reakcja mogłaby wyzwolić ich chamskie popędy.

Gdy następnego dnia, w sobotę wieczorem, byłem znowu w pokoju gościnnym, miło obydwójce gawędziliśmy, snując plany naszej książkowej podróży na prerie Wyomingu. Rozigrana Odette miała żywą wyobraźnię i podsuwała mi nie najgorsze pomysły.

Wtem od strony żołnierzy ktoś energicznie zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, miało wszedł do pokoju. Był to Kruschke, jeden z wulgarniejszych kamratów, trzydziestoletni ordynus o niewyparzonej gębie. Moje spotkanie się z Odette jego najsrożej kłuło w oczy.

Wpadłszy do pokoju, zrobił głupiś minę, jak gdyby zdziwiony, że nas razem zastał. Wytrzeszczył oczy i dobywał z gardła idiotyczne chrzskania i rechoty. Miało to być wesołociś, a przypominało zwierzę. Potem wskazując palcem na Odette i na mnie i rzucając na nas pytające spojrzenia, sapał oblenie i dopytywał się:

So, also was ist los? Na, ja. Wird schön gevógelt? Wird trictrac gemacht? Mademoiselle: trictrac, nicht wahr?...

Rrraus, du verfluchter Schweinehund! z krzykiem wskazałem mu drzwi.

Kruschke uważał to wszystko za dobry żart i wyszedł, niezbyt zrażony tym, że nazwałem go wińskim psem.

Słowo trictrac” miało bardzo ordynarne znaczenie. Odette zbladła jak ciana i zdrętwiała z przerażenia. Dorosła i rezolutna

dziewczyna poczuła się teraz złamana jak dziecko. Łzy spływały jej ciurkiem po przerażonej twarzy.

Jak mogłem! Łkała zduszonym głosem, nie patrząc na mnie. Jak mogłem im mówić?!

Odette! krzyknąłem. Mylisz się! Nic nie mówiłem!

Jak mogłem? powtarzała oszołomiona. Jak mogłem im wyjawić?

Odette! zaklinałem się. Nic nie wyjawiałem! Nic! Nic! Wierzaj mi! Nic!

Może nawet i uwierzyła.

Ale kwiat szczerego uczucia, wyrastający między nami, został brutalnie splugawiony i tego nie dało się już naprawić. Wobec takiej brutalności bylimy, ona i ja, zbyt młodzi i niedojrzali; bylimy bezbronni i bezradni.

Nastroje naszych wzruszeń, paskudnie zbrukane przez grubiani-na, przepadły. Już nie potrafiliśmy odtworzyć ich od nowa rozdarły się jak wiotki welon. Serdecznie próbowała Odette odnaleźć drogę do mnie, ja dokładałem starań, by zbliżyć się do niej daremnie. Jad Kruschkego był silniejszy.

W kilka dni po przykrym zajciu nasza kolumna dostała rozkaz przeniesienia się na inny odcinek frontu zachodniego i musieliśmy się pożegnać. Nie przyszło to łatwo, ale bylimy młodzi, przyrzekaliśmy sobie wszystko, więcie wierząc, że dotrzynamy wszystkiego; nie wiedząc, że nie dotrzynamy niczego.

Na nowych kwaterach kamraci mieli na mnie baczniejsze oko.

Wanda

Po pokrzyżowaniu zakusów niemieckich władz, wypychających ludzi podobnych do mnie na rze frontowś, znalazłem się w poczstkach 1918 roku w Poznaniu, i tu się mocno wczepiłem.

Wkrótce poznałem Wandę i serdecznie się polubiliśmy. Była to osiemnastoletnia blondynka, schludna, przyzwoita, jeszcze bardzo niewinna. Z niebieskich oczu patrzyło jej szczególnie uczciwie, serdecznie. Pracowała w jakim sklepie, mieszkała u rodziców. Będąc o pięć

lat starszy od niej, przejśłem się rolę jej duchowego opiekuna, i tak też

i

te 2 19

w miłych spotkaniach, najczęściej w małych kawiarniach, upływały nam tygodnie na szczerych pogaduszkach.

Pomny niedawnej tragedii ze Stefkš, nie wypuszczałem Wandy spod czujnej opieki. Nazywałem jš

swym polnym kwiatem. Na pożegnanie wieczorami całowaliśmy się przyjanie w usta, nie pozwalając sobie jeszcze na swawolniejsze zbliżenia. Taka powściągliwość bawiła nas i sprawiała swoiśtś przyjemność. Przeczuwaliśmy, że dopiero w przyszłości czekały nas gorętsze chwile rozkoszy, gdzie tam przed nami była ekstaza. Ucieszna gra w dzieci przypadła nam do smaku. Pewnego wieczoru zaprowadziłem Wandę na kawę do Grandki. Grand Cafe et Restaurant, centralnie położony w sercu Poznania przy Placu Wilhelmowskim (dziś: Wolności), był wtedy nie tylko największym i najładniejszym lokalem miasta, ale także ośrodkiem szczególnej dla nas, Polaków, wagi: podczas gdy pod pomnikiem Mickiewicza przy koczowisku w. Marcina co pewien czas odbywały się namiętne i głone demonstracje patriotyczne, tu, do Grandki, schodzili się Polacy na pogodne rozmowy i plotki, na pogwarki o sztuce i polityce, a ostatnio szczególnie na nowiny z pola walki. Najwięcej, oczywiście, zjawiało się endeków z kręgu Kuriera Poznańskiego”, walił cały Teatr Polski, aktorzy i aktorki, za nimi wpadali adwokaci, architekci, lekarze. Nie brakowało także cyganerii wszelkiego autoramentu, zwłaszcza malarzy. Franciszka Zygarta ze znamienń bródkś można było spotkać tu prawie co wieczór.

Nieraz ojciec zabierał mnie wieczorami do Grandki, pomimo że byłem jeszcze gimnazjalistś. Ojciec, jak zwykle, wdawał się w ochocze dyskusje przy stole-, do którego chętnie dosiadali się jego znajomi i przyjaciele, podczas gdy ja, siedząc z ubocza przy narożniku stołu, zagłębiałem się z pasją w czasopisma ilustrowane, których w Grandce było dużo i w różnych językach. Orkiestra, składająca się z czterech czy pięciu muzyków, pięknie grała wiele melodii polskich, zwłaszcza mazurków, najbardziej chwytających za serce. Było mi błogo w skondensowanej atmosferze polskoci, a zapewne większość gości odczuwała podobnie jak ja.

Zasłużonym restauratorem i właścicielem Grandki był Góralski, człowiek godny uwagi i politowania. Miał rodzaj garbu na plecach na skutek patologicznego skurczenia klatki piersiowej, i przypominał trochę powieciowś postać Quasimoda. Ale nie tylko postać; może także odruchy duchowe. Chodziła gadka, przypuszczalnie zmylona,

przypisujšca Góralskiemu fanaberie seksualne i okresy chorobliwej animozji do ludzi normalnie zbudowanych. Gadka złoliwa.

Gdy zaprowadziłem Wandę do Grandki, była godzina ósma wieczorem i mało jeszcze gości. Wródnich niektórzy w niemieckich mundurach, Polacy tak samo jak ja. Siedlimy obydwójce wygodnie pod cianš, a gdy kelner podszedł, zamówiłem dwie kawy.

Jak tu ładnie! szepnęła Wanda, rozglšdajšc się po przestronnym lokalu.

Po dłuźszej chwili przyszedł kelner z jednš tylko kawš, którš postawił przede mnš, natomiast przed Wandš położył na stole jaki papierek.

Zamówiłem dwie kawy! przypomniałem kelnerowi.

On nic nie mówišc, potržšnšł tylko głowš, wskazał na papier przed Wandš i odszedł o kilkanacie kroków. Tam stanšł i bacznie spozierał z ukosa w naszš stronę.

Wanda podniosła karteczkę i zaczęła czytać. Oczy jej, owe łagodne, przyjazne oczy, nabrały wyrazu takiego przerażenia, że zmieniała się cała jej twarz. Była w niej jaka okropna, nieludzka męka.

Ośłupiały wyjšłem kartkę ze zmartwiałych ršk dziewczyny i przeczytałem drukowane pismo:

Sie werden gebeten das Lokal sofort zu verlassen". W polskim języku znaczyło to: uprasza się paniš o opuszczenie natychmiast lokalu".

Pociemniało mi w oczach. Oszaleli, żeby Wandę uważać za prostytutkę i wyrzucać jš z lokalu. Przecież przyszła tu w moim towarzystwie i skromnie się zachowywała. Nie znali jej, była tu pierwszy raz. Kiwnšłem porywczo na kelnera. Gdy spojrzałem na Wandę, mrowie przeszło mi po skórze: twarz jej zbladła dosłownie jak chusta, oczy stanęły w śłup; robiła wrażenie umarłej, rażonej paraliżem.

Co to znaczy?! odezwałem się ostro do kelnera, gdy podszedł do stołu. To jaka głupia pomyłka.

Kelner przybrał beczelnš minę i odparł ironicznie urzędowym tonem:

Nein, es ist kein Irrtum!"

Skoro jesteśmy w polskim lokalu, to proszę przemawiać do mnie po polsku! sarknšłem podnosząc głos. To pomyłka i skandal!

To nie pomyłka, mój panie!

Proszę zawołać pana Góralskiego!

Pana Góralskiego nie ma w lokalu! Wyszedł!

Znajdował się w lokalu, widziałem go przed chwilą. Straciwszy panowanie nad sobą, już chciałem wybuchnąć, gdy Wanda załkała. Był to przejmujący, straszny jęk, wybuchły z bóleci; był to głos zabijanego pisklęcia. Z tym jękiem Wanda zerwała się z krzesła i nieprzytomna zaczęła szybko wychodzić. Chciałem biec za nią, by ją powstrzymać.

Proszę najpierw zapłacić za kawę! kelner chwycił mnie silnie za ramię i wdusił z powrotem na krzesło.

Otrzewiałem.

Był marzec 1918 roku, rozpaczliwe wysiłki Niemców na froncie zachodnim wymagały nowych tysięcy ludzi. Najmniejsza awantura z mej strony, choćby w polskiej Grandce, groziła bezapelacyjnym wysłaniem na front. Więc pucilem płazem arogancję kelnera i starałem się szybko mu zapłacić, ale gdy wyskoczyłem na plac, Wandy już nigdzie nie zobaczyłem.

Przepadła nie tylko wtedy, przepadła na zawsze. Straciłem ją w dziwnie podobny sposób, jak jesienią 1914 roku straciłem Francuzkę Odette, tylko że wtedy zepsuł nam sielankę notoryczny cham Kruschke, a teraz kto wszedł w paradę? Kto się wygłupił, kto postępował z nikczemną złośliwością, był ordynarny i chamski? Mocno musiałem cisnąć szczęki i uzbroić się w rozwagę, by nie popaść w zgorzknienie; by ich nie znienawidzić.

Byli to tylko mali ludzie i zachowali się oburzająco, krzywdząc niewinną dziewczynę.

Pietyzm wobec ojca

Pewnego wieczoru ojciec, czując się dobrze jak zwykle, poszedł na przyjęcie do jednego ze swych przyjaciół i nie upłynęło pół godziny, gdy nastąpiło nieszczęście: ni stąd ni zowąd udar serca i natychmiastowy prawie zgon.

Ojciec był nie tylko pogodnym i wesołym człowiekiem, ale i szlachetnym: Ignęli do niego przyjaciele o wysokiej etyce i wiatłym umyśle. Dla każdego miał dobre słowo i serdeczny dar.

Ojciec nie był ascetś, chociaż lubił czytać Stary Testament księdza Wujka; ogromnie kochał życie i pił wszystkie jego rozkosze, duchowe i zmysłowe. Nie stronił także od towarzystwa miłych kobiet i bynajmniej nie był obojętny na ich wdzięki.

Mnie kochał najszczytniejsz miłociś, jakś ojciec może darzyć swego syna: uważał mnie za swego kolegę, wiernego druha, sprzymierzeńca w życiu, powiernika.

Traktat wersalski 28 VI 1919 zakończył definitywnie akcję bojowś na froncie wielkopolskim, a na froncie wschodnim, jeli można mówić o takim ówczesnym froncie, nic się nie ruszało, panował tam spokój i cisza. Toteż w październiku, na zaproszenie Kazika migielskiego z Poznania, pojechałem do niego na wschód, by zapolować na wilki. migielski, jakkolwiek dopiero podchorśży, był jakim omnipotentnym dowódcś żandarmerii wojskowej w Brzeciu nad Bugiem i przyrzekał wszelkie przyjemności myliwskie, birbanckie, romantyczne, o ile zjawię się u niego w mundurze wojska wielkopolskiego. Od władz wojskowych uzyskałem pozwolenie na noszenie owego munduru i pojechałem.

migielski był prawnikiem, chyba jednym z najinteligentniejszych w Poznaniu. Był wspaniałym kompanem o diabelnie żywym umyle, był poetycznym ekscentrykiem, pochopnym do wszelkich kaprysów ludzkich, a przy tym chwatem niezmiernie wesołym i uczynnym, choć kaducznie rozwichrzonym.

Dzięki Kazikowi migielskiemu mój kilkutygodniowy pobyt w Brzeciu nad Bugiem i w jego okolicy upłynś w aurze nieustannej bajki. Był to melanż Dzikiego Zachodu z Tysiścem i Jednś Nocś. Do wilków się nie dobrałem, natomiast było wszystko inne, zwłaszcza niesamowita romantyka. Powitano mnie wylewnie jak gocia z innego wiata, bo z dalekiego zachodu Polski. Były na mej drodze ujmujśce dworki i sentymenty, kresowa fantazja i urzekajśce kresowianki, i był kapral Janek, przydzielony mi adiutant”, osiemnastoletni cwaniak i bezwstydnik, anioł stróż bez czci i wiary, jakkolwiek nie bez wdzięku: on torował mi drogę przez ludzkie wertepy.

W Brzeciu był chyba tylko jeden hotel, a gdy około północy tam przybyłem, wszystkie pokoje zastałimy zajęte. Kapral Janek z minś gronego żandarma przejrzał listę goci i kazał z pokoju wyrzucić tego faceta, u którego była Genia.

Ona niezawodnie najzaczniejsza i przydatna! wyjanił mi wybór pokoju.

Protesty zbudzonego gocia na nic się nie zdały, władza” kazała mu wynieć się, a po kwadransie ja zajęłem odwieżony pokój wraz z odwieżonš Geniš.

W tej podróży nałykałem się” wiatru pięknych lasów, podwód, dziewczęcych ramion i nieustannej gocinnoci. Także nabrałem przecucia o wiszšcej w powietrzu nowej wojnie.

Gdy wróciłem do Poznania, kolejna, szalona radoć: w Poznaniu zjawił się nareszcie mój najbliższy przyjaciel Mieczek Rudzki po wieloletniej odysei wojennej i pobycie ostatnio w Warszawie. Wrócił jako kapitan wojsk polskich. Mieczek wznowił swój sercowy kontakt z Mariš Ritterównš, z którš już przed wojnš jako gimnazjalista potajemnie się zaręczył, a teraz postanowił się ożenić. Oczywiście wprowadził mnie do miłego domu Ritterów i tam poznałem młodszš siostrę Marii, dwudziestoletniš Janinę.

Przelotnych amatorów miałem już w tym okresie powyżej uszu i coraz bardziej odczuwałem potrzebę prawdziwej, rzetelnej miłoci. Byłem dojrzały do małżeństwa. Z Mieczkiem łszczyła mnie taka przyjań, że wydawało się absolutnš nieodzownociš naszego koleżeństwa, iż gdy on bierze za żonę jednš siostrę, to ja oczywiście zakochuję się w drugiej siostrze, nawet gdyby miała być mniej ładna i mniej ponętna niż była w rzeczywistości. Ale Janka była bardzo ładna, miała liczne fiołkowe oczy, szlachetny wyraz twarzy i łagodne usposobienie. Na Gwiazdkę 1919 roku sprawy się wyjaniły i w domu Ritterów obchodziliśmy podwójne zaręczyny, na które przybyły także moja matka i kuzynka Lucia Kłaczyńska.

Gdy w połowie sierpnia 1920 roku wojska radzieckie zostały odparte z przedpola Warszawy i szala zwycięstwa przechyliła się na polskš stronę, a w październiku nastšpił rozejm i zapowied traktatu pokojowego wtedy cała Polska odetchnęła. Niestety tragiczna wojna zabrała mi wiernego przyjaciela: Mieczek Rudzki zginł w czasie odwrotu spod Kijowa.

Toteż nie tak, jak planowałem z Mieczkiem bez niego ożeniłem się z Jankš Ritterównš, co nastšpiło jeszcze latem 1920 roku. Więc oto po szeci lat noszenia munduru byłem znowu wolny i nabierajšc głęboko w płuca mocnego oddechu, zacząłem myleć całkowicie po swojemu. Myleć o przyszłoci, o podjęciu studiów,

o zajęciu się pojcowskim zakładem chemigraficznym, o pokierowaniu sobą i życiem w taki sposób, by było bogate w uczucia i piękne w czynach.

Ze wzmożonym naporem odezwał się teraz we mnie pietyzm wobec pamięci ojca. Często wracałem myślami do błogich lat, kiedy pod dębami rogalińskimi łowiliśmy ryby, motyle i... krajobrazy, a ja uczyłem się snuć marzenia coraz zuchwalsze. Dopiero tej jesieni 1920 roku zacząłem sobie uprzytamniać szczególne znaczenie, jakie miały stare dęby dla mnie. Toż to z ich potężnych konarów wyrwanie przechodziły na mnie twórcze fluidy i zapładniały się romantyczne plany: przecież już wtedy, chyba pod dębami, majaczyły mi się w snach tajemnice amerykańskich rzek, marzyły mi się głębie puszczy amazońskiej, czułem zapach lasów kanadyjskich. Widziałem siebie ze złowioną dużą rybą, syberyjskim tajmieniem. Pewnie już wtedy wchłaniałem urok dziewczyn malgaskich, nosiłem w zarodku przygody w puszczy meksykańskiej, urzekła mnie sztuka staromeksykańska. Niewstępliwie żyłem w marzeniach za pan brat z uroczym szczepem Moj w Kambodży i przeczuwałem przyjaźń ludności afrykańskiej...

Tejże jesieni kończyłem dwudziesty piąty rok mego życia i zdany już odtąd na własne siły, pełen zdrowia, zapału i ciekawości świata, wkraczałem w wiek męski. Nie klęski, lecz przeciwnie: wiek twórczy, zwycięski...

Tej samej jesieni, w początkach padziernika, doznałem niezwykłej przygody. Cholerny sangwinik we mnie się zerwał i poniósł. Pod wieczór wyjstkowo ciepłego dnia siedziałem w gronie kilku przyjaciół ‘ w tylnym, oszklonym pawilonie Grandki, wychodzącym na ogród restauracyjny.

W pewnej chwili w tej części lokalu, dość wypełnionej gośćmi, powstał zgiełk i tłok. Kelnerzy zbiegli się do jednego z wielkich okien i z całej mocy walili w szybę swymi cierkami. Gdy dokładniej tam popatrzyłem, zawrzałem z oburzenia: kelnerzy cierkami zaciekle bili wielkiego motyla zawisaka, by go zakatrupić, a on daremnie uderzał w szybę, chcąc wydostać się na dwór.

Wpadłem w niepohamowaną furję, zakipiałem ze złości.

Dajcie mu pokój! ryknąłem na cały głos i zacząłem biec do okna.

Zawzięci kelnerzy dalej tłukli motyla, który spadał na podłogę, ale wciśz od nowa się wzbijał.

Nie zabijać go!! jeszcze bardziej podniosłem głos.

Dobiegając stwierdziłem, że był to największy nasz motyl, zawisak trupia główka. Największy i u nas dość rzadki.

Gdy wpadłem między kelnerów, zacząłem energicznie roztrzącać zaciekle łowców, równocześnie wołając, że to rzadki motyl trupia główka. Może by hultaje mi nie ustąpili, gdyby kilku innych gości nie przyszło mi z pomocą, zśdając głono uwolnienia motyla.

Motyl, wielki, gruby i mocny, pomimo uderzeń cierkami nie opadł jeszcze z sił i gdy nareszcie któryś z mniej gorliwych kelnerów otworzył mu okno, zawisak z furkotem wyprysnął na dwór i znikł w wieczornym półmroku.

Gdy w pół godziny później wracałem do domu na Długą, drzwi otworzyła mi Janka. Taki byłem zadowolony z siebie i w tak tryskającym humorze, że na powitanie gwałtownie, porywczo chwyciłem ją w usta i serdecznie pocałowałem w usta.

Janka, widząc moje radosne podniecenie, nieco zdębiała. Więc powiedziałem na wyjanienie:

Uwolniłem motyla!

Co takiego? zdziwiła się jeszcze bardziej.

Uwolniłem motyla, Janeczko!

Jej fiołkowe oczy aż się zaokręśliły z ogromnego zdumienia. Więc chwyciłem ją ponownie, tym razem za głowę, i pocałowałem w fiołkowe oczy, najpierw w prawe oko, potem w lewe.

Gauguin

Koniunktura była wietna w Poznaniu, klisze drukarskie potrzebne w Polsce, zakład chemigraficzny kipiący, więc po półtorarocznej w nim pracy zdobyłem już tyle wiedzy o fotochemigrafii i tyle grosiwa, że mogłem skoczyć o krok naprzód: do Lipska na Akademię Sztuk Graficznych.

Wyjeżdżając z Poznania do Niemiec rankiem pewnego dnia pod koniec marca 1922 roku, miałem szczęście do słońca, tego słońca, które zawsze w ważniejszych chwilach mi przywiecało; od samego rana nie było chmurki na niebie i mocne promienie od wschodu napełniały przedział wagonu wyjątkowym blaskiem. Toteż gdy wyjść księżkę,

danš mi na drogę przez Zenka Kosidowskiego, i gdy zacząłem jš czytać, wpadłem od razu w zachwyty.

Była to Noa, Noa, niewielka ksiżka o Tahiti, napisana przez francuskiego malarza Paula Gauguina, który majšc czterdzieci trzy lata, wyjechał pod koniec XIX wieku w tropiki na czarodziejskš wyspę i znalazł tam raj swych marzeń jako człowiek i jako artysta. Piękno przyrody i brżzowych mieszkańców Tahiti urzekło jego i tak samo mnie, poprzez czarownš ksiżkę.

Gauguina znałem już z literackich ongi biesiad u ojca, gdzie wiele się mówiło o jego malarstwie, i póniej z rojeń krakowskich malarzy, gdy w grodzie podwawelskim przebywałem na studiach uniwersyteckich, więc teraz, gdy on sam przemawiał do mnie słowami swej Noa, Noa, z przejęcia i rozkoszy nie mogłem oderwać oczu od egzotycznej ksiżki.

... W Faone pisał Gauguin o swym wyruszeniu w głšb wyspy w poszukiwaniu swego losu w Faone przed chatš zaczął mnie jaki krajowiec:

Hej, człowieku, co malujesz ludzi! Chod jeć z nami! Umiech jego był tak zachęcający i łagodny, że nie dałem się

prosić. Weszlimy razem do chaty, gdzie zebrani mężczyźni i kobiety, siedząc na ziemi, rozmawiali i palili.

Dokšd wędrujesz? zapytała mnie piękna, czterdziestoletnia Tahitanka.

Do Itia, sšsiedniej wsi.

Po co?

Poszukać tam sobie dziewczyny po krótkim namyle odparłem z umiechem.

Jest ich duzo u nas w Faone i ładnych. Czy chciałby którš z nich?

Chciałbym.

A więc, jeli ci się spodoba, dam ci dziewczynę. Mojš córkę.

Młodš? Š Tak.

A ładnš?

Tak.

I zdrowš?

Dobrze rzekłem. Przyprowad mi jš. Kobieta wysła.

W kwadrans potem, podczas gdy częstowano nas posiłkiem z bananów majore, powróciła. Za niš sła młoda dziewczyna. Była na pół naga. Lniła złocista skóra barków i ramion. Dwa pški sterczały czupurnie na piersiach. Było to duże dziecko, wysmukłe, krzepkie, o cudnych proporcjach.

Powitałem jš. Umiechnęła się i siadła obok mnie.

Nie boisz się mnie? zapytałem.

Aita nie.

Chcesz zamieszkać w mej chacie na zawsze?

Ehe tak. To było wszystko.

Serce mi biło, a dziewczyna z całym spokojem układała na ziemi przede mnš, na dużym liciu bananowym, ofiarowany mi posiłek.

Tehura tak się nazywała była małomówna, zarazem mieszka i melancholijna. Zamieszkała w mej chacie.

Po kilku dniach pobytu u mnie Tehura poprosiła mnie o pozwolenie odwiedzenia swej matki w Faone.

Taki był zwyczaj; więc poszła, by zdać matce sprawę o mnie. Doznałem uczucia, że jš żegnam na zawsze.

Dni, które nastąpiły, były ciężkie. Samotność wypędzała mnie z chaty, nie mogłem skupić myli do malowania. Minšl tydzień i Tehura wróciła.

Wówczas rozpoczęło się życie w pełni szczęścia. Radość i praca wstawały równocześnie ze słońcem i jak ono promienne. Złoto lic Tehury nasycalo weselem wnętrze chaty i okoliczny pejzaż. Żylimy oboje tak doskonale proci! Jakże rozkosznie było ić rankiem we dwoje orzewić się w pobliskim potoku.

Tehura była raz bardzo rozważna i kochajšca, t,o znów szalona i płocha...”

Jeszcze pocišg nie dojechał do Lipska, gdy ksišzkę przeczytałem do końca. Długo pozostałem pod jej wrażeniem. Zawiało mocnym powiewem z Wysp Południowych i niewštpliwie ów nastrój tropikalnej egzotyki opromieniał wyranie cały mój kilkumiesięczny pobyt w Lipsku.

Janka Brejska

Profesorowie i techniczni asystenci przyjęli nader życzliwie dwudziestosiedmioletniego studenta, który był już właścicielem przedsiębiorstwa, i nie szczędzili wysiłków, by go wdroyć w tajniki fotochemigrafii.

Janki Brejskiej dotychczas osobicie nie znałem, ale wiedziałem już dawno o jej istnieniu od Janka Wronieckiego, jej profesora w Wyższej Szkole Zdobniczej w Poznaniu.

Była urodziwš dziewczynš o licznej twarzy i bystrych, ciemnych oczach. I była urzekajšcš indywidualnościš: młodsza ode mnie o trzy lata, odznaczała się kulturš ducha, szczerym sercem, bujnym umysłem i głębokim wycuciem sztuki. Jednak chociaŹ pełna żywoci i talentu, póniej w Źyciu niezbyt dała sobie radę. Prawdopodobnie nie umiała doć energicznie walczyć łokciami, by skutecznie przebijać się przez szorstkie opłotki Źycia.

Od pierwszych chwil poznania się powstała między nami niezwykła zaŹyłość; Janka Brejska była bardzo bezporednia i pełna ujmujšcej prostoty. Stworzyliśmy tu w Lipsku parę osobliwych kumpli, bardzo oddanych sobie, a połšczonych najszlachetniejszym koleŹeństwem i idealnie czystš przyjaniš.

Wszystkie chwile, wolne od nauki i snu, przebywalimy razem i wtedy zaraz wpadalimy w arkadyjskie nastroje. Taka sielanka, rozcišgnięta na całe tygodnie, strasznie nas bawiła. Odczuwalimy rozkosz posiadania różowych okularów i patrzenia przez nie na siebie, na Lipsk i lipskie sprawy. Ulice były dla nas różowe, różowe domy i parki oraz muzea, sklepy, księgarnie i różowi byli ludzie, różowe takŹe zagadnienia i nasze myli. A gdy w pewnej księgarni wród reprodukcji Gauguina ujrzeliśmy obraz, nazwany "Arearea" ("Wesołe dziewczyny"), z różowym psem na pierwszym planie, na reprodukcji innego Gauguina za różowego konia stwierdziliśmy, Źe to całkiem w porzšdku.

W Rosental, liczny lesie podmiejskim, raz po raz wynajmowaliśmy małš łódkę i wypływalimy na cichš rzekę. Wypływalimy w bukoliczny krajobraz, gdzie stare drzewa wspaniale odbijały się w rozmarzonej rzece. Było tu tak ładnie i nęčšco, Źe któŹby uwierzył, iŹ kiedy w tych samych nurtach, lecz wciekle wtedy wzburzonych, o niespełna kilometr powyŹej, mogła rozgrywać się polska

tragedia księcia Józefa Poniatowskiego i jego żołnierzy? A wierzyć

trzeba było.

Dla nas, dla Janki Brejskiej i mnie, rzeka była przytulna i odsłaniała tylko przyjazne oblicze. Nie dopuszczaliśmy do swych myli przeciwnoci losu. Wierzyliśmy w dobry wiat.

W naszym lipskim życiu istniały dwie pory dnia. Przed obiadem była konkretna i diablo solidna nauka w warsztatach Akademii; po obiedzie za nastawało boskie odprężenie i my, niby rozhukane rebaki, wypadaliśmy na miasto, by dawać upust uroczym fantazjom. Ulice często wydawały się nam ulicami Bagdadu lub Bombaju, a stateczni mieszkańcy Lipska ludmi z Tysiśca i Jednej

Nocy.

Sklepy kraniały nam jak bazyry Wschodu, a rozbrykane nasze pomysły czasem wyskakiwały daleko w przeciwną stronę, na barwne stepy Patagonii. Czasem nurzały się w gęszczach puszczy na Borneo ladem celnika Rousseau albo leciały do brzegów Złotej Bramy w San Francisco nad Pacyfikiem; bywało też, że zagmatwy-wały się w bezzęsyh oczach kobiecych aktów Amadea Modiglia-niego.

Na widok schludnych wierzb w parku na końcu jakiej lipskiej

ulicy wybuchałem nagły uciechś:

Patrz, Janko! Same palmy kokosowe!

Mylisz się wesoło zaprzeczała Janka. To drzewa żaka-randy na Madagaskarze!...

Pewnego dnia okrutnie zaintrygowała nas ksiśżka, zauważona w oknie wystawowym jednej z księgarń, a zatytułowana Papalagi. Brzmiało to zagadkowo i potwornie kusiło, a gdy drugi raz tędy przechodziliśmy, porwało nas: musielimy ksiśżkę nabyć, Papalagi przeszła najmielsze oczekiwania. Był to szczyt dowcipnego kpiarstwa, jaka góra uroczej niby-naiwnoci, mieszna przemśdrzałość chłopka—roztropka; jaki wariacki bigos z absurdu i ciętej logiki, ze spryciar-stwa i rzewnej dziecinnoci.

Ksiśżka była jak gdyby spadkobierczyniś filozoficznych opowieci XVIII wieku. Oto prymitywny i prostoduszny, ale niegłupi tubylec jakiego odległego archipelagu na Pacyfiku, może Melanezji, pocziwiec nie znajścy dotychezas nic prócz swej wyspy i arcypro-stego na niej życia, dostaje się do nowoczesnego miasta w Europie i tu co krok popada w nieustanne zdumienie. Wszystko, czego do-30

wiadczś w tym otoczeniu, wydaje się prostakowi tak przedziwne i tak głupawo urzśdzone, że wywołuje w nim cierpkie uwagi. Czyni je z rozbrajajścym wdziękiem i wciśż się dziwi, to rozmieszony, to zmieszany lub zabawnie oburzony. Białyh ludzi uważa za niespełna rozumu, bo na przykład sobie na utrapienie nakładajś na nogi, na własną skórę, obcz skórę ze zwierza, żeby było im ciężko chodzić w butach; albo budujś wielopiętrowe chaty, żeby męczyć się wchodzeniem na górę,

kiedy mają doć miejsca obok, by budować niskie chaty, przy ziemi.

I tak po nitce naiwnych spostrzeżeń krocząc do mniej naiwnego kłębka, rozbawiony dzikus odkrywa z osłupieniem, że ci biali ludzie mają więcej dokuczliwych i niemśdnych tabu niż jego bracia na wyspie, że zatrzęsienie bezmylnych nawyków piekielnie utrudnia życie białym ludziom; że chyba niespełna są rozumu, gdy mówisz inaczej, a inaczej myślisz, i jeszcze inaczej postępujesz. Pomyleńcy!...

Groteskowe perypetie Papalagi wzmagają aurę osobliwych nastrojów, jakim poddawaliśmy się w owym czasie. Było nam z tym ogromnie dobrze, jak byśmy wewnętrznie wciśnięci i niewidzialnie odprawiali tańce. Wszystko, cokolwiek przychodziło nam na myśl, a było ciekawe, nabierało od razu cech kolorowej bani i stawało się piękne i zuchwałe. Widocznie rozpięta swawolnej fantazji stało się jakś duchowsko potrzebnie i prawdopodobnie było po latach pierwszej wojny ostatecznym uwolnieniem się od wojennej zmory. A sprzyjało temu pojawienie się dwóch cudownych księżek: Papalagi i Noa Noa i, last not least, urzekającej Janki Brejskiej. Uroczą dziewczyną okazała się morowsko towarzyską i żywo przyczyniła się do wzniecania fal radości i zapału. Zapału do czego? Niewstępliwie ów pobyt w Lipsku zamykał jaki mój okres wojenno-powojenny, a otwierał nowy, wybuchający bogato i szczerze. Człowiek rozwierał coraz szerzej ramiona i wchłaniał coraz mocniej woń nowego życia.

Gotowało się we mnie co jak gdyby do wielkiego skoku; ale jakiego skoku, w jakim kierunku, tego jeszcze sobie jasno nie uzmysławiałem. Chłopięce marzenia o podróżach, snute ongi pod dębami rogalińskimi, jeśli się czasem przypominały, to tylko mglicie i odległe. Za to realna była przedpołudniowa nauka o kliszach i realne nasze popołudniowe nurzanie się w cudacznych sielankach lipskich.

Pójdę z tobš!”

Przed powrotem pod koniec czerwca 1922 roku do Poznania dokonałem w Lipsku niezmiernie ważnego posunięcia: za pienišdze, zarobione niedawno temu w zakładzie chemigraficznym zakupiłem pyszny, nowoczesny gigant-aparat reprodukcyjny, bajecznie silny obiektyw fotograficzny, także cenne rastry-siatkówki do klisz trójbarwnych, i te wspaniałości oraz inne, podobne sprzęty postawiły zakład na najwyższym w owych latach poziomie europejskim.

Owego lata ogromnie zatęskniłem za przyrodš, marzyłem o niej jak rolina o słońcu. Zbudziła się we mnie Źšdza oddychania lenym balsamem. Jak nigdy dotšd w ostatnich kilku latach namiętnie zapagnšłem zapachu nadrzecznych łšk i chciałem wsłuchiwać się w plusk wody, rozbijanej przez dziób łodzi. Z chłopięcych, przedwojennych lat wietnie znałem Wartę pod dębami rogalińskimi i wyżej, pod Nowym Miastem, dokšd zapuszczałem się z ojcem. Teraz nieposkromionš odczułem potrzebę przebywania nad rzekš także w górnym jej biegu, bliżej ródła, gdzie Warta była piaszczysta, młoda i niesforna.

I tajemnicza.

Zaraz po powrocie z Lipska poleciłem wprawnemu skutnikowi w Sieradzu nad Wartš zbudowanie lekkiej łodzi, mieszczšcej wygodnie kilka osób. Nazwałem jš oczywiście Jankš”, a w połowie lipca pojechalimy kolejš do Sieradza radosnš paczkš: był Janek Wroniecki, artysta grafik i najweselszy kumpel; był młody poeta z Pleszewa Antek Seichter, bosko przystojny medyk Stach Mikołajewski i była moja

żona Janka i ja.

Z Sieradza płynęlimy przez trzy tygodnie z pršdem rzeki do Poznania. Warta, w okolicach Sieradza jeszcze wcale nie uregulowana, była rzeczywiście liczna; pełna piaszczystych mielizn, z których musielimy co rusz cišgać łódkę, skaczšc ochoczo do wody. Za to łški nad rzekš przedstawiały się mniej ponętnie: były wyżarte i sumiennie wyskubane, a łajnem okropnie spaskudzone przez tysišce gęsi, hodowanych w nadrzecznych wioskach.

Jak to zwykle u zielonych zapaleńców wycieczkowych, w pierwszych dniach wezbranej swawoli i humoru ponosił nas dziarski zapał i tęgo upajało słońce, a poczciwy Antek Seichter, nasz poeta, frywolił co niemiara i czasem udawał cynika:

...Sentymenty trzymaj krótko... W noc majowš z prostytutkš...”

Brzegi Warty, tak obfite w łski w byłej Kongresówce, poniżej Pyzdr stały się lesiste: ujęte w ramy dorodnych drzew, nabrały malowniczości. I więcej tu było romantycznych zakrętów rzeki o głębokich dziurach. Przed laty często przyjeżdżałem z ojcem do tych mateczników na łowienie szczupaka.

W pobliżu Nowego Miasta był w rzece ostróg, przy którym ojciec złowił kiedy olbrzymią rybę. Ponieważ obecnie obozowaliśmy niedaleko tego zakola i ostrogu, postanowiłem odwiedzić to miejsce; dobrze było trochę podumać o ojcu i minionych czasach. Towarzyszom oznajmiłem o swoim zamiarze.

Pójdę z tobš! owiadczyła Janka.

To nieblisko: przeszło kilometr stšd! ostrzegłem ją żartobliwie.

Nie szkodzi! Pójdę z tobš.

Uradowany ogarnšłem Jankę ciepłym spojrzeniem. Była opalona na bržz; jej fiołkowe oczy żywo i z ufnociš patrzyły na wiat, a była tego popołudnia wyjątkowo liczna i kobieco ponętna.

Dobrze, chod! zajrzałem jej czule w oczy i serdecznie objšłem kibić.

Był początek sierpnia. Wybujająca dojrzałość lata przenikała słodkim czadem całą przyrodę. Od mięt i macierzanek szła podniecająca woń. Włosy Janki od naszych noclegów mocno pachniały sianem. Upalny dzień odurzał.

Miejsce w rzece i ostróg z pokanš głębinš zastaliśmy niemal tak, jak je pamiętałem z dawnych lat. Na chwilę żałowałem, że nie zabrałem wędki na szczupaka; ale żałowałem tylko chwilę.

Stado jakich wniebowziętych ptaszków, ukryte w gęstej wierzbinie dokoła nas, przejęte zuchwałš radociš, wyprawiało taki koncert swym ćwierkaniem, jak gdyby chciało zarazić cały wiat swš szczeliwociš. Jakże w tej chwili nie przytulić do siebie ukochanej kobiety mocnym, męskim uciskiem?

Gdy w kwietniu przyszłego roku urodziła nam się Basia, czasem wspominając te słoneczne dni na Warcie, dyskretnym umieszkciem pokrywaliśmy naszą tajemnicę: że rozpiewane ptaszki przyniosły nam dziecko.

J Kobiety.

??

Goršcokrwista Andra

Niestety, moje szczęście małżeńskie z Jankš nie trwało długo. Janka, zdawać by się mogło, że tak

bardzo mi oddana, nie potrafiła jednak zupełnie przejść się moimi miałymi planami podróżniczymi, biorąc je za niemiędre a kosztowne zachcianki. Na tym tle zaczęło dochodzić między nami do nieporozumień. Rodziły się wzajemne pretensje, coraz więcej było rozdrażnienia, niechęci, wrogiego uporu. Ten godny pożalowania i nadzwyczaj przykry konflikt doprowadził ostatecznie do rozpadu naszego związku.

Odejście Janki zraziło mnie do wszelkiej kobiecoci na długi czas. Dopiero później, gdy przekonałem się, że żona już nie wróci do mnie, zaczęła powoli narastać chęć zbliżenia się do kobiet.

Wtedy pewnego goršcego dnia w lecie weszła w moją orbitę Andra (właćiwie Aleksandra), i kaprys szczęliwego losu, na pewno burzliwego i płomiennego losu, rzucił nas ku sobie na szereg niezapomnianych lat.

Owego dnia, a był to chyba 1932 rok, dumałem na plaży nad brzegiem Warty w pobliżu Poznania, gdy ona, przyplłynšwszy z daleka, z wolna zaczęła wynurzać się z wody, niby kuszšca Afrodyta, fantastycznie zbudowana. Z leniwym wdziękiem, typowym dla takich wysportowanych rusalek, w poczuciu swej dorodności, wychodziła powoli na ląd. Mnie, pogršżonemu wcišż w zadumie, wydała się na chwilę mirażem czego niezemskiego, rzeczywiście jakš Afrodytš. Wybałuszyłem na niš oczy z bezwiednym podziwem i musiałem osobliwie wyglšdać, bo gdy ona obok mnie przechodziła, umiechnęła się drwišco, ale i zarazem przyjanie. To zadecydowało.

Miała osiemnacie lat i była już w pełni rozkwitu ciała i czaru. Ja byłem starszy o kilkanacie lat i w pełni męskiej agresywnoci.

Andra była wesola, żywa i naturalna; łatwa i niełatwa. Gdy się zjawiłem w jej życiu, królowała wlaćnie w gronie kilku gołowšszych, a dziarskich kadetów szkoły podchoršżych i oni wszyscy w niej się durzyli, a ona, chociaż nieobojętna wobec ich umizgów, raczej bawiła się ich kosztem. Przerwać te amory nie było łatwo, jednak w ostrej próbie sił zdobyłem przewagę: tam były igraszki tu rzetelne ramię i mocniejsze uczucie. Andra puciła tamtych w tršbę.

Gdy raz przekonała się do kogo (można to nazwać także inaczej: gdy zagięła na kogo parol), była już duszš i ciałem przy nim. Bez

gierek, bez zastrzeżeń. Kombinacji nie uznawała, gdyż zbyt dużo miała w sobie zdrowego temperamentu; rozgrzana, stawała w płomieniach.

Gdy po raz pierwszy przyszła do mego mieszkania, uczuciem była już przy mnie, chociaż jeszcze nie ciałem. Na moją frywolność nieco uwagę, że ciekaw byłem ujrzeć ją w całej jej krasie, ona bez chwili wahania i bez słowa zrzuciła z siebie wszystko, co miała na sobie, i jak długa położyła się na dywanie.

Była tak kształtna i dorodna, brązowe jej ciało tak doskonałe, że św. urodź w kozi róg mogła zapędzić i Olimpię Maneta i Maję Goyi. To był fenomen. Dziewczyna, znakomicie tego wiadoma, przede mną nie wstydziła się nagoci, nie ukrywała swych walorów. Raczej na ogół skromna i niemiała, o czym z biegiem czasu się przekonałem, tym pierwszym razem chciała mnie zaskoczyć wstępnym bojem. I dalibóg zaskoczyła.

Byłem tak oszołomiony, a ona tak niezwykła, że spoglądałem na nią jakby oczarowany i wcale jej nie dotknąłem. Może myślała, że rzucę się na nią w przystępie pożądliwoci i będę niepohamowany. Nie rzuciłem się; nie lubiłem brutalności ani drapieżnych porywów. W podobnych wypadkach nigdy nie traciłem panowania nad sobą. Po chwili, wciąż olniony, poprosiłem ją, może trochę nieswoim głosem, żeby się ubrała. Gdy to zrobiła, chwyciłem ją mocno w objęcia, przytuliłem serdecznie i szepnąłem do jej ucha:

Czy wiesz, co to było?

Speszona, lekko wstrząsnęła głową, że nie wie. Powiedziałem po prostu, banalnie, niemiałym umiechem pokrywając wzruszenie:

Byłem po prostu obezwładniony twoją urodą!...

Chwila krytyczna: mogłem ją teraz przegrać z kretesem albo całkowicie wygrać. Dziewczyna mogła wybuchnąć łobuzerskim miechem, ale nie wybuchła. Wygrałem.

Od lat zaczytywałem się Józefem Weyssenhoffem i w jego Sobolu ' pannie pochłaniałem piękny fragment, w którym młody myliwy marzy o swym dziewczęcym ideale:

„... Żeby tak dobrać sobie towarzyszkę sprawną, jak samica lenego ptaka, z nią hasać po polach i kniejach, całować na jej ustach smak dzikich jagód, na jej włosach wonie żywicy i ziela, myć się rosą lub kąpać się w jeziorach, żywić się pospółu zdobyczą polną i leną,

przyleć razem na noc w wonnych przepaciach nowego siana i budzić się o wicie, zaglądającym w olnione radociš oczy. To byłoby życie!...”

Nieustanna tęsknota za takš towarzyszkš stała się u mnie niemal jakš maksymš życiowš i szczególnie uporczywie towarzyszyła mi w podróżach po różnych Madagaskarach i tropikalnych wyspach, a tu, w Andrze, jak gdyby znalazła swe najodpowiedniejsze ujęcie. Andra chciała mocno przeżywać, była kipišca, miała goršcš krew, była wysportowana i sprawna jak samica lenego ptaka”. Woda była jej żywiołem, dziewczyna pływała jak delfin.

Jeszcze tego samego lata urzšdziliśmy romantyczny spływ kajakiem Wartš z Koła do Poznania i owe dwa tygodnie na rzece można miało zaliczyć do najmiłszych, niezatartych wrażeń. Beztroscy jak młode bogi, ona niby nimfa, ja chyba jaki faun, żywilimy się po drodze razowym chlebem, masłem, mlekiem i sobš. Było nam niewymownie dobrze.

Mniej więcej w połowie drogi, już poniżej Pyzdr, nastšpił pierwszy zgrzyt między nami, ale niestety, nie ostatni. Pewnego pónego popołudnia spokojnie sunęliśmy z pršdem przez licznš okolicę lenš, gdy ujrzelimy płynšcš w przeciwnym kierunku łód wiołarskš, a w niej czterech młodych wiołarzy. Andra poznała wśród nich dwóch znajomych kadetów i tak się przejęła niespodziewanym spotkaniem, że, podniecona, zdołała zamienić z nimi tylko kilka słów powitania.

Dokšd płyniecie? jeszcze zapytała, a tamci wskazali rękoma, że w górę rzeki.

Gdzie przenocujecie?

Ale na pytanie nie było już wyranej odpowiedzi, odpłynęliśmy zbyt daleko od siebie.

Mniej więcej trzy kilometry dalej dotarlimy do wioski, gdzie postanowiłem przenocować u gospodarza przy rzece. Andra była nie do poznania. Straciła panowanie nad sobš. Miła dotychczas sielanka, tak pięknie się rozwijajšca, prysnęła. Nie czekajšc na wieczerzę, gotowanš nam w gospodarstwie, dziewczyna pożyczyła u kogo w wiosce rower i o zachodzie słońca ruszyła w te pędy w górę rzeki, w pocigu za kadetami. Zdumiony i urażony prosiłem, żeby została; powstrzymałem ją od odjazdu spokojnie i serdecznie, bez awantur.

Kolację zjadłem samotnie w szubienicznym, rzecz prosta, nastroju. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był tak rozczarowany jak tego

wieczoru: Andra już głęboko wlaża we mnie. Domylałem się, że wróci, bo pożyczyła rower.

W istocie wróciła, i to niespodziewanie szybko, w dwie godziny później. Wróciła z kwitkiem, kadetów nie dogoniła. Wyglądała jak półtora nieszczęścia, cała spocona, włosy roztargane, oczy podsinione.

Palily się w izbie dwie wiece. Milczelimy i stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy, jak w obliczu jakiego wyroku. Szybko zmiarkowałem, że była tak strapiona mniej dlatego, iż nie udał się pocig za kadetami, ile raczej ze wstydu za to, co zrobiła. Zrozumiała niewłaściwość swego postępk.

Uderz mnie! odezwała się stłumionym głosem.

Może nie byłoby le, by jś trzepnąć i uprzytomnić jej w ten sposób przykroć, jakś mi wyrzdziła, ale w tym rodzaju satysfakcji i poruszania czyjzego sumienia nie gustowałem. Zresztś było to już niepotrzebne.

Uderz mnie, proszę! powtórzyła prawie błagalnie. Objśłem jś wpół i tak mocno przycisnąłem do siebie, że po chwili

zaczęła tracić dech. Nie popuciłem. Mtisiało jś boleć, ale mimo to radosny umiech pojawił się na jej twarzy. Zmiarkowała, że wszystko będzie znowu w porzśdku.

I było. Po powrocie do Poznania przyjšłem jś do swojego zakładu jako uczennicę w dziale fotografii reprodukcyjnej. Okazało się, że była bardzo pojętna i zdolna i robiła szybkie postępy. Gdy w rok później wyjeżdżałem nad Amazonkę, mogłem jej spokojnie powierzyć prace przy aparacie reprodukcyjnym. A kilka lat później okupację hitlerowskś niele przeżyła, pracujśc w zawodzie fotograficznym.

Przez długie lata była mi bliska duszś i ciałem. Ale co pewien czas musiałem jś obejmować wpół i zawsze tak mocno przyciskać, że prawie traciła oddech. Miała szelma ognisty, niesamowity temperament, więc była wierna, bezwzględnie wierna tak długo, jak człowiek był przy niej.

Ryby piewajś w Ukajali

Powrót z nad Amazonki i Ukajali do Polski odbywał się w roku 1934 w literackim triumfie. Warszawa odkryła i z miejsca serdecznie Polubiła poznańskiego podróżnika, a Poznań krótko potem wstąpił w jej lady, przyznajśc mi literackś nagrodę. Natomiast ten sam

Poznań zaraz po moim powrocie okropnego spłatał mi figła: ruin[^] zakładu chemigraficznego.

Andra, niecnota, podczas mej nieobecności nie potrafiła sobie odmówić słodkich wybryków i kuszącej zabawy z niejednym podska-kiewiczem, więc teraz spłoszona schowała się u swej matki. Pomoc kobiecej ręki była mi wówczas bardziej potrzebna niż kiedykolwiek, toteż wezwałem dziewczynę przez posłańca, żeby odwiedziła mnie w sprawie przyszłości. Natychmiast się zjawiła. Minę miała skruszonš, wzrok zgaszony. Chciała co mówić, pewnie przeproszać i tłumaczyć się. Rękš dałem jej znak, żeby tego nie robiła. Wdrożona do postawy harcerskiej, stała wyprostowana jak do raportu.

Szelma nic nie straciła z dawnej urody; miała teraz dwadziecia lat, więc była silna i odporna i hulaszce miesišce nie przyniosły jej widocznej szkody. Patrząc na niš, przypominałem sobie pierwsze przed dwoma laty wrażenia: Afrodyta, fantastycznie zbudowana. I tak dotychczas pozostało. Bila z niej nieprzeparta zmysłowoć w najszlachetniejszej formie.

Masz prawo mnie zbić! odezwała się podobnie jak ongi nad Wartš, tylko z serdeczniej szym niż wtedy zalem.

Podeszła i patrzała mi proszšco w oczy:

Przysięgam, że już nigdy...

Nie przysięgaj! przerwałem jej z przyjaznym umiechem, odsuwając ją łagodnie od siebie.

Nie odrzucaj mnie! prosiła.

Potrzebuję sekretarki! owiadczyłem. Trzeba szybko nauczyć się pisania na maszynie!

Nauczę się! zapewniała z przejęciem.

Znajšc jej pojętnoć, wiedziałem, że nie zawiedzie mnie.

Nie byłem z marmuru. Ogarnęła mnie faia ciepła. Chwyciłem ją wpół i objšłem, jak już nieraz, tak mocno, że ledwo oddychała, a ja poczułem bicie jej serca.

W następnych dniach Kazik migielski i Henryk Smuczyński, oddani przyjaciele, będą pobłażliwie podmiewali się ze mnie i z pozornym wyrzutem wypominali mi generalnš amnestię”.

Nie domylali się, jak Andra, włanie taka Andra, była mi nieodzowna, by następne lata nie osłabiły mej energii ani polotu.

Krótko potem wyniosłem się, raczej uciekłem, z Długiej ulicy po blisko trzydziestoletnim tam pobycie i tylu głębokich, przeważnie

radosnych przeżyciach. Wyprowadziłem się na ulicę Berwińskiego Ludwik Puget, dostojny cygan, a miły znajomy jeszcze z czasów Różowej Kukułki” i Klubu Szyderców”, odstąpił mi tam swą pracownię rzebiarską, umieszczoną na najwyższym piętrze narożnego domu.

Widok z góry, z pracowni, był czarowny o każdej porze dnia i obejmował część parku Wilsona (dziś Kasprzaka). Andra była przy mnie. Przemiała, troskliwa, kobieca. Nieba chciała mi uchylić w tych miesiącach, tylko ptasiego mleka nam brakowało. Dość szybko wygrzebałem się z kłopotów finansowych: zaczęły napływać honoraria. Przyjemność mieszkania tak wysoko nad miastem, rzeczywiście blisko nieba, przemieniała się znowu w sielankę i dobrze tu mi się pracowało.

Jeszcze zimą ukończyłem ostatnie rozdziały książki o Ukajali, wciśnięte skwapliwie drukowane w Gazecie Polskiej”, i wyłoniła się sprawa, jaki dać książce tytuł.

Pewnego razu w obecności migielskiego i Smuczyńskiego, obydwóch skorych do zapału (dlatego byli moimi przyjaciółmi), przeglądałem kartki gotowego już maszynopisu o Ukajali, szukając fragmentów, które podsunęłyby mi wymowny tytuł, symbol, jaki frapujący tytuł-hasło, tytuł-syntezę. Przebiegłem oczami już kilkanaście fragmentów, gdy natrafiłem na miejsce, które mnie zafrapowało.

Chyba znalazłem! zawołałem uradowany do przyjaciół.

Czytajcie! wezwał migielski.

W rozdziale Woda, woda, woda” znalazłem taki oto ustęp: ... Czasem pod wieczór słyhać w wodzie niesamowite dźwięki, jak gdyby bijących dzwonów. To niektóre ryby, do sumów podobne, piewają w Ukajali...”

Pyszenie! wybuchnął Smuczyński Dźwięki dzwonów bijące w rzece”.

Słabe! skrzywił się migielski. Słabe i za wiele syków. Musi być coś o piewie ryb. Na przykład: Rzeka piewających ryb”.

Słusznie! podjąłem żywo. Ale musi być także i o Ukajali.

Ukajali, rzeka piewających ryb” poprawił migielski.

Nie! przyznałem ale zbyt ciężkie, trochę bombastyczne.

Nastąpiło milczenie. Wszyscy trzej szukaliśmy zapalczywie, do głowy napływały skwapliwe myśli. Po chwili odezwałem się:

W

A gdyby tak najprościej, najskromniej: Ryby piewają

w Ukajali”...

Ładna mi skromność zaperzył się rozbawiony Smuczyński. Ale migielski huknął z wielkim ożywieniem:

wietny tytuł: Ryby piewajś w Ukajali”. To chwyci!... Miał słusność. Książka poszła w wiat pod tym tytułem i to”

rzeczywiście dobrze chwyciło.

Wiosna 1936 roku była niewstępliwie wyjątkowo szczęliwą wiosną, bo i Andra, z każdym dniem coraz ponętniejsza, stała mocno i wiernie przy mnie, a poza tym z całej Polski przychodziły tak entuzjastyczne wieści, że dziw, iż nie przewróciły mi w głowie.

Ryby piewajś w Ukajali wyszły do roku 1971 w przeszło trzydziestu wydaniach, w czternastu językach, a szczególnie przyjemność sprawili mi Anglicy dwoma angielskimi wydaniem, w latach 1948 i 1951 (masowym), krytyk czasopisma Times Literary Supplement” tak między innymi wyraził się o książce: ... Jej opisy Indian, rzek, puszczy i zwierząt są bardziej nęcące i wywołują głębsze, gronniejsze wrażenia (awe-inspiring) niż wszystko to, co dotychczas pisano o zielonym piekle...”

Taka ocena w narodzie, posiadającym najbogatszą literaturę podróżniczą, ma swój wymowę.

Dolores

Było to nad rzeką Ukajali. Nie miałem owego dnia wiele chęci do pracy. Spytałem Dolores, czy warto jeszcze wyjść na polowanie. Naturalnie, że warto, odpowiedziała zawsze z taką samą ochotą, i dlatego ją lubiłem. Więc zgoda, idziemy! Ja ze strzelbą, ona z siatką na motyle.

Na dworze buchał na nas straszliwy żar. Dziś było jeszcze goręcej niż wczoraj! Moje ubranie myliwskie, mokre od potu, przylepiło się do mnie jak plaster. Zabawna to historia, gdy machnąłem raz lub dwa razy ręką, przyskałem obfitymi kroplami potu, jak gdyby wyssanego dosłownie z palców.

Nie mniej pociła się Dolores. Płócienna sukienka przylegała jej szczelnie do ciała. Nie krępowało to bynajmniej dziewczyny. Żywo uganiała się za motylami.

W moich płucach zaczęły dziać się przykre rzeczy. Nie mogłem oddychać. Chciałem wciśgnąć głęboko powietrze, lecz jaka nieodparta siła sznurowała mi klatkę piersiową i zaledwie do połowy napełniałem płuca. Puls walił przypieszonym tętnem w skroniach, wzrok zasłaniała mi mgiełka. Ogarniało nas coraz większe znużenie; często odpoczywaliśmy.

Las, niezbyt gęsty, składał się przeważnie z drzew o drobnych liciach, nie dających wiele cienia. Słońce przewiecało do ziemi plamami, tworząc, zwłaszcza nad cięższą, razszą wyspy wiatła. Przejścia przez te otwarte miejsca, nie większe niż kilka kroków, były prawdziwą katusz. Promienie słońca działały w rozpalonym lesie jak ostre strzały i powodowały na ramionach, poprzez koszulę, dotkliwe ukłucia.

Ptaki już się pochowały. Jeszcze przed godziną czyniły rwetes, teraz umilkły, zmorzone snem południowym.

Lecz puszcza nie wymarła. Oto powstało przed nami nowe widowisko: zbudził się wiat owadów. Jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, prawie w przeciśgu jednego kwadransu pojawiły się setki, tysiśce owadów. Chrzśszcze, szarańczaki, pluskwiaki, sieciarki, motyle, cała niezmierna, jaka wzburzona, coraz to liczniejsza falanga. Łaziły owady niespokojnie po zielskach i krzewach, nerwowo wspinały się na gałęzie, biegały jak oleple po cieźce, pełno ich też było w powietrzu. Wszystkie gatunki ogarnęło wspólne podniecenie.

Matko Boska z Guadelupy, patrz! Jak one się kochają! zawołała Dolores pełna zdumienia w roziskrzonych oczach i zgarniała popiesznie najbliższe owady do szklanki z trucizną.

Miała rację. Popęd płciowy owładnął wszystkimi ciałami i wypędził je z kryjówek. W puszczy musiało się stać coś niezwykłego. Może to skutki nadmiernego gorśca, że przepływała przez las tak gwałtowna fala namiętności, może zwierzęcego obłądu? Wstrzśsnęła zmysłami lenych owadów i wzniciła nagle ich rozrodcze instynkty.

Podobnego zaburzenia nie widziałem ani przedtem, ani potem. Dokoła nas rozpętała się nieposkromiona, kipiśca gonitwa ciał. Grony na pozór chrzśszcz z rogiem nosoroźca napadł w niedwuznacznych zalotach na pękatego skarabeusza, należścego do zupełnie innej rodziny; po chwili dopiero poznał omyłkę i pobiegł dalej, unosząc ze sobą nieugaszoną żśdę. Obok kraniał wielki piewik wszystkimi kolorami tęczy na przeroczystych skrzydłach. Był to samczyk: wierczył przeraliwie, wypuszczając powietrze z tchawek. Namiętny głos jego to jak

rozpaczliwe wzywanie tonącego o pomoc. A niedaleko na tym samyrr, krzaku kilka podrażnionych szarańczy wędrowało skocznie po gałęziach i macało dokoła drżącymi różkami.

Wszędzie rozedrgane skrzydełka i ciała poszukiwały się wzajemnie. Niektóre owady znajdowały się, przywierały do siebie w kurczowym ucisku i zamierały bez ruchu na długi czas. Skojarzeń takich było coraz więcej. Zacielały licie i gałęzie krzewów. W powietrzu unosiły się splecione w objęciach motyle morpho i wpadały, łatwy a cenny łup, do siatki Dolores.

Przejmował nas widok tych orgii. Byliśmy wiadkami rzadkiego zjawiska przyrody. Przede wszystkim stwierdziłem jednś niepokojścś rzecz: że owady, pojawiajśc się tak licznie i podlegajśc tak zbiorowej pasji, opanowały życie puszczy. W tej chwili to byli jedyni władcy lasu. One w nim nadawały ton, one tu dzierżyły prym. Las był teraz ich żywiołem i do nich należał, a nie do ptaków, nie do ssaków, a najmniej do człowieka o przypieszonym pulsie i utrudnionym oddechu.

Naraz owady zaczęły chować się szybko. Słońce zaszło za czarnś chmurę, nastał półmrok, pędziła ku nam huczśc ciana deszczu. Zastała nas przygotowanych. W pobliżu stało okazałe drzewo cedrowe. Skrylimy się pod jego konarami.

Dolores chwyciła mnie nagle oburśc za szyję, przyciskajśc mnie do siebie, aż zabrakło tchu. Oczy jej wieciły się jak u srogiego kota. Odczuwałem jej pałajśc ramiona i nogi.

Puć mnie! broniłem się co sił.

Dolores była jakby oszalała, nie mogła się pohamować.

Nie puszczeć ciebie! Nie! Nie! charczała. Cała płonęła.

Jej bezpryтомne uniesienie trwało trzy, cztery minuty, potem dziewczyna powoli przychodziła do siebie.

Także i mnie ogarnęło niezwykle podniecenie, byłem wstrzścnięty.

Do diabła, Dolores, co to było u ciebie? Ile ty masz lat?

Nie wiem, nie wiem!

Chyba masz więcej niż piętnacie lat. Na to Dolores odpowiedziała:

Mam dwanacie lat.

Czy nie łzesz, Dolores?

Tak, łzę!

Jeszcze raz o Dolores

Dolores była córką Eutinia Arechaga, zbieracza kauczuku, mego sąsiada o kilometr. Dolores miała jasnobrzoższą cerę, wilgotne usta i małe oczy, a pod jej kaftanikiem przeżyły się zuchwale dojrzejące kształty kobiece. Był to typowy produkt tych stron, zrodzony na pograniczu puszczy i cywilizacji, gdzie tworzyły się przepastne wiry pojęć, równie zawrotne jak owe na rzece. Jakkolwiek Dolores była córką Metysa i czystej krwi Indianki Kampa, to jednak uczęszczała przez trzy lata do szkoły i nauczyła się czytać i pisać po hiszpańsku. Dziewczyna należała jeszcze do puszczy, która nie wypuściła jej ze swych objęć, lecz wiatr cywilizacji już zaszczeplił w niej ogromną ciekawość i porywające tęsknoty.

W okresie największych tarapatów nad Ukajali przypomniałem sobie, że mój przyjaciel, Tadeusz Wiktor w Išuitos, dał mi na drogę kilka numerów wiatowida”. Dobyłem ich teraz z dna walizy i przeglądałem. Przeglądałem stronicę po stronicy, powoli i coraz uważniej, i w końcu stwierdziłem, że mi drżały ręce.

Widziałem w wiatowidzie” wysokie domy, proste ulice, asfalt, twarze umiękniętych ludzi, krajobrazy z topolami, piękne kobiety białej rasy, widziałem tak wiele białych kobiet, że wydawało mi się to cudownym nieprawdopodobieństwem.

Do czego się tak umiechasz? spytała mnie zaciekawiona Dolores. Co tam masz?

Obrazki z mego kraju! odpowiedziałem, lecz z trudem, bo co ciskało mi gardło.

Były nawet nowiny z mej parafii. Przynosił je Ludwik Puget. Wielki czarodziej i dostoyny cygan z umiękniętym dowcipem wiecił najrozkoszniejsze plotki o Różowej Kukułce”, artystycznym kabarecie poznańskim, o malarzach wielkopolskich, o obrazach i o bliskich sercu rzeczach. Także o jakim balu w Szkole Zdobniczej i o tym, jak wesołe bractwo do rana hulało. Gdy człowiek siedział w chacie nad Ukajali, a ryby wylaziły z ziemi, to dziwnie wielkiej wagi nabierał bal w Szkole Zdobniczej i hulające do rana bractwo.

A w Dolores jakby piorun uderzył. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła ilustrowane czasopismo i gwiazdy filmowe. Wpadła w ekstazę na widok Grety Garbo, Marii Bogdy, Joan Crawford. W biednej indiańskiej główce nie mogło się pomieścić, że gdzie indziej wiat był tak

4.^

piękny i że żyło tyle czarownych kobiet. Skąd miały tak wspaniałe suknie? pytała się. Sto razy oglądała ilustracje i kochała się kolejno we wszystkich aktorach.

Po kilku dniach Dolores się uspokoiła. Ale oczy jej błyszczały nadal jak w gorzeczce i płonęły policzki. Przez tych kilka dni wypiękniała, lecz już nie miała się tak swobodnie jak dawniej. Prosiła mnie, ażebym ją zabrał ze sobą w wiat. Gdy ją ubiorę, będzie tak ponętna jak tamte z obrazków. Umiechnęłam się pobłaźliwie, lecz ona skoczyła na skrzynię i stanęła w takiej pozycji, w której uwydatniały się najlepiej jej wdzięki. (Tego, szelma, nauczyła się z obrazków).

Czy jestem ładna? pytała.

Jeste tak samo piękna jak tamte, może nawet piękniejsza! odpowiedziałem. Ale z czym chciałyby ić w wiat? Nic nie umiesz.

Nauczę się preparować ptaki! zawołała z zapałem. Biedna dziewczyna. Zapał niebawem ostygł. Pozostała tylko wielka, szarpiśca tęsknota do szerokiego wiata i do jego blasków.

Od kilku dni przyjaniłem się z rozkosznym motylem. Spotykałem go co dzień w tym samym miejscu na cieźce w lesie. Gdy się zbliżałem, zrywał się do lotu, zataczał nade mnš kilka kręgów w powietrzu i ulatywał w las. Z biegiem czasu wywiśzała się między nami dziwna zażyłość. Motyl wyzbył się płochliwoci i pozwalał mi podejć do siebie zupełnie blisko. Był to motyl z rodzaju katonefele o uderzajścym ubarwieniu. Na pluszowo czarnym tle rysowały się dwie pomarańczowo żółte wstęgi. Obydwa soczyste kolory, czarny i żółty, stwarzały nadzwyczajnš harmonię.

W Liverpoolu poznałem kiedy młods Angielkę. Przypomniałem sobie dokładnie, jak licznie wyglśdała w sukni z czarnego aksamitu ze złotš wstęgs odcienia pomarańczowego. I oto w moim motylu katonefele znalazłem teraz to samo doskonałe zestawienie kolorów. Słowem, miałem wiele ciepła dla mego katonefele.

Pewnego dnia towarzyszyła mi na polowaniu Dolores. Zabrała ze sobš siatkę na motyle. Katonefele byl rzeczywicie powabnym okazem i Dolores na jego widok aż sprężyła się w łowieckiej pasji. Chciała go koniecznie zdobyć. Przemocš jš powstrzymałem, ratujśc życie motyla.

Czemu nie pozwoliłe mi go schwycić? zawołała Dolores na

pól zła.

Gdy Dolores się pytała, trzeba jej było odpowiedzieć. Nudziłaby i nie popuciła. Tłumaczyłem jej delikatnš sprawę możliwie jak naj-

przystępniej, chociaż to było bardzo trudne. Dolores rozumowała na swój sposób i w końcu stwierdziła tylko jedno, że motyl przypominał mi jakś kobietę, do której mam sentyment.

Następnego dnia rano, przed wyjściem na polowanie, przeżyłem niezmiernie bolesną chwilę. Przyszła Dolores i rzuciła mi na stół mego czarno-żółtego przyjaciela, martwego. W dodatku, ażeby nie było wstępliwoci co do jej pobudek, Dolores podarła motyla na strzępy.

Zdaje się, że Dolores przestała już być dzieckiem, pomimo że miała tak mało lat.

Kanada 1935

Po zapewnieniu Andrzejowi półrocznego w Poznaniu utrzymania wypłynęłem w lipcu 1935 roku z Gdyni do Kanady sympatycznym statkiem „Puławskim”, a wróciłem w październiku jeszcze sympatyczniejszym, „Piłsudskim”. W krainie klonu przebywałem tylko na wschodzie, w lasach prowincji Quebecu, przede wszystkim nad trzema rzekami: świętego Wawrzyńca, Lievre i Oskelanoe.

Andra, pomimo swej zmysłowej natury, w czasie mej nieobecności przez dwa pełne miesiące wytrwała w skupieniu i spokoju. W trzecim miesiącu niewinnie poszła na kolację do ogrodowej restauracji przy placu Wolności, do której nieraz uczęszczaliśmy latem. Przysiadł się do dziewczyny Andrzejewski, nasz dobry znajomy, a że Andra dawno nie miała w ustach kropli alkoholu, chętnie obydwójce wypili za pomyślność mej kanadyjskiej wyprawy. Drugą pięćdziesiątkę za mój rychły powrót. Trzeciś za piękną o Kanadzie książkę. Potem Andrzejewski już nie potrzebował podsuwać toastów, wypito bez nich, a ślaniając się i półprzytomną Andre zawiózł do siebie na noc. Była przerażona, gdy rano się obudziła.

Po powrocie z Kanady przy pierwszej okazji powiedziałem Andrzejewskiemu, że jest bydlakiem i wyrznięłem go w gębę. Czy w stosunku do Andry znowu nastąpiła generalna amnestia”, jak z tego powodu przed rokiem mieli się przyjaciele? Jeli amnestia, to chyba kaducznie zawiła, dziwna i niewysłowiona. Tak czy owak, Andra pozostała nadal przy mnie.

Książkę o kanadyjskich przeżyciach zacząłem pisać już w Kana-

dzie, a po powrocie do kraju, nie mając stałej siedziby (pracownię przy Berwińskiego w Poznaniu zwróciłem Ludwikowi Pugetowij, dalej pisałem wśród romantycznego koczownictwa po różnych wertepach Polski: po opuszczeniu Poznania przerwaliśmy się na Wileńszczyznę. Całe lato 1936 roku spędziliśmy w arcysielskich okolicznościach, na kresach Wileńszczyzny w otoczonej lasami wiosce, dokąd towarzyszyliśmy miłemu pracownikowi Muzeum Zoologicznego w Warszawie, Bogdanowi Kreczmerowi. Podczas gdy on z podziemnych nor wylapywał małe, osobliwe ssaki ryjówki, ja wychwytywałem z mych kanadyjskich wspomnień to, co wydawało mi się ciekawe i warte uwagi. Tworzyliśmy zgrani paczkę, Andra była wspaniała, i chociaż podejrzliwi chłopcy z ukosa patrzyli na niezrozumiałe machinacje zdziwaczałych przybłędów z miasta, wietnie się czuiliśmy.

Pod koniec lata wróciliśmy w okolice Poznania i tu, w wiejskiej chałupie Jarlaczyka, w Rogalinku, rozgociliśmy się na szereg szczęśliwych miesięcy: mieliśmy przed sobą rozległy widok na Wartę i na słynne łski nadwarciańskie. O kilkadziesiąt kroków za chałupę rósł zagajnik młodych sosen, na dwu chłopcy wysoki, więc w ciepłe dni września wynosiłem do gószczu stolik, krzesło i słowniki. Zasyty w młodziaku, w zielonej wištynie nie tylko dumania, ale i twórczoci, ukończyłem pisanie Kanady pachnącej żywiciem. I tak oto w rok po powrocie z za morza zakończyłem księżkę w pamiętnym z czasów mego chłopięctwa Rogalinku pod Poznaniem.

Andra, pojętna dziewczyna, w czasie naszej czteroletniej znajomości niezwykle podciśgnęła swój ogólny poziom wiedzy i wykształcenia. Nie tylko nauczyła się wszystkiego, co potrzebne do zawodu sekretarki, ale zaczęła niele przyswajać sobie załszki jak gdyby literackiej ze mną współpracą. Chętnie jej czytałem napisane rozdziały czy choćby ustępy, a ona, uważna czytelniczka, wyrabiała w sobie z biegiem czasu na ogół oryginalny i trafny zmysł krytyczny. Umiała coraz lepiej wytłumaczyć, co jej się szczególnie podobało i dlaczego, a co mniej przypadowało jej do gustu. Przeważnie wyrażała słuszną ocenę.

Często do mego rogalinińskiego Tusculum przyjeżdżali z Poznania przyjaciele; Kazimierz migielski, artysta-grafik Henryk Smuczyński, publicysta Kazimierz Pluciński Pigwa”, dalej nieustanny marzyciel Stanisław Kubicki, oraz członkowie grupy literackiej Prom”, jak Allan Kosko czy Bronisław Przyłuski. I inni.

Niezwykle miłe i płodne to były spotkania, na których raz w raz

z namiętnościś wyklócalimy się o swoje racje, omawiajśc piękne rzeczy. Potrščalimy także i o bolesne troski, a ja, zwyczajem moim, starałem się pobudzać ich krytyczne uwagi w stosunku do tego, co w danej chwili miałem na warsztacie: a więc do poszczególnych fragmentów Kanady.

Czy Kanada kiedykolwiek natchnie kogo do tak silnej ekspresji, tak uroczej ewokacji? Czy poruszy tyle pozytywnych uczuć, tyle namiętności? Czy rozgrzeje u czytelników wyobraźnię? Wštpię! powiedział migielski.

Zobaczymy! odcisł się Allan Kosko. Fakt faktem, że Kanada po wszystkie stronice przepelniona jest szczerym i mšdрым uczuciem, więcej niż błyskotliwe Ukajalił

Rzecz gustu! mruknšł serdecznie zacierzewiony migielski, i nastala chwila ciszy i odprężenia.

Wtedy, zrazu niemialo, odezwala się Andra. Jak zwykle, w naszym męskim towarzystwie ona dbala o stronę gocinnš. Ale teraz się odezwala, walczšc o Kanadę przeciw migielskiemu.

Wy wszyscy macie wielkie rozумы! zaczęła zniżonym głosem, wodzšc po nas dobrotliwie drwišcym spojrzeniem. Jestecie naładowani wiedzš, że aż pękacie, i mšdrociš jak się patrzy, sami głowacze, gdzie mi tam do was się wtršcać...

Ale wtršcasz się, licznatko! przerwał jej rozbawiony migielski.

Nie przeszkadzajcie Andrze! bronił jej Kosko.

Więc muszę się wtršcić, bo chciałabym zabrac głos jako czytelniczka, nic więcej, tylko jako czytelniczka jedna z setek...

Z tysięcy! poprawił jš migielski żartobliwie.

Z dziesišków tysięcy! sprostował go Allan Kosko bez żartu.

Dobrze, jedna z dziesišków tysięcy! powtórzyła Andra. Przepisywałam niedawno temu manuskrypt Kanady na maszynie i natknęłam się na miejsce, które bardzo przypadło mi do gustu. Ukajali to ksišzka klawa, jak by powiedzieli moi dawni kadeci, a jednak tak pięknego, moim skromnym zdaniem, fragmentu jak w Kanadzie, nie uwiadczysz w Ukajali, gadajcie sobie, co chcecie...

Gdzie ten fragment? zawołano.

W rozdziale: Skaly, jodły i czarne oczy. Chciałabym go wam Przeczytać: czy mogę?

Możesz! Dawać go! zachęcił rubasznie Kazik.

Prosimy bardzo, prosimy! nakłaniał Allan grzecznie, będąc j z uprzejmiejszej gliny.

Andra wyszukała fragment i już pełnym, dwięcym altem czytała:

... Ton nadajš jodły i wierki. Rzekłby: uroczyste wieżyce, któ- | rych wysmukłe czuby modłš się do nieba. Jodły i wierki to naprawdę zdumiewajšce i dorodne drzewa. Ich stożkowate sylwetki wprowadzajš do obrazu ład i spokój, prostotę i stateczność. Dzięki nim północny las nabiera wybitnie cech uczciwoci i dostojności. Wszystko, co dokoła widzimy, obramowane od spodu skałš, od góry zygzakiem iglastych drzew, z płytš rozlanych wód porodka, to wszystko jest wyraziste, jasne, prostolinijne, energiczne, jędrne, jakie uczciwe. Przyjemnie spoglšdać na przyrodę, która wzbudza tyle zaufania i koi wzrok. Chciałoby się tu długo mieszkać i snuć czyste, podniebne myli. Trójkštne drzewa wskazujš prosto na błękitne niebo.

Znam przecież innš puszcę, hen daleko na południu, nad Amazonkš. Kocham jš i tęsknię do niej. Jest wspaniała, wybuchowa, tajemnicza, goršca jak piękna kobieta, jest przy tym pełna spazmów i zasadzek, zdradliwa, okrutna i zachłanna. Jak namiętna, zła kobieta puszcza nad amazonkš najpierw upaja, potem męczy i pożera. Człowiek boi się jej, a jednak tęskni. Pod palmami i wród lian pieniš się upiornoć i szaleństwo. Na północy, wród wierków, panuje pokój i wytchnienie. Wród wierków chciałoby się mieszkać...”

Gdy przestała czytać, nastšpiła chwila wymownej ciszy. Andra bardzo ładnie czytała. Z przejęciem, ale tak złagodnym i tkliwym, że po prostu wyczuwało się urok tych dwóch lasów; i północnego, i południowego, i wprost namacalnie otwierała się przed nami wielka różnica między dwiema puszcami.

Wród wierków chciałoby się mieszkać...” powtórzyła Andra, wodžc pytajšcym spojrzeniem po nas wszystkich dokoła. Czy nie chcielibyście mieszkać tam, pod wierkami? Ja chciałabym!

Nagle popędliwy migielski zerwał się, doskoczył do Andry i 7. impetem jš pocałował.

Poddaję się! zawołał.

I

Czajka

Wśród pasażerek Batorego”, w roku 1936, niewątpliwie najosobliwszą indywidualnością była Bela Gelbardowa, wtedy żona warszawskiego architekta. Można było zastosować do niej wszystkie ostre przymiotniki, jak: narwana, szalona, postrzelona, zwariowana, i wiele by się nie chybiło. Bela, urodzona w Mińsku Mazowieckim w domu kupieckiej rodziny o artystyczno-kulturalnych ambicjach, mogła być urodzić się tak samo w Berlinie, Wiedniu, Paryżu, Lizbonie, Nowym Jorku, Buenos Aires czy w Samborze, gdyż wszędzie tam rozproszoną miała najbliższą rodzinę, rodzeństwo, kuzynów, wujków.

Bela, w czasie drugiej wojny światowej znana jako Czajka, miała złote serce, a temperament lamparcicy; była pełną uroku ekscen-tryczką, fantastką i gawędziarką nie z tej ziemi: bajła nieprawdopodobne historie o sobie i innych, a że czyniła to z zamaszystym wdziękiem i niespożytym humorem, ludzie, miejsc się, słuchali jej godzinami. Niewątpliwie naszpikowana wielu kompleksami, z których nie najszcuplejszy był seksualny (Miałam już dziewięciu mężów i kilkudziesięciu kochanków”, bujała z całą powagą), pomimo swych urojeń, szaleństw i często nieznośnych wprost ekscesów, wybijała się wielką dobrocią serca i zaskakującą uczynnością: mając po drugiej wojnie światowej różnych kuzynów w urzędach, z brawurą i ofiarnym tupetem umiała bronić ludzi skrzywdzonych.

Życie miała niesłychanie bujne i barwne; liźnęła za młodu nieco historii sztuki i podobnych nauk (twierdziła, że je ukończyła na Uniwersytecie Warszawskim), i była za pan brat z całym warszawskim światkiem literacko-artystycznym; przyjaśniała się ponoć z wielu znakomitociami, a także ze słynnym ongi Franciszkiem Fiszerem, dowcipnym kawalarzem, którego Bela chyba brała sobie za wzór swych urojeń i egzaltacji. Gdy poznałimy się na Batorym”, miała przeszło czterdzieci lat i już wiele przeżyła, ale najbardziej pasjonująca część życia czekała ją jeszcze w przyszłości.

Gdy Batory” przybył do Casablanki, pasażerowie wyroili się na lśd, a między nimi i Bela. Chciała tę podróż opisać jak należy, więc szukała egzotyki wśród arabskiej ludności i zbierała wrażenia. Zapuszczała się odważnie w pojedynkę na przedmiecia, korzystając ze swego wschodniego wyglądu, i wracała na pokład napelniona

4 Kobiety...

sensacyjnymi wieciami o doznanych przygodach. Kazała nam wierzyć, że w Casablance działały się rzeczy z Tysiśca i Jednej Nocy, i że Arabowie na skraju miasta, urzeczeni wybitną osobowocią Beli, wybrali ją swoją księżniczką. Wyobrażenia jej rozegrała się i stworzyła wkrótce książkę Szlakiem Południa, wypuszczoną na świat jeszcze tego samego roku przez urzeczonego wydawcę. Nie czytałem książki, ale pewnie było w niej więcej zmyśleń niż prawdy.

Bela w stosunku do mnie była rozkoszna. Należąc w Warszawie do kliki przeestetyzowanych snobów kawiarnianej bohemy, patrzyła z góry na poznaniaków i także mnie uważała za niewydarzonego, choć wybijającego się prostaka. Ceniła u mnie niejaki talent i romantyczne przygody w puszczy, więc rzuciła się na mnie jak na gotowy żer i chciała, szalona żona Putyfara, mieć mnie na rozkładzie. A ja, ku jej zdumieniu, odmówiłem podobnie jak Józef. Zamiast tego zaproponowałem jej szczerą, bezamorową przyjaźń i ona, powarkując jak zraniona lamparcica, ostatecznie zgodziła się: na długie lata zostaliśmy mniej lub bardziej dobrymi przyjaciółmi.

Gdy w 1938 roku wracałem z Madagaskaru, lecąc przez Afrykę, gdzie tam po drodze zdobyłem żywego ichneumona, przeurocze zwierzątko niezwykle oswojone i łagodne. Darowałem je Beli, a ona, wzorując się na słynnym obrazie Damy z łasiczką Leonarda da Vinci, idąc do kawiarni z dumą nosiła ichneumona między swym biustem. Zabawa trwała dwa miesiące. Pomimo że dokładnie Belę pouczyłem, jak karmić ichneumona, przekarmiła go, po czym zbyt wielką porcją rycyny przecięła pasmo jego dni.

Z rozpaczą i furją, znamienne dla Beli, doniosła mi telefonem do Poznania o katastrofie i z icipa Belowa logiką obarczyła mnie całą winą:

Łajdaku, potworze! Ty draniu i łotrze! Nikczemnie dałeś mi zwierzątko naumylnie, żeby mu mierć zgotować!!...

Belo! odpowiedziałem. Na wszystko się zgadzam, tylko o jedno proszę: niech o tej hecy nie dowie się Tadeusz Breza, błagam ciebie!...

Breza dostał lekkiego hysia na punkcie autora Ryb i uwziął się, by uważać go za ostatniego okrutnika” wobec zwierząt.

I love you, too!

Szedł rok 1942. Byli to chłopcy cudowni, ci z Kociuszkowskiego Dywizjonu 303, zdrowi, jędrni, krzepcy, przystojni. Nie dziw, że leciały na nich dziewczyny. Bo już się rozniosło: to nie tylko zwycięscy myliwcy, nie tylko egzotyczni obrońcy angielskiego home'u, lecz i jakie nieprawdopodobne zuchy, okrutnie cięte na krasę niewieciś. Wiedziały

o tym oczarowane dziewczyny z northolckiego Orchardu", wiedziały i wykwintne panie londyńskiego Berkeley" czy Dorchesteru".

Bogata lady Smith-Bingham, matka-opiekunka polskiego dywizjonu 303, urządziła dla myliwców cocktail-party w Dorchesterze". Sprosiła co najpiękniejsze panie z londyńskiego towarzystwa. Przyszły jak jasne, szlachetne kwiaty, by poznać sławnych lotników. One i oni tańczyli, umiechali się, pili, byli weseli, byli szczęśliwi, zakochiwali się. Nie tym kochaniem, które jest brzemienne jak los, lecz tym, które jest jak barwny motyl.

Ależ to tancerze! Teraz rozumiem ich powodzenie u kobiet! stwierdzał ze sportowym uznaniem zażywny markiz Donegall, i choć mówił, że rozumie, po prawdzie nie rozumiał sedna rzeczy.

Jedna z powabnych ladies, młoda wdówka, po kilku cocktailach straciła angielską powściągliwość i uwzięła się na Jana Zumbacha. Prawiła mu słodkie, dobre słowa, oceniała dodatnio szerokość jego polskich barków i mówiła mu wesoło:

I like you, John!... Lubię ciebie, Janie!

A Zumbachowi zawieciły się oczy wilkiem, bo to zberenik z nich największy. Wyszeptał:

I love you, too!... Ja ciebie także kocham!

Lecz potem nagle co zepsuło angielską sielankę. Z winy samego Zumbacha. Ni stąd, ni zowąd ostygł. Widocznie wypił za wiele: co mu się przywidziało. Jaka zjawia przez mgłę, jakie dalekie wspomnienie. Ujrzał inne oczy: chabrowe. Ujrzał inne usta: winiowe. I był to kto inny niż lady: Zosia. A może Jadzia albo Marysia, chociaż z pewnością była to Zosia. I słyszał, najwyraniej usłyszał jej daleki głos, pełen Pieszczoty i tęsknoty:

Czy pamiętasz mnie, Jasiu?

Gdy myliwiec już tak usłyszał i ujrzał nagle oczami duszy, ostygł

I już za nic w świecie nie mógłby pięknej lady powiedzieć zuchwale: I love you.

Bo serce, polskie serce to dziwna rzecz: może włóczyć się po całym wiecie, może upadać na rozdrożach, uzbrajać się w pancerz zapomnienia, może upajać się blaskiem obcego nieba aż oto zniecka i chytrze zgotuje sobie samemu podstęp i wpadnie we własną sieć. I ujrzy umięknętyś z daleka Zosię albo przytulną strzechę, albo samotną mazowiecką sosnę. Inny to będzie podstęp niż podstęp wroga w Messerschmitcie i niż podstęp ludzi nikczemnych, wzajemnie się zwalczających: będzie to uczciwy, rzewny, dobroczynny podstęp ludzkiego serca.

Owa cocktail-party odbywała się już dawno, podczas pamiętnych dni Battle of Britain, kiedy to Dywizjon 303 z lotniska w Northolt bronił skrzydłami swymi Londynu. Od tego czasu wiele się zmieniło w składzie dywizjonu, większość tych wspaniałych lotników poległa. Lecz Zumbach żył. Brał udział we wszystkich ofensywach frontu zachodniego i w żadnej nie odniósł kontuzji. Tylko czasem miał osobliwe przywidzenia: gdy na swej maszynie wzbijał się w powietrze, w duszy widział na chwilę oczy jakiej dziewczyny. Nie wiedział, jakiej: Zosi, może Wandzi, może Stasi?

Można było kpić sobie z niewinnych zabobonów i wiary w talizmany, ale w tych upartych a dobrych oczach polskiej dziewczyny co jednak musiało być: co, co dziwnie, niemal cudem, Jana Zumbacha chroniło, iż nie miały się go ani pociski wroga, ani inne złe przypadłości wojny.

Krystyna Skarbek

Była młodą kobietą o niezwyklej urodzie i burzliwych losach życia. Miała ciemne, płomienne oczy i już za sobą nieudane małżeństwo z łódzkim przemysłowcem, które zakończyło się rychłym rozwodem. Gdy w Warszawie wypłynęłam jako literat-podróżnik, Krystyna zwróciła na mnie roziskrzony wzrok i zbliżyliśmy się do siebie. Chociaż obdarzona bujnym temperamentem, pozostaliśmy tylko przyjaciółmi; wolałam stwarzać z nią przy stole restauracyjnym czy dansingowym miłe nastroje, pełne wesołych szaleństw i szampańskiej fantazji, niż wdawać się w amory. Krystyna była wyjątkowo urocza, inteligentna, lecz nabita dziwnymi kompleksami; przeżywała rodowe fanaberie

i snobistyczne łamańce. Była tajemnicza; w jakiej znowie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych często wyjeżdżała do Anglii, ponoć do swoich krewnych z rodziny Grany Ile'ów. W Polsce chciała wyjść ponownie za mąż, tym razem za człowieka z głoniejszym nazwiskiem. Gdy facet, który wrócił z Madagaskaru i poznał diabelny wdzięk Malgaszek, serdecznie wykpił jej matrymonialne zachcianki, ona od razu dała spokój i wyszła nieco póniej za Jerzego Giżyckiego. Był on wciřz piękny i zniewalajřcy, orlisty, ale orzeł niemożliwie ponury, kapryny, i oczywiście małżeństwo musiało się szybko rozbić.

Pod koniec drugiej wojny wiatowej doszły do Polaków w Londynie wieci o niezwykłych przygodach Krystyny, za które dostała wysokie odznaczenia brytyjskie, francuskie i amerykańskie.

Między innymi Krystyna, słuřc w Intelligence Service, pracowała jako radiotelegrafistka w brytyjskiej komórce wywiadowczej w południowej Francji. Gdy stamtřd wysłano jej boyfrienda jako tajnego agenta do Włoch, okupowanych przez Niemców, umówiła się z nim, że do wzajemnych słuřbowych radio-szyfrów będsz potajemnie dodawali nieznaczone słówko ily” oznaczajřce skrót czulego: I love you. Kilka pierwszych szyfrów Krystyna odebrała z umówionym znakiem, ale gdy następne przychodziły bez znaku, zaczęła podejrzewać, że jej boyfriend wsypał się i następne telegramy były podrobione przez Niemców. O tym zameldowała swym przełożonym i wkrótce okazało się, że słuřnie ostrzegła. Z tej nowej sytuacji Brytyjczycy wyciřgnęli korzyści, niemało wpływajřce na dalszy los wojny we Włoszech.

W teřże okupowanej przez Niemców Francji południowo—wschodniej u wylotu Alp w okolicach miasteczek Vercours i Digne, Krystyna Skarbek wywiadczyła Aliantom jeszcze bardziej niezwykłř przysłuęę. Wykazała niebywałř odwagę, wręcz zuchwałość i poświęcenie. Mianowicie trzech jej wybitnych kolegów z podziemia francusko—angielskiego, kierownika organizacji, Francuza Rogera, Francuza majora Sorensena i Anglika majora Xan Fieldinga złapał patrol niemieckiego SSi uwięził w Gestapo w miejscowoci Digne. Było to w sierpniu 1944 roku, front Aliantów się zbliżał, a uwięzionym, zwyczajem hitlerowców, groziło kařdej chwili rozstrzelanie w więzieniu. Krystyna, niewiele się namylajřc, popieszyła do Digne, zgłosiła się u dowódcy Gestapo i owiadczyła mu, że jest partyzantkř z Ruchu Oporu, a zgłasza się, by z więzienia wydobyć trzech uwięzionych, z których jeden był jej mężem.

Gotowa jestem dać odpowiedni okup! dodała. Kapitan-gestapowiec przeszył ją wilczym lepiem i pomyślał, że

bezczelnej babie mógłby wpakować kulę w łeb, jak to już niejeden raz czynił. Umiechnął się ironicznie:

A ile dasz? Czy dasz dwa miliony franków?

Dam! odrzekła bez namysłu ku jego zdziwieniu. Przecież jeden z nich to mój mąż...

Skąd wemiesz pieniądze?

To moja rzecz: będę je miała!

Kiedy?

Nie później niż za dwa dni...

Kapitan zamilkł. Przestał umiechać się drwiśco. Widząc to, Krystyna szybko dorzuciła:

Za trzy, cztery dni dotrą tu Alianci. Moja organizacja da panu kapitanowi, poza pieniędzmi, pełną gwarancję życia i wolności...

Znowu milczenie.

Zgoda! rzekł po chwili kapitan i cały się zmienił. Zatracił swój odpychający butę gestapowca, stał się normalnym człowiekiem.

Zgoda! powtórzył. Ale nie ja osobiście uwolnię tych trzech, lecz Belg Maks Waem, oficjalny tłumacz Gestapo. Więc w ciągu dwóch dni pieniądze!...

Będą potwierdziła Krystyna.

I były. Telegramy szły do zwierzchniej kwatery Intelligence Service w Algierze, i już następnego dnia nocą pieniądze zrzucono spadochronem. Krystyna zawiozła je do Digne i dopilnowała całej akcji zwolnienia trzech więźniów.

W godzinę później radio londyńskiego BBC doniosło wiatu:

Roger est libre. Congratulations a Pauline''.'

Pauline'' było konspiracyjnym pseudonimem Krystyny Skarbek.

W czasie wojny Krystyna, wciąż służąc w Intelligence Service, natłukła się w doniosłych misjach po wielu państwach, ogarniętych wojną, dwa razy przemycła się przez Karpaty do Polski, była w kilku

krajach Bliskiego Wschodu i w Afryce, a co najważniejsze, jej urok osobisty, charakter i kultura duchowa zdobywały gorących przyjaciół wśród wysokich sfer brytyjskiej dyplomacji i wojskowoci. Wszyscy byli niś zachwyceni, ambasady brytyjskie owych regionów ofiarowy-54

wały jej hojnš gocińę, wszędzie u wybitnych Brytyjczyków była jako persona grata.

Wszystko to aż do końca wojny.

Wszystko z nastaniem pokoju do cna się zmieniło. Dnia 11 maja 1945 roku Krystyna dostała na odczepne sto funtów angielskich i zdawkowe, urzędowe pożegnanie. Nic więcej.

Odtšd jak gdyby jej gwiazda zagasała. Nie wiodło jej się dobrze. Mieszkała w ubogiej dzielnicy Londynu w hoteliku, w którym przebywali zwichnięci Polacy, krzywo na życie i na siebie wzajemnie patrzący.

Krystyna starała się o obywatelstwo brytyjskie, ale szło to jak po grudzie i dopiero po dwóch latach próbę jej uwzględniono. Chciała pracować w brytyjskiej ambasadzie w Warszawie; odmówiono jej. Próbowwała dostać się do Genewy na stanowisko angielskiej urzędniczki; odmówiono jej. Chciała uzyskać prawo dłuższego pobytu w Kenii, wówczas jeszcze kolonii brytyjskiej, ale władze kolonialne czyniły jej tyle uwłaczających trudności, że wołała zrezygnować.

Chociaż miała wielu wybitnych przyjaciół angielskich na szczytowych stanowiskach, i niektórzy znali jej kłopoty, nikt jej teraz należycie nie pomógł. Żeby żyć, chwyciała się byle czego. Była telefonistką w India House, sprzedawczynią sukien u Harrodsa, zawiadowczynią działu bielizny w hotelu w Paddington.

Ostatecznie dostała się jako stewardessa drugiej kategorii na pasażerski statek linii Shaw Sawill, ale i tu nie zaznała spokoju. Angielskie koleżanki-stewardessy obraliwie odnosiły się do niej jako do "foreign woman" i otoczyły ją murem złośliwości. W obronie Krystyny stanął jedynie starszawy steward kšpielowy Muldowney, za co była mu wdzięczna. Lecz owe indywiduum, życiowy rozbitek o zachwianych władzach umysłowych, obłądnie zadurzył się w Krystynie i zaczął ją przeladować swym afektem. Wkrótce musiała zrezygnować z pracy na statku i chronić się przed nim na lšdzie. Ale i tam szalencie ją odnalazł. W polskim hoteliku, w którym mieszkała, dopadł ją i w przystępie szału ciosami noża zadał mierzć. Działo to się w 1952 roku.

Anglicy, zachwyceni nią w czasie drugiej wojny wiatowej, wtedy nie tylko kochali ją i podziwiali, ale jeszcze podczas wojny we wdzięcznych poematach i hymnach sławę jej szerzyli, w licznych wspomnieniowych ksiązkach nie szczędzili jej pochwał, a gdy zginęła, na Pogrzebie generał Gubbins ostatni hołd jej oddawał w imieniu rządu Wielkiej Brytanii. Lecz w maju 1945 roku i później dlaczego nie

podano jej życzliwej ręki? Dlaczego odmówiono jej skromnej posady w brytyjskiej ambasadzie w Warszawie czy u władz brytyjskich w Genewie? Dlaczego ofiarowywano jej tylko pracę, uznanie przez ogół za niestosowne i upokarzające? Dlaczego ona, odznaczona w czasie wojny orderami brytyjskimi, po wojnie, ażeby żyć, przyjść musiała pracować stewardessy drugiej kategorii na brytyjskim statku pasażerskim, pełnym złośliwych stewardess-koleżanek? Miała przecież odpowiednie wykształcenie!

W roku 1975, w dwadzieścia trzy lata po tragicznej śmierci Krystyny Skarbek, wyszła interesująca książka o niej i jej przeżyciach pióra niejakej Madeleine Masson pod tytułem: Christine (A Search for Christine Granville) G.M., O.B.E., ??? de Guerre. Z przedmową Francisca Cammaerts.

Oszupiał czytelnik tej książki wraz z autorką zadaje sobie przykre pytanie, dlaczego po wojnie nikt jej nie pomógł?

Gdzie podzieli się pułkownicy, tak przyjaciele czasu wojny, gdzie angielscy ambasadorowie, profesorowie, przeróżni dygnitarze? Dlaczego nie wkroczył poseł do parlamentu Julian Amery? Albo pułkownik Sir William Deacon? Albo generał Sir Colin Gubbins? Gdzie był pułkownik Trafford-Roberts, i profesor Richard Truscoe, i Sir Peter Wilkinson, i pułkownik Guy Tamplin, i ambasador Sir Owen ?????????? Czemu ci oddani czasu wojny przyjaciele i entuzjaci zamilkli po wojnie, czemu zapomnieli o niej? O Krystynie Skarbek?

Dziwna ta Anglia, ojczyzna Szekspira i Mrs. Florence Nightingale!

Ku Madagaskarowi w latach 1937/8

Niewstpliwie Paul Gauguin wywierał przez całe lata po pierwszej wojnie światowej potężny wpływ na moje wyobrażenie. Był mi bliski swoim burzliwym barwnością malowideł i prostotą życia, swoim opętaniem żądzą słońca i zapalczywym zmysłowociem.

Także Andra była zmysłowa i wciąż kusząca i ponętna, ale właśnie owa cholernie wybujała zmysłowość przysparzała jej kłopotów, a mnie niepokoję. Wzruszającą oddaną tylko tak długo, jak bylimy

blisko siebie, rozkoszna dziewczyna stworzyła aurę nieustannej rozterki i niepewności naszego jutra. To wyrwanie nas męczyło i z biegiem czasu stało się nieznośne.

Gdy kończyłem pisanie Kanady i powstawały plany nowej podróży w daleki wiat, a zacząłem myśleć o Tahiti, tropikalnym raju Gauguina i o brzoźowych ludziach, wtedy redaktor naczelny *Gazety Polskiej*”, Bolesław Miedziński, poprosił mnie do siebie i zaproponował mi wyjazd na inną wyspę, Madagaskar. Żywiej zabiło mi serce: Tahiti kojarzyło się jak je w tych latach odczuwano głównie z zewnętrznymi powabami Polinezji: tańcami, pieśniami, sielankowś miłociś, górnotniś romantykś Pierre Lotiego, tropikalnymi filmami; natomiast Madagaskar przedstawiał większy ciężar gatunkowy. Był obszarem głębszych, nie zbadanych jeszcze tajemnic. Tam wszystko pulsowało innym życiem, ocierało się o groteskę i zawiłś zagadkę: nie-odgadnione dzieje Lemurii, zdumiewajśca ziemia, niesamowite rośliny, ekscentrycznie piękne motyle, przedpotopowe, dziwaczne zwierzęta, tkliwe lemury, wymarłe niedawno olbrzymie ptaki epiornisy, ludzie o intrygujścym pochodzeniu z dalekich Wysp Sundajskich i niewymowny, legendarny czar kobiet...

Kilka francuskich ksiżek o Madagaskarze, jakie wpadły mi w ręce w ostatnich latach, zawierało takie wieci, że musiały podniecać zaciekawienie. Chociażby paradoksy fauny: obok tysięcy drapieżnych krokodyli żyły tam liczne miesznie łagodne, potulne lemury; lub paradoksy flory: na wschodzie wyspy najbujniejsze puszcze tropikalne, podobne do amazońskich, a nieco dalej na suchym południu upiorne lasy kserofitowe o wysokich drzewach jak kikuty, a prawie bez lici.

No, i ludność, a zwłaszcza kobiety, opiewane tak gorśco przez francuskich podróżników. Czym kusźce Tahiti było na Pacyfiku, tym Madagaskar na Oceanie Indyjskim. Francuzi, opisujścy Wielkś Wyspę rozmaicie, z różnych punktów widzenia, byli jak jeden mśż zgodni co do nieodpartej kobiecoci Malgaszek. Prawie wszyscy oczarowani, rozpływali się w ich pochwałach, wynosili ich zmysłowy urok. Nawet gdy ujemie o nich pisali, jak na przykład w pewnej powieci o tragedii młodego Francuza, zakochanego na mierć w niewiernej Malgaszce, to jednak nieodmiennie przyznawali jej tajemniczy wdzięk i bezprzykładny czar kobiety fatalnej”.

Dotkliwie odczuwałem brak kobiecego ciepła, a tu Francuzi cuda mi prawili o kobiecoci Malgaszek. Żyźny deszcz nowin padał na suchy

piasek i wzniecał mocne i szlachetne pragnienia. Chciałem przeżywać egzotykę głębiej niż dotychczas; wnikliwiej wchłaniać żar tropików, I mocniej ocierać się o ich bujność i szalone rzeczy.

W tym okresie coraz bardziej ogarniałem wzorem Gauguina ! elementy geograficzne poprzez pryzmat zmysłowości, więc wybiera- | jąc się na Madagaskar, spoglądałem na wyspę okiem romantycznych Francuzów. Podróżując po wiecie, już dotychczas starałem się doznawać tego, co w danym kraju najintensywniej poruszało zmysły: doznawać zapachu kanadyjskiej żywicy, przepychu amazońskiej puszczy, piewu ukajalskich ryb; a na Madagaskarze spodziewałem się przeżywać, nie, napawać się pełną duszą wybaczenie mi asceci i abnegacji wszelkich kalibrów kobiecociś Malgaszek. Jeli Madagaskar miał stać się Wielką Przygodą, to Malgaszki musiały w tym odgrywać niepomierne rolę.

Więc wracając do mego pobytu na Madagaskarze, wyspa mocno I i coraz bardziej mnie przyciągała, gdy głębiej wnikałem w jej osobliwość. Był to intrygujący szmat powierzchni ziemi jakby nie z naszego wiata zrodzony, jakby nie tkwił w dzisiejszej epoce, i w istocie zagadkowe było tu prawie wszystko: rolnictwo, zwierzęta, ludzie, zamierzchnia historia ziemi.

Wpadłem tu w dziwniejszą egzotykę, niż istniała w Amazonii, i wszystko było jakie bardziej romantyczne, szczególnie ludzie urzekali swym wdziękiem i dorodnością; byli frapujący i fantastyczni. Kobiety nie zawiadły. Francuzi mieli rację. Malgaszki były wyjatkowo powabne. Ich zaborcza kobiecość, obok której nie można było przejść obojętnie, stanowiła jakiś ważny, wręcz kluczowy element w madagaskarskiej rzeczywistości. Była zmysłowym spoiwem między przybyszem a nieodgadnioną wyspą.

Moja przyjaźń z dwiema dziewczynami, z Velornody w Ambina-j nitelo, a później z Kintanś z centralnego narodu Howów, okazała się wielkim przeżyciem dla serca, duszy i ciała. Dzięki nim, poprzez ich czar i zmysłowość, odsłaniały mi się tajemne rzeczy Madagaskaru i potrafiłem intensywniej wczuć się w to, co było tu piękne, istotne i tak niezwykle.

Druga książka z owej podróży po Madagaskarze, Radosny ptak drongo, dotyczyła mego pobytu w gorsej wsi Ambinanitelo, czarującym ustroniu na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy. Większą część rozdziałów zdążyłem napisać jeszcze przed drugą wojną światową

toż, więc, sam oczarowany ludmi i przyrodą, w opis swoich przeżyć hojnie i bez osłonek wkładałem całą soczystość, urodę i wdzięk owych niezapomnianych tygodni w szczęśliwej dolinie.

Radosny ptak drongo ukazał się w druku w Anglii podczas wojny w polskim języku zarówno w osobnym wydaniu, jak i w zbiorze pod tytułem Żarliwa wyspa Beniowskiego (w roku 1944), a w angielskim wydaniu tuż po wojnie pod tytułem: The Madagascar I Love. Angielską krytykę miałem nad wyraz pochlebną. Fiedler jest Polakiem i przyrodnikiem. Jaka szkoda, że jego poprzednie książki podróżnicze wychodziły tylko w polskim języku; jego opisy są porywające. Umiał wtargnąć pod skórę Malgaszów, w głąb ich duszy..." pisano w Illustrated London News", a w czasopiśmie Western Mail" tak się wyrażono: Wybitny polski pisarz, który wiele podróżował w celach studiów zoologicznych, jest najbardziej bezpośrednim (dosłownie: bliskim ziemi down-to-earth) pisarzem i

stworzył ze swych dowiadczeń o ludziach, kraju, florze i faunie Madagaskaru wyjątkowo bogatą treść...” Także polskie wydanie *Drongo* przyjęto w Wielkiej Brytanii i w Ameryce bardzo przychylnie.

Radosny ptak *drongo* był typową książką, wyległą z przedwojennych nastrojów, książką przedwojennie rozpasaną, beztroską, sielankową i namiętą. Tak też z przedwojennych wychodzących pojęć i wyobrażeń, oceniali ją zarówno angielscy krytycy, jak i Lechoń.

Gdy w początkach 1946 roku Jerzy Borejsza, wówczas już prezes wydawnictwa *Czytelnik*”, przybył z Warszawy do Londynu i tam się spotkalimy, musiałem mu dać do druku w Polsce dwie przedwojenne książki: *Ryby piekające w Ukajali* i *Kanadę pachnącą żywicą*, i dwie wojenne, mianowicie *Dywizjon 303* i *Dziękuję ci, kapitanie*.

A to co? zawołał Borejsza, widząc na moim stole ostatnie w Anglii wydanie *Radosnego ptaka drongo*.

To?,... Nie nadaje się!... burknąłem pod nosem. Borejsza spojrzał na mnie ostro i podejrzliwie; był zaskoczony.

Poszedł o wysoki politycznej natury.

Dlaczego nie nadaje się? zapytał niemile zdumiony.

Mam zastrzeżenia! Za wiele...

Gdy zawahałem się niepewny, jakich dobrać słów, on niemal wrzasnął:

Za wiele czego? Polityki?

Za wiele grubego flirtu.

Flirtu? powtórzył z lekka osłupiały. Obawiał się czego gorszego.

Flirtu z dwoma naraz Malgaszkami!... poprawiłem. Borejsza buchnął wesołym miechem:

Czy to taka pornografia?

Ależ nie! Nic podobnego zapewniłem.

Więc biorę i basta! owiadczył i wrzucił egzemplarz Radosnego ptaka drongo do swej teki. Dam to Przekrojowi”. Jeli chce, niech drukuje w odcinkach!

Tak Drongo dostał się w 1946 roku do Polski Ludowej i jeszcze tego samego roku zaczął pojawiać się w tygodniowych odcinkach w Przekroju”. Żywo napisana, rześista egzotyka na ogół podobała się czytelnikom, ale gdy w siódmym czy ósmym odcinku doszło do swawolnych perypetii z dwoma dziewczynami, siostrami Benaczehinś i Velomody, notabene narzuconymi mi w myśl panujących zwyczajów przez życzliwą starszyznę wsi Ambinanitelo zaczął się w polskiej krainie sędny dzień nad grzeszną głową autora i spadły ogromne gromy ze wszystkich stron. Dostawałem w łeb zarówno od zgorszonych prałatów, jak i baty od czerwonych purytanów. Należało do dobrego tonu, by radosnemu drśgalowi” spuszczać manto przez długi jeszcze czas i wypominać mu sromotne baraszki w Tygodnikach Powszechnych”, Szpilkach” czy gdzie indziej, i nawet sympatyczny Szymon Kobyliński, póniejszy kawaler tak samo jak i ja Orderu Umiechu”, nie mógł odmówić sobie przyjemności trzanięcia (w Szpilkach”) w kark winowajcy. Potem ucichło.

Gdy w kilka lat póniej, zachęcony przez Jerzego Putramenta, podjąłem temat Ambinanitela, uzupełniłem Dronga i gdzie wypadało, obciłem to, co było zbędne i drażniło. A Benaczehinę usunęłem na bok. I tak powstała nowa książka, Gorśca wie Ambinanitelo, jeden z bestsellerów w Polsce i za granicą.

Benaczehinś

Po krótkiej, przyciszonej rozmowie między sobą, Malgasze dochodzą do jakiego postanowienia, a stary Dżinarivelo odzywa się do mnie:

Wie Ambinanitelo uznaje i kocha swych białych gości i w myśl dawnych obyczajów a w dowód trwałej i szczerej przyjaźni m

pragnie im wyznaczyć żony spośród swych dziewczyn. Czy masz, vazaho, jakie specjalne życzenie co do twej żony?

Dajcie mi Benaczehinę! chciałbym krzyknąć, i krew uderza mi do głowy. Lecz kryję swą myś w obawie wyrządzenia jakiej niewiadomej zniewagi, i tylko wyjaniam:

Chciałbym mieć żonę młodszą, wieższą, pięknszą, wesołą, cnotliwą, zdrową, szlachetną...

Powrót do spraw ziemskich przynosi zebranych wyranom ulgę, a szczodre wyliczanie cnót mej przyszłej żony wywołuje należyty skutek: pogodny uśmiech na wszystkich twarzach. Dżinarivelo pyta:

Czy może być moja wnuczka Benaczehiną?

Może być! odpowiadam i dziwię się, że nikt nie słyszy bicia mego serca.

To dobrze. Rodzina przyprowadzi ci ją dziś wieczorem, gdy zapadną zupełne ciemności zawiadania Dżinariyelo po prostu, głosem zwykłego zarządzenia, i na tym sprawa załatwiona.

Dzień upływał i chylił się ku wieczorowi pod znakiem złych wstrząsów, wiszącej w duszach burzy, zawziętości i złowieszczej niewiadomej. Teraz jest wiadomo: nastął łagodny wieczór. Góra Beniowskiego wreszcie umiera się, ganie i zasypia w mroku jak inne góry, jak kto, kto rzetelnie spełnił swój obowiązek.

Odniosłem wielkie zwycięstwo: dziewczyna, to pierwsze, żywe sprzęgło między mną a wsią Ambinanitelo.

Czekałem zupełnych ciemności.

Z nadejściem nocy przyprowadzają mi Benaczehinę. Zwała się do mnie hurmem cała jej rodzina, bo nie tylko jej dziadek Dżinarivelo i jej matka, lecz i liczny orszak wujów, stryjów, ciotek i kuzynów. Cała ta brzoza czereda je, pije, weseli się, ustala ze mną warunki małżeństwa miesięcznie dwieście franków i dwie lamby-suknie i potem uprzejmie się wynosi. Życzliwi, ułożeni ludzie. Teciowara-fuzuko, żywa i młoda jeszcze niewiasta, na pożegnanie obejmuje mi głowę i zuchwale całuje mój policzek, zbierając burzliwy podziw rodziny. (Oni nigdy nie całują!). Około północy dom pustoszeje, i niebawem odprowadzam na dwór ostatniego gościa, Bogdana Kreczmera, mego przyjaciela.

Gdy wracam do chaty, zastaję Benaczehinę wciąż na tym samym miejscu, w ciemnym kącie pod cianą. Siedziała tam przez cały wieczór, cicho jak trusia, skromna jak baranek, i nikt by nie uwierzył, że

to swawolna Benaczehina, najponętniejsza dziewczyna wsi i najzwin-niejsza tancerka.

Teraz patrzy na mnie z mroku, i widzę tylko jej wielkie oczy, a właściwie dwa pałajšce wiatła, wlepione we mnie z uporczywš mocš. Tak wiecš w ciemności oczy wylęknionej zwierzyny; i nagle obezwładnia mnie zupełna niemiałość. Po prostu nie wiem, jak podejć do bršzowej dziewczyny: czy uderzyć w żywioly, czy w sentyment, stworzyć sielanke, czy szorstkš czułość i wydaję się sobie samemu trochę jak mieszny uczeń szkolny.

Drzwi zamykam na zasuwe z tęgim rozmachem i hałaliwie, lecz i ten symboliczny poniekšd obrzęd mija bez wrażenia, nie dodajšc mi odwagi. Jestemy sami i odcięci od wiata, mam nad dziewczynš nieograniczonš władzę, lecz zamiast się zbliżyć, sam wpadam w matnię nedorzecznych skrupułów. Przerывam milczenie:

Więc wie wyznaczyła mi ciebie... Lecz powiedz mi, Benacze-hino, powiedz tak szczerze: czy przysła tu chętnie i dobrowolnie?

ciany mej chaty sš z wybornej falafy, madagaskarskiej roliny, a dach z porzšdnej palmy kasaka: jest to zatem krajowa, przyzwoita chata, lecz pytanie moje tršci dalekš Europš. Benaczehina to zdrowa, uczciwa Malgaszka, więc nie rozumie takich cudacznych drgnień sumienia i uprzejmie odpowiada Ehe!" co znaczy: tak.

Brnę dalej jak niedwied:

A Zarabe, twój dawny przyjaciel?

Wkraczamy w dziedzinę, na której Benaczehina zna się wyjštkowo dobrze, w dziedzinę męskiej zazdroci. Trochę zdziwiona, że i biały człowiek doznaje podobnych uczuć, odpowiada:

Zarabe mały kochanek! Ty wielki mšž!

Przy czym ruchem ręki i głosem daje do poznania, że mały kochanek to rzecz w istocie nędzna i niegodna pamięci.

Doć czezej gadaniny! Wcišž jeszcze stoję przy drzwiach, ujmuję się pod boki i szukajšc sposobu wybrnięcia, rozglšdam się po chacie. Gdy wzrok mój, bezwiednie, spoczywa dłuzej na łóżku polowym, Benaczehina, nie spuszczajšca ze mnie baczneho oka, powstaje posłusznie i spełnia swój obowišzek. Wie, co do niej należy: łóżko moje przygotowuje do spania, natomiast własnš nocnš matę rozpociera na podłodze, tuż obok mego legowiska. Potem staje na rodku chaty, znów wpatruje się we mnie i czeka na nowe polecenia.

Do diabła z takim nastrojem! Zaczyna mnie niepokoić jej prze-

nikliwe spojrzenie; a nuż dziewczyna dostrzeże moją niezaradność i wykpi? Brzowski ludzie, tak trudno pojmujący objawy naszej obcej cywilizacji, są niezrównanymi obserwatorami, gdy chodzi o odruchy ludzkiej duszy.

Podchodzę do dziewczyny i kładę ręce na jej obnażonych ramionach. Skórę ma chłodną i gładką jak jedwab, dwie właściwości stanowiące nieodparty urok i tajemnicę rasy. Lecz gdy twarz moją przybliżam do jej twarzy, nagle widzę z osłupieniem strach dziewczyny, wybuch panicznego strachu.

Nie gry mnie! błaga zdławionym głosem.

Jak obłąkany zimną wodą, puszczam gwałtownie jej ramiona. miewę się z niej w głos, serdecznie:

Jeste wielki głuptas!

I kontakt między nami znów przerwany. Zapewniam ją:

Nie, chcę cię całować!...

Stoimy naprzeciw siebie twarz w twarz, teraz już obydwójce na dobre zmieszani.

Gdy młode Malgaski doświadczą silnych wzruszeń, począ się na nosie. Biedna Benaczehina: w migotliwym świetle lampy spostrzegam, że nos jej, a zwłaszcza nozdrza, pokryły się gęstą siecią kropeł. Wzbiera we mnie rozbrajająca litość.

Włosy jej pachną wieżym olejem kokosowym. Wieczorem kąpała je, by się przypodobać. Podniecający zapach mile łaskocze moje powonienie, i stwierdzam z uznaniem:

Lubię zapach twoich włosów...

To ją uspokaja. Jest wdzięczna za pochwałę i umiecha się. Więcej nawet: chwytą moją dłoń i kładzie ją na swej lewej piersi. Prosty, naiwny gest, mający mnie przekonać o jej oddaniu. A gdy ją nie dość tego ujmuję, przyciska moją rękę kurczowo, z całej mocy, żebym jak najdobitniej czuł jej ciało.

Potem zdobywa się na największe, wzruszające bohaterstwo. Zwalcza swój obłądny strach przed moimi ustami i z zaparciem całej swej malgaskiej natury przysuwa do nich swój poleczek. Gdy dotyk mija bez katastrofy, dziewczyna rozzuchwala się i przybliży usta do ust. Jest to straszliwy, nadludzki wysiłek, a jednak spełnia go. Z bliska widzę, że już nie tylko jej nos, lecz i całe czoło zrosiło się obfitym potem.

Dzielna dziewczyna! Wzrusza mnie jej kobiece bohaterstwo.

Nazajutrz wit jest różowy, gdy budzę się z umiechem. Rozglś- I dam się po chacie i umiech kona. Nie ma Benaczehiry. Przed witem I opuciła mój dom cichaczem, bez pożegnania. I co gorsza, zabrała ze I sobś nocnś matę. Zły znak.

Ustalilimy jeszcze z wieczora, że przed południem Benaczehina I odbierze mojś bieliznę do prania. Nie przyszła i nie odebrała. Około I południa idę na wie i spotykam Rasoę, jej przyjaciółkę, umiechniętś I drwiśco. Rodzina Benaczehiny owiadcza mi, że nie rozumie oburza-I jścego zachowania się dziewczyny, która rychło rano opuciła wie I i wyszła na odległe ryżowiska, nic nikomu nie mówiąc.

Czy zabrała ze sobś nocnś matę? pytam.

Zabrała! odpowiada przygnębiona matka.

Po południu nie ma już wstpliwoci, że Benaczehina uciekła ze wsi j i że puciła w trśbę swego białego męża. Ucieczka jej jest dla mnie i niepojętym, potwornym absurdem po tak miłym nastroju nocy. Cała wie roztrzśsa wydarzenie, młodzież męska triumfuje, rodzina za, strapiona i zawstydzona, odbywa bezustannś naradę. Stary Dżinari-I velo bierze mnie na bok i pyta z ojcowskim wyrzutem:

Czy może jś czym obraziłe?

Na Boga, nie! przeczę stanowczo.

Dżinarivelo oburzuca mojś postać badawczym, spojrzeniem:

A czy byłe dla niej, jak należy, mężem?

Sśdzę, że tak...

Póniej przechodzi obok mej chaty pieniarz Natriko, mój młodo-I ciany sojusznik i obrońca podczas nocnych piewów. Gdy go zacze-I piam, przystaje i opowiada mi, że młodzież przygotowuje się dzi do I nocnych piewów.

Jak to? pytam. Przecież nie ma dzi księżyca!...

Ale jest komiczne zdarzenie! odpowiada z zimnym umie-I chem.

Udaję, że nie słyszę szyderstwa, i zapraszam go, jak zwykle:

Wejd, Natriko! Dostaniesz sucharów!

Chłopak namyla się chwilę. Potem twardo, nieledwie wrogo:

Nie! Nie chcę twych sucharów!...

O zachodzie słońca przychodzś do mnie członkowie rodziny z po-I słannictwem i owiadczajś, że chcśc zmazać plamę upokorzenia dadzś j mi innś żonę, młodszś siostrę Benaczehiny. Czy zgadzam się?

Dobrze, dajcie jś! zgadzam się bez wielkiego zapalu.

2. Dolores miała jasnobrązową cerę, wilgotne usta i miłe oczy... (s. 43)

5. Bela-Czajka miała złote serce, humory wariatki, temperament lamparciy... (s.

4. Krystyna Skarbek w towarzystwie Andrzeja Kowerskiego współtowarzysza z brytyjskiego wywiadu...
5. Benaczehina umiechajšc się obnażała lnišce zęby..
- b. Gdy Velomody wałęsała się ze mnš na skraju puszczy, gorliwie zgłębiała tajemnice owadożernych rolin...
7. Juliette, dwudziestoletnia córka, była niezwykle podobna do Kintany z roku 1937
(s. 74)
8. Wyjstkowo liczna Rambodo ze szczepu Sakalawów zakochała się w Bogdanie Kreczmerze na zabój... (s. 74)
- 4-Francuzi, opisujšcy Madagaskar, prawie wszyscy oczarowani byli nieodpartš kobiecociš Malgaszek, które urzekały swym wdziękiem i dorodnociš... (s. 57)
10. Reri różniła się od innych Tahitanek wyjstkowš subtelnociš i była w tym jak gdyby dziecięco bezradna... (s. 111)
4. Hutia szepnęła mi do ucha: Je faime!” po czym wypadło i mnie westchnšć >„Moi aussi!” i tak zaczęła się nasza sielanka na Tahiti... (s. 120)
12. Dziewczyna żywo uganiała się za motylami
- Velomody
- Velomody nie jest tak wietna jak jej siostra i chodzi z otwartymi wcišż ustami. Ale nastao dla mnie bezrybie: niech będzie Velomody.
- Wtem rozlegajš się z głębi wsi pierwsze uderzenia bębna, sieczne, wyzywajšce, wojownicze razy. Potem słyhać ludzkie krzyki i miechy, potem piewy. Młodzieź zaczyna tsiamunanę, czyli pień, w której wygarnia się samš prawdę. Potok wrogiego pomiewiska zaleje dzi wie.
- Kiedy przyprowadzicie mi Velomody? pytam przyjaciół zgaszonym głosem.
- Gdy nadejdzie zupełna noc! odpowiadajš smętnie. Zgaszeni i smętni, trawimy w mroku gorzkš tajemnicę malgaskiej
- miłoci.

Wszystko odbywa się prawie tak samo, jak dnia poprzedniego. Gocie przychodziś, jedzś, pijś, lecz dzisiaj mniej się weselś: w kšcie, zamiast nadobnej Benaczehiny, siedzi jej młodsza siostra Velomody. Siedzi milczśca, przygarbiona, niepozorna i wiadoma tego, że jest tylko namiastkś.

Poczwarka!” lituję się nad niś i nad sobś samym i na wspomnienie zdraдлиwej Benaczehiny piję na umór.

Rodzina rozumie doskonale mój nastrój, sama go podziela i również zalewa robaka, a matka dziewczyny, pocziwa rafuzuko, pociesza mnie, jak może: że Velomody to jej najukochańsza córka i że da mi wiele zadowolenia, gdy jś lepiej poznam. Zwykle, matczyne gadanie.

Otóż nie gadanie! Matka tym razem ma zupełnś słusznoć! Nadchodzśca noc gotuje mi radosnś niespodziankę, jakiej nie oczekiwałbym nigdy w życiu, i przywodzi na pamięć starś prawdę o zwodniczoci pozorów. Poczwarka ujawnia się jako barwny motyl, promieniujścy utajonym dotychczas wdziękem. Tej nocy odkrywam piękny, polny kwiat, obok którego ludzie przechodzili obojętnie, nie domylajśc się jego wartoci. Lubię odkrywać powab niedocenionych kwiatów; jest to moja myliwska pasja.

A tu rzeczywicie rzadki kwiat: dopiero co wylęgly z pškowiea, rozlewa juź upajajścś woń dojrzałej kobiecoci, którś podaje biernie jak “iemiałe dziecko, a jednak działajścś jak silny narkotyky. Upaja i nie tylko zaspokaja zmysły: głębiej, w duszę białego człowieka rzuca szczere ziarno...

5 Kobiety.

Nad ranem budzi mnie z półsnu podejrzany szelest. Zapałam wiatło i z przerażeniem spostrzegam Velomody, gotując się do] odejcia. Zrywam się, nagle oprzytomniały, i wołam ostro:

Co robisz?!

Dziewczyna milczy i ma minę przydybanego na gorścym uczynku urwisa. Jak cios spada na mnie nagła wiadomość: Velomody chciała uciec. Nakazuję jej przez zacinięte zęby:

Kład się natychmiast i nie ruszaj się z domu, dopóki nie pozwolę...

Widocznie wyglądam zatrważająco; dziewczyna wykonuje rozkaz bez słowa sprzeciwu.

Zaledwie wita, proszę do siebie wójta Rajaonę i potwierdzam jeszcze raz w jego obecności moją niezłomną wolę zatrzymania na stałe Velomody. Owiadczam, że dziś jeszcze, przed południem, kupię jej u miejscowego Hindusa najpiękniejszy materiał na lambę”. Czy dziewczyna się zgadza?

Rajaona tłumaczy moje słowa (Velomody zna kiepsko język francuski), lecz dziewczyna jako ociężała się z odpowiedzią. To już szczyt upokorzenia, wiat przewraca się do góry nogami: malgaska dziewczyna namyśla się, czy przyjąć ponętny dar od białego człowieka. Rajaona długo przedkłada i nalega. Stoję jak na rozżarzonych węglach. W końcu dziewczyna podnosi wzrok z jakim powziętym postanowieniem, mierzy mnie pochmurnie i owiadcza, że: tak, chce lamby”, lecz prosi, by mogła teraz odejść.

Odejd zgadzam się ale za godzinę wróć! Pójdziemy do Hindusa.

Velomody nie wraca ani za godzinę, ani później. Więc dziewczyna oszalała i nie chce lamby”. Dziewczyny w Ambinanitelo postradały, jak widać, rozum, lecz i ja zaczynam odchodzić od rozumu. Przez całe przedpołudnie siedzę w chacie podenerwowany i po prostu boję się wyjść na wie, by nie wytykano mnie palcami. Wie jest cicha i jakby wyczekująca. Od kucharza Rakoty dowiaduję się tylko tyle, że yelomody nie uciekła na ryżowiska i że pozostaje wciąż wśród chałup.

Na obiad wraca z puszczy ze zbiorem owadów Bogdan Kreczmer, zmęczony jak pies, lecz zdrowy jak rydz, ogorzały i spokojny. (Jego chwyci dopiero później, za kilka miesięcy, gdy pozna dziewczynę ze szczepu Sakalawów). Kreczmer umiecha się pogodnie do całej tej dziewczęcej awantury, widzi ją we właściwym świetle i stara się mnie

trzewo przekonać, że to tylko wesoła błażostka. Mśdrze mu tak radzić, gdy on poluje na owady, a ja na brżzowych ludzi. Gdy on patrzy na wszystko z bezpiecznej odległości, a ja od tygodni poddaję się wiadomie wpływom goršcej doliny, wczepiam się wszystkimi zmysłami w jej kaprysy, wchłaniam tańce młodzieży, a we włosach dziewczyn czuję zapach palmy kokosowej. I gdy przy tym jeszcze zapada do mej duszy drobne a niebezpieczne, kiełkujące ziarenko!

Po południu starszyzna wsi przysłała mi zapowiedź, że o pištej godzinie starszyzna wsi przyjdzie do mnie na ważne posiedzenie.

Czy to z powodu Velomody? pytam.

Tak! odpowiada goniec, lecz bliższych szczegółów rzekomo nie zna.

Jak zapowiedziano, o pištej przybywa kilkunastu obywateli, całe przedstawicielstwo sioła z sołtysem Bezazš na czele. Stary Džinarivelo oraz życzliwi mi Berandro i Tamasu obnoszą poważne, zamknięte twarze, natomiast kuzynowie Bezazy nie ukrywają złoliwych błysków w oczach. Znosi się na co przykrego dla mnie, więc by załagodzić sytuację, nasamprzód częstuję zebranych suto rumem. Sołtys Bezaza ociera usta rękawem koszuli i nie zwlekając, zaczyna gromić.

Dwa dni temu, powiada, wie musiała wysłuchać moich cierpkich słów i ciężkich oskarżeń o brak gocinnoci. Wie dała mi wszystko, co posiadała: i owoce ziemi i dwie najlepsze żony. Lecz co z tego wynikło? Zniewaga dziewczyn, wstyd rodziny, hańba sioła! Wie ofiarowała mi uczciwe żony z przyjani i z miłoci i z poczucia gocinnoci, lecz ja obszedłem się z nimi nieuczciwie i zawiodłem haniebnie ich zaufanie...

W miarę, jak prawił Bezaza a prawił soczycie i nie szczędził wyrazów rozwierały mi się oczy w coraz większym zdumieniu. To ja znieważylem dziewczyny?

Znieważylem i zadałem ostatni srom smagał Bezaza jak biczem. Benaczehina nie zniosła krzywdy i uciekła ze wsi. Natomiast poczciwa Velomody, równie skrzywdzona, wolała zostać i przed całš gminš postawić mnie w stan oskarżenia, walcząc odważnie o swe prawo żony...

Wodzę po zgromadzeniu błędnym wzrokiem, lecz nikomu nie zbiera się na żarty.

Więc ostatecznie o co chodzi? pytam i nie wiem, czy wybuchnę miechem, czy gniewem.

Nie spełniła obowišzków męża!...

i* 67

W ostatnich dwóch dniach przeżywałem tyle niespodzianek, że i ta ostatnia bomba wybuchła bez wielkiego wrażenia. Trochę mi tylko wstyd, że tyle uszu słyszy wierutną potwarz. Mimo woli rumienię się i milcząc wzruszam ramionami.

Wie wyznaczyła ci żonę cišgnie Bezaza a dziewczyna zgodziła się na to nie dla zabawy ani rozpusty, lecz na to, by godnie spełnił obowiązki męża i miał z dziewczynš dziecko. Ty natomiast, ku hańbie obydwóch niewiast, użył zabiegów, by temu zapobiec...

Ratujcie bogowie, robi mi się goršco! Teraz dopiero zaczyna mi witać w głowie, i gdy wyjania się sprawa, ogarnia mnie coraz większa wesołość mimowolnego winowajcy, poznajšcego wreszcie swš winę. A niewzruszony Bezaza nie ustaje i karci dalej:

Takie niegodne machinacje, wiemy o tym, sš w modzie u was, w Europie, jednak tutaj sš ciężkie fadi” i obrażajš do głębi. Jeli za zastosowała ten rodek, by uchronić się od chorób, to wiedz, vazaho, że wie Ambinanelo ręczy za zdrowie wyznaczonej ci dziewczyny...

Sołtys prawił długo i z uroczystym oburzeniem, lecz już go nie słuchałem. Poniosła mnie radość. Pięknie, że wie ręczy za dziewczynę, więc wznoczę szklankę z rumem, aby wypić na zdrowie nie zdrowie, bo tego wszakże nie potrzeba! na pomyłność przyszłych pokoleń. Lecz Bezaza jeszcze nie skończył i zadaje mi ostatnie pytanie, niejako urzędowo:

Więc czy chcesz mieć dziecko z Velomody?

Chcę, chociażby bliński! wołam z zapałem.

Bliński nie! Ani się waź! To fadi i nieszczęcie! poprawia mnie sołtys z całš powagš. Jedno dziecko starczy...

Tak więc odbywa się dzi trzecia z rzędu uczta, w trzeci wieczór: w dwóch pierwszych były dwa wesela, dzi jest już małżeńska rozprawa sšdowa. Na szczęście rozwiewa wszystkie chmury i kończy się zupełnš zgodš. Wysyłam na wie kucharza, by mi zaraz sprowadził Velomody, lecz wysłaniec nie potrzebuje ić daleko. Velomody czeka tuż pod mojš chatš. Biegnę radonie do niej i chcę jš chwycić pod ramię:

Chod do domu!

Lecz ona nie rusza się i nie pozwala się dotknąć: czułoci, a zwłaszcza publicznych, nie uznaje małgaski kodeks obyczajowy. Natomiast dziewczyna mówi łagodnym, bojaliwym głosem:

Hindus jeszcze otwarty: czeka na pienišdze...

Na pienišdze? wietnie! Chodmy kupić lambę!

Nie potrzebujesz ić, vazaho! Lambę już kupiłam!... Oto ona!...

I dziewczyna pokazuje mi sukno, które ukrywała dotychczas za plecami.

Patrzę na nią z wesołym zdziwieniem:

Znakomicie! Ale skąd przedtem wiedziała, że wszystko skończy się tak dobrze?...

Wtedy ona widząc, że się nie gniewam z kolei spogląda na mnie rozbawiona, trochę jak młoda matka na niemłodego syna, i szesnastoletnia znawczyni ludzi zaczyna umiechać się tajemniczym umieszkiem:

Wiedziałam, bo poznałam ciebie...

Sielanka

Zapowiedziałem Velomody, że ma prawo zapraszania do naszej chaty wszystkich przyjaciółek, jakie posiada, i częstowania ich wszystkim, co ja posiadam. Więc co dzień witaniem dziewczyna przyjmuje na werandzie swe liczne rówienice i kuzynki, czasem przybyłe nawet z drugiej strony rzeki, a kucharz Rakoto gotuje im cejlońską herbatę i częstuje sownie cukrem i europejskimi sucharami. W półnie słyszę poprzez trzciniową cianę ich dziewczęce szczebioty w języku tak miękkim, tak dziwnie melodyjnym, że przy nim nasze języki Europy wydają się barbarzyńskim bełkotem i sykiem. Potem która z brązowych dziewczyn zamieje się głoniej i zbudzi mnie na dobre. Po takim zbudzeniu umiech przylgnie do białego człowieka mocno i trwale; nie zejdzie przez długie godziny, pozostanie przez cały dzień.

Całą chatę dokoła okręża weranda, zacieniona od deszczów i słońca szerokim dachem palmowym. Z werandy, z każdej z czterech stron, widać niewymowny przepych krajobrazu i wybujałość doliny. Zielone ryżowisko w ramach czerwonych hibiskusów i tajemnicza nad nim góra Beniowskiego; bogate ogrody kawowców i nad nimi poszarpane stoki innych gór z puszcza, której dotychczas nie tknęła stopa ludzka; malownicze chaty sioła i olbrzymie postacie palm kokosowych; wijąca się droga, zalana gorącym słońcem i barwnymi ludmi, i wielka rzeka, na którą Malgasze patrzą jak na dzikiego zwierza wszystko to się jak gdyby części uroczego snu o porywajícím pięknie i wszystko to za-69

mienia się w cudowne rozdziały niezwykłego romansu, przeżywanego wzrokiem. Nigdy i nigdzie dotychczas w tak silnym napięciu nie przeżywałem urzekającego zjawiska, w którym zmysłowe przygody oczu przeistaczały się w najgłębsze wzruszenia duszy. Jest to wielka łaska, za którą wdzięczność czuję do krajobrazu i wiata, jak również do mej chaty i jej werandy.

Na werandzie piszę co dzień ustępy mej książki o Madagaskarze. Około południa ogromna powód wiatła i gorąca zalewa dolinę i ludziom wysusza serca i gardła. Wtedy zbliża się do mnie Velomod cicho i boso (dziewczyna chodzi zawsze boso) i przynosi posiłek. Ow kokosu, zerwany właśnie przed chwilą z sąsiedniej palmy. Dziewczyn rozbija go siekierą, przeroczysty płyn zlewa do szklanki, biały

miššs wycina na talerz i podaje. Płyn jest chłodny jak z lodu wyjęty, miššs wonny jak silne pachnidło, a właściwoci ich prawie że cudotwórcze po spożyciu ich znika natychmiast zmęczenie. Niebawem w ciężki powietrzu werandy zawisa zmysłowy aromat kokosu, kokosem pachną moje usta i ręce tak samo, jak ręce i włosy Velomody. Dziewczyna sto z boku milcząca i umiecha się łagodnie.

Potem już trudno wracać do pisania o Madagaskarze. Podniecający krajobraz doliny, urok wieżego kokosu i troskliwość dziewczyn to prawdziwe oblicze Madagaskaru, lecz jakże ujść jego gorące tętno w chłodne słowa ludzkiego języka i jakże jego tropikalny czar prze tłumaczyć na wyobraźnię odległych Judzi, żyjących w chłodnym klimacie? Niestety, czar tego krajobrazu, owocu i dziewczyny był żywy wyłącznie w tej dolinie i nierozdzielnie związany z tš chatš i z t werandš.

Wieczorami, czasem głęboko w noc, siedzę w chacie i pracuję. Velomody już dawno położyła się i pi bezgłonym snem ludzi zdrowych i pierwotnych. Z dworu przedziera się potężna muzyka tropikalnej nocy; w chacie czuwa, oprócz gekonów, tylko nas dwóch: mikrolemur i ja.

Gdy bez ruchu siedzę nad książką, mikrolemur nabiera ufności, zeskakuje na mój stół i wyjada skoczki z misy, przygotowanej dla niego. To jakby pierwszy krok przyjaźni. Wcišż przy tym patrzy na mnie, jak uparty duch, z tym samym wyrazem nieziszczonej ciekawoci w swych przepięknych, fioletowych oczach. Umiecham się do niego, lecz nawet umiech płoszy go i mikrolemur jednym susem ucieka daleko, pod dach. Stamtšd znów patrzy.

Tymczasem Velomody otworzyła oczy i nie ruszając się, wlepia we mnie uporczywy wzrok równie pałajscy, lecz inny niż wzrok mikro-lemura. Kobięcy. Wzięty w spojrzenia ich dwojga, stoję w rodkowym ogniwie jakiego niewysłowionego czaru.

Jeli ich wspólny urok, egzotycznego zwierza i brązowej dziewczyny, potrafiłbym zespolić z duchem europejskiej księgi, nad którą siedzę, powstałaby w trzinowej chacie malgaskiej piękna, chyba najpiękniejsza sielanka. I byłbym może najszczęliwszym z białych ludzi.

Moje szczęliwe pożycie z Velomody zadziwia i mnie i wszystkich mieszkańców Ambininitela. Dziewczyna rozpowiada, że jestem dobrym człowiekiem. Ludzie odnoszą się do mnie z rosnącym zaufaniem, i nawet męska młodzież, dawniej tak wrogo nastawiona, wstępuje coraz częściej do mej chaty na przyjacielską pogawędkę. Stary Dżinarivelo, dziadek Velomody, jest zadowolony. I on przejął się marzeniem swej wnuczki: wierzy, że będzie miała piękne dziecko.

Czy jeste tutaj szczęliwy? zagaduje mnie pewnego razu.

Jestem szczęliwy! odpowiadam.

Czy gdzie indziej byłoby ci lepiej?

Chyba nie.

Więc pozostaniesz u nas na zawsze?!

Pytanie drażliwe. Umiecham się zakłopotany i tylko wskazuję na moją białą skórę. Dżinarivelo jest domylny i rozumie bez słów. Ogarnia nas cień smutku.

Lecz Dżinarivelo, jako Malgasz, jest również przebiegły i ambitny i nie może zatamować pobudzonej wyobraźni. Musi marzyć, musi snuć nieprawdopodobne plany przyszłości. Najchętniej chciałby tworzyć nową legendę. Pewnego dnia zbliżył się z uroczystym wyrazem twarzy i zaklinał mnie:

Gdyby był potomkiem Beniowskiego, stałby się dla nas więcej niż przyjacielem: wodzem. Spełniłby tu posłannictwo swego życia, a twoim dzieciom oddawalibyśmy należną cześć. Czy jeste potomkiem Beniowskiego?

Nie jestem nim!

Dżinarivelo chwycił mnie za ramię i prosił:

Raczej namyl się, że nim jeste... Wybucham wesołości:

Czy mam stroić się w cudze piórka?... Tego żśdasz?!...

W miarę upływu dni Dżinarivelo nalegał coraz serdeczniej i coraz uporczywiej. Już nie domagał się pokrewieństwa z Beniowskim; chciał po prostu, żebym tylko pozostał u nich na stałe. Szlachetny starzec był mśdry i znał doskonale moje upodobania. Doceniał węzły, jakie mnie łączyły ze wiatem białej rasy i nie chciał, żebym je zrywał: żyjśc w Ambinanitelo, miałem czerpać ze wiata ważne słowo wiedzy, drukowanej na papierze; stśd natomiast wziśłbym ich żywe słowo, malgaskie i mniej ważne, za to cieplejsze.

Stanśle na rozstaju! mówi którego dnia. Mśdrze wybieraj, vazaho, mśdrze wybieraj!...

Wybór pozornie łatwy: tu szczęliwe ustronie o łaskawym niebie i uroczym krajobrazie, piękni ludzie o łagodnej duszy i kojścej ciszy tam wiat białej rasy, zatruty popiechem, nerwami, żelazem i sercer z żelaza.

Więc wybrałe! woła uradowany Dżinarivelo. Pozostaniesz tutaj!?...

Jakże mu wytłumaczyć?!

Dotychczas to ja byłem górs wród brśzowych przyjaciół i wgłębiałem się w ich pogmatwane przesśdy i obyczaje. A oto okazało się, że i sam biały człowiek nie ma wolnej duszy, że tkwiś w nim potężne legendy i wierzenia, trzymajśce go w okowach jeszcze mocniej, jeszcze drapieźniej niż zabobony i fadi brśzowego człowieka. Różne majś imiona i liczne sś odcienie tajnych potęg białego człowieka, lecz największe z nich i najbezwzględniejsze zwię się: obowiśzkiem. Jakże więc staremu Dżinarivelo wytłumaczyć, że nie mogę tutaj pozostać? Że dla obowiśzku, na przekór zmysłom, sercu i rozumowi, muszę porzucić ten szczęliwy zakśtek urody i płodności życia, by pójć w miercionone odmęty białej rasy?

Brśzowy człowiek tego nie zrozumie. Umysł jego jest zbyt pogodny i zbyt uczciwy. I biały człowiek nie zrozumie. Legendy jego sś zbyt władcze, zbyt zawiłe. Sś mocniejsze niż rozum, mocniejsze niż życie.

Wyjadę.

LWe wyjechać.

PUsZcze tr

“Nyt’ Ś . kinowś chatę, Velomody, tanreki, kameleony, lemu-

ttŤ l Mai T . . .

gaszow. I ciebie, radosny, niezapomniany, waleczny

t’u

?-??,

go!

Kintana i Julietta

Będąc powtórnie na Madagaskarze w roku 1965 i przejeżdżając obok pamiętnych jarów Tampoketsy, zadumałem się nad losami trzech towarzyszy. Czy wszyscy jeszcze żyli i jak im się wiodło? O Alterze ani o Dyku nic już nie wiedziałem, natomiast z Lepeckim bywało w warszawskim Penklubie czy gdzie indziej na Krakowskim Przedmieściu ciskaliśmy sobie od czasu do czasu dłonie: Lepecki, po wielu latach wędrówki po Brazylii, wrócił do Warszawy i wierny swym pierwszym sprzed wielu lat umiłowaniom, pisał książki i wciąż obdarzał czytelników plonem swych wrażeń zza morza.

Dowiadzenia z ustroniem Tampoketsy nie przeprowadziłem wówczas w latach 1937/38. Nie doszło do tego. Madagaskar gdzie indziej, w innych dolinach, wśród innych wzgórz, okazał się tak porywającym magiem, pociągał tam takim przepychem ludzi i przyrody, że było to jak nieustanne ucztowanie, i wśwozy w Tampoketsie zeszyły na dalszy, mniej barwny plan. A szkoda! Byłaby to przygoda zapewne jedyna w życiu: przygoda rozegrana w gronie tajemniczych orchidei, nieznanymi lemurów, licznej dziewczyny Kintany, i bujnego skrawka puszczy w zupełnym odcięciu od reszty świata, dosłownie jak na wyspie, i to na pewno szczęśliwej wyspie.

Ale, powtarzam, nie doszło do tego. Z uroczym Kintanem wypadło mi jechać na dalekie południe Madagaskaru i tam, w okolicach Fortu Dauphin, zagłębiać razem w drapieżne kielichy owadożernych nepenthes. Były to piękne i grone kielichy.

Przez cały rok trwała nasza płomienna przyjaźń z Kintanem. Przez cały czas toniłem w zachwycie, aż do ostatniej chwili mego pobytu na Madagaskarze pozostał mój podziw, moje uwielbienie dla dziewczyny. O, uroczą Kintano, o wspaniałą Kintano! A owadożerne nepenthes były grone i urodziwe.

Przemiany, jakie w tych kilkudziesięciu latach przeorały Madagaskar, nie tknęły nic a nic, ani odrobiny Tampoketsy. Gdy teraz około piątej po południu wjeżdżałem autobusem na te wyżyny, było tu wszystko jak przed wielu laty: całymi kilometrami nie widziało się człowieka, ten sam co ongi wichur szarpał tę samą rzadką trawę i w tych samych wśdołach pasy puszczy, niby zielone nimfy, jak ongi wdzięczyły się do nas, powabne w popołudniowym słońcu. Jaka przejmująca niezmiennosc tego skrawka przyrody, podczas gdy dokoła wszystko inne, co dotyczyło człowieka, ulegało tak radykalnym przemianom:

7^

Ale czy ów człowiek tak bardzo się zmieniał? W Tananariwie szukałem po tylu latach Kintany i znalazłem jej adres. Odwiedziłem ją w jej domu. Powodziło jej się dobrze, a czterdziestopięcioletnia dama była wciąż pełna wdzięku i urody, tylko że teraz dojrzalszej niż ongi. Była od lat mężatką wyszła za malgaskiego lekarza czy weterynarza doczekała się dwojga dzieci, córki i syna. Z dawnych lat, jak się okazało, zachowała do mnie wiele ciepła i szacunku, a gdy w serdecznej rozmowie wspomniałem o mych nieziszczonych ongi marzeniach co do Tampoketsy, ona typowa Malgaska zaniósła się rozemianem życzliwociem. Przecież nic nie stracone zawołała, porwana zapałem powinienem teraz jechać na Tampoketsę, spełnić swe dawne sny i napisać liczną książkę, i

oczywiście mieć przy sobie młodszą, chętniej dziewczynę, która ułatwi mi życie pod namiotem”.

To mówiąc klasnęła w dłonie i przywołała swoją córkę. Gdy dziewczyna przyszła, Kintana ubawiła się moją zgłupiałą miną i wybałuszonymi oczami: Juliette dwudziestoletnia córka była fantastycznie podobna do Kintany z roku 1937.

Bogdan Kreczmer i dziewczyna Sakalawka

Bogdan Kreczmer, mój serdeczny przyjaciel i towarzysz w latach 1937/8, wcześniej wyjechał z Madagaskaru niżeli ja i przez kilka tygodni przebywał w porcie Madzunga u Hieronima Obsta, równie oddanego sojusznika i kolegi.

Dziwna nastąpiła sytuacja. Dwudziestoletnia dziewczyna, wyjątkowo liczna Rambodo ze szczepu Sakalawów, nie tylko zakochała się w Bogdanie na zabój, lecz tak do szaleństwa zapalała do niego, że był to chyba jakiś rodzaj opętania. Rambodo po prostu nie widziała świata poza nim.

Prosiła, żeby Bogdan został u niej na stałe na Madagaskarze. Oczywiście było to niemożliwe, a po kilku tygodniach Bogdan wsiadł na statek w Madzundze i wrócił do Warszawy.

Bogdan niestety nie mógł już o niczym innym myśleć, jak tylko o jednym, mianowicie jak żyć i istnieć bez Rambodo, a im dłużej to trwało, tym głębiej wchodziło mu to w głowę i w usposobienie.

71

W owym okresie chciał się od niej oderwać i żyć normalnie, ale okazało się, że Rambodo, jak gdyby żyjąca gdzieś w okolicy Warszawy, a nie na Madagaskarze, zaczęła rzucać jakieś uroki.

Bogdana nękały niepowodzenia. Dwa razy próbował zawrzeć małżeństwo z miłą Polką, ale nic z tego nie wyszło. Przyczepiły się do niego jakieś fatalne choroby, zwały się długotrwałe utrapienia. Mizerniał wyranie, a w kilka lat po drugiej wojnie światowej zmarł, wciśnięty na myli tę jedną Sakalawkę.

Wciśnięte powracało doń imię Rambodo, a gdy oddawał ostatni oddech, zacharczało mu tylko jedno i wciśnięte to samo słowo: Ram-bo-do.

Bark zwycięzca

Jechaliśmy właśnie z Antsohihy do Antsakabary na wielki doroczny targ. Było to w północnej części Madagaskaru. Zajedziemy tam jutro. Dziś przenocujemy w Befandrianie, gdzie Polak, mój towarzysz Bark, ma faktorię. Bark siedział przy sterze, ja obok niego. Tym razem wiozłem nie towar, lecz ludzi. Kilkunastu Malgaszów, spieszących na targ. Za cianą słychać było ich pogwary. Była tam też Razafi, dziewczyna Barka i jej młodsza siostra, Rafari; niebrzydka.

Bark opowiadał mi historię swej dziewczyny. Razafi była przy nim od czterech lat. Była to wyjątkowo ładna, bo przystała do niego, gdy był jeszcze w skrajnej nędzy. Lecz Razafi dzieliła z nim ubogi kęs i skromną chatę. On już bardzo lubił za to i za jej niezwykle, zwierzęce prawie przywiśzanie.

To prawda, był to niezwykle kraj. Chociażby palmy satraka, obok których przejeżdżaliśmy. Dorodne palmy, prawie tak piękne jak rafie, lecz miast zwykłych lici miały na wierzchołkach zielone, olbrzymie wachlarze. Urocze, urzekające wachlarze. Piękno tropikalne przybrało tu osobliwy, dziwny kształt. Park palmowy ciągnął się całymi kilometrami, i wtedy nadmiar tego uroku i przejmującej niezwykłości zaczynał niepokoić i nużyć. Piękno satrak szarpało swą powabną obcością, wstrząsało, rozstrajało.

Lecz w pewnej chwili gdy las satrak się urwał i wjechalimy w inny krajobraz, krainę mangowców, drzew kulistych jak ogromne limaki i także nadobnych wyrwał się Bark z tej egzotyki i myśli

wracał do Puszczy Białowieskiej. Urodził się i wychował w tej puszczy; pochodził z ludzi lenych, którzy tworzyli, jak wiadomo, zawsze szczerp tęgi do życia. Pomimo zwycięstw wśród rafi, satrak i mangowców siedziała w Barku tęsknota do sosny. Więc Bark opowiadał wzruszające rzeczy o sosnach, sarnach i lenych myliwych swych dziecięcych lat. Trapiące pytanie wisiało w powietrzu, niedomówione, wciśz naprzykrzając się. Niepokoiło mnie. Wreszcie przerwałem milczenie i zniechęcałem Barka, czy nie brak mu białej, prawdziwej żony. Dotknąłem go jakby rozpalonym żelazem: brak. Bardzo było brak! Lecz która dziewczyna zechciałaby tu przyjechać z Polski? Dziewczyny w Polsce, myśląc o tropikach, marzą o życiu w puchach, o pałacach, o filmowych jachtach, a on był na dorobku, on tego nie miał, życie tu było niełatwe, pionierskie. Próbował już. Poważnej dziewczyny nie znalazł.

Patrzyłem na Barka zakłopotany. Biedny, waleczny chłopak. Jakże się szamotał. Ileż to dziewczyn w Polsce marzyło o takim mężu, o takich dzielnych ramionach! Jakież to złolliwe licho mieszało tu swój jad, stwarzało niepotrzebne zapory, zaćmiewało to jasne życie? Bark odważnym ramieniem ujął ster jakże sprawnie prowadził swoje auto, swoje życie! zdobywał wśród obcych powodzenie, lecz dla kogo? Na końcu tej zwycięskiej drogi, ktoś bliski wynagrodzi go umiechem? Pogodny i wesoły zazwyczaj Bark milczał posepnie.

Wieczorem przyjechalimy do Befandriany. Przed magazynem Barka ludzie rozniecili ognisko. Kolację jedliśmy pod gołym niebem. W gałęziach maugowca syczały przeraliwie madagaskarskie wierszcze, w magazynie gwizdały jaszczurki gekony. Nad nami w powietrzu krężyły fany, latające psy-nietoperze. Dokoła krztałi się usłudni Malgasze, kucharz, boye, dziewczyny.

Lecz ja na to dzi nie zważałem: wyjąłem ze spodu walizy plik polskich gazet, przysłanych mi niedawno z kraju, i czytałem głośno felieton Stanisławy Kuszelewskiej. Serdeczny wywiad, pisany przez dobrego człowieka z gorętszym życzliwociem i zdolnym piórem, o kochanych istotach, polskich dziewczynach, uczennicach, które właśnie zdały maturę i chciały teraz wyfrunąć w życie. Rozkoszne, młode orlice gotowały się do zdobycia wiata z chwalebnych pasj, z drapieżnym wdziękiem, z radosnym tfałalczywociem, z powabnym zuchwalstwem jakie dzielne a prężne dziewczyny. Wyczuwało się, że niejedna z nich zostanie wymarzoną towarzyszką; że stanie obok mężczyzny odważnie,

ramię przy ramieniu, mocnym sercem przy sercu, bliskim umysłem przy umyśle.

Gdy skończyłem czytanie, nastąpiła przy ognisku cisza. Tylko w starym mangowcu rozwrzeszczały się jakie żaby, hałasowały nieznane owady. Póniej Bark szepnął:

O Boże, Boże, Boże... Jakie one wszystkie piękne, te dziewczęta...

Trzy razy, biedaczysko, powtarzał: Boże, i tylko szeptał. Lecz szept był jak przejmujący szloch, jak rozpaczliwy krzyk.

Biedny, zwycięski Bark.

Oparte o cianę magazynu stały obydwie dziewczyny, Razafi i jej siostra Rafari. Patrzyły na nas spokojnym, oddanym, biernym i błyszczącym wzrokiem, czekały cierpliwie. Czekały ze swym kształtnym, brązowym ciałem.

To bardzo wiele: takie ciało.

To bardzo mało: tylko ciało.

Mroczny deszcz i jasne wspomnienia

Dobre niadanie w towarzystwie Jerzego Pałki postawiło nas na nogi. Pilimy mocną kawę, spożywali smaczną jajecznicę i raczyc się wieżym, chrupiścym chlebem cud nad cudy na tym odludziu! pilnowaliśmy, ażeby zjełczałe masło nam nie zaszkodziło. Więc na nogach stanęliśmy, ale duch wciąż jeszcze pełzał mdły i wścýły. Byliśmy nad rzekę Madeira, dopływem Amazonki, w osadzie Mutum Parana.

Chcąc jako rozgrzać swe myli, przypominaliśmy sobie dziwne perypetie znakomitej tancerki Boniuszko. Przyjechała z Polski na występy do Brazylii, ale nasze przedstawicielstwo w Rio nie wiadomo, za czyim zaniedbaniem ponoć nie znało jej, nie przyjęło, ręce od niej umyło. Zajęli się tancerką sami Brazylijczycy i umożliwili jej występ: triumf na całej linii, niebywały zachwyt widowni, entuzjastyczne recenzje brazylijskiej prasy i kwano-słodka, półgębna aprobata ataszatu kulturalnego.

Jawna krzywda, wyrzdzona komu, zawsze należycie wzruszała, ale tego dnia pochmurny niż zbyt ciężko nas gnębił. Sprawa Alicji

Boniuszko nie chwyciła tak, jak na to zasługiwała, a poza tym wyskoczyła cudaczna przeszkoda.

Kto z naszej trójki rzucił nieoczekiwane pytanie:

Właciwie jakiego koloru włosy ma Boniuszko?

Ma ciemne! kto inny odpowiedział. To chyba szatynka!

A może brunetka?

Może brunetka.

Zrobiło nam się markotno. Ciemne włosy mieli bez wyjątku wszyscy mieszkańcy Mutum Parana, miały wszystkie tutejsze kobiety. Czarne włosy nagle kojarzyły nam się z tutejszym klimatem, z deszczem i chorobami. Więc wybieganie myśl do Boniuszko nie sprawiało dostatecznej ulgi, a tak chcieliby się wyrwać z mutumparań-skiego kręgu.

Mam, mam! zamiałem się z desperackim ożywieniem. Jest w Polsce inna tancerka, wielkiej miary artystka, a ma jasne jak słońce włosy. Jest przy tym młoda, ładna i ma włosy nie tylko jasno-blond, ale do tego uderzająco piękne. Fenomen! Bomba!...

Do diabła, która to? zelektryzowali się obydwaj, Jerzy Pałka i Zygmunt Pniewski.

Zgodzili się całkowicie: Krystyna Mazurówna. Im również się podobała. Ale najważniejszą jej zaletą w naszych oczach nie był bajeczny talent, lecz jasne włosy. Tego poranka potrzebowaliśmy jej włosów. Szły od nich ożywcze promienie i w istocie stało nam się trochę janiej na duszy; ochota wezbrała.

Ciekawe odezwał się który z nas co teraz porabia Irena Santor?

Pytanie padło w sam raz i zaprzętnęło nas doskonale. Wszyscy trzej ceniliśmy ulubioną piewaczkę, więc ona teraz przybywała do nas jak dobry duch. Przecigaliśmy się wzajemnie w przypominaniu sobie szczegółów uroczego zjawiska. Przecież miała jasne, jak słońce jasne włosy; i miała ciepły, jakże ciepły i przejmujący głos; i jak szlachetny wyraz twarzy i oczu. Biła od niej jasność i promieniowała pogoda. Szły od nas do niej coraz serdeczniejsze uczucia i gdy czasem rzucaliśmy spojrzenie na brzeg, obok którego płynęliśmy, wtedy smętne drzewa, chłostane strumieniami deszczu, wydawały się mniej wrogie.

Do Bom Futuro, gdzie miał wysiść Pałka, było tylko piętnacie kilometrów, ale brnęliśmy pod prąd i jazda trwała dłużej niż godzinę. Deszcz nie ustawał. Po zniknięciu Ireny Santor powstała w nas pustka

i wtedy przyszedł mi na pamięć mój pobyt przed półtora rokiem w zapadłym kšcie Perinet na Madagaskarze. Odezwałem się do towarzyszy, że chciałbym opowiedzieć im niezwykle przejęcie, jakie miałem na Madagaskarze ze Zbigniewem Cybulskim. Oczywiście oni:

Jak to? Cybulski był na Madagaskarze?

Nie. Ale ja byłem.

Mianowicie przebywałem tam przed wojnš przez wiele tygodni w miłym towarzystwie Bogdana Kreczmera, zbierajšc cenne okazy fauny. Ponownie w roku 1965. Odwiedziłem stare kšty, by sobie przypomnieć to i owo z dawnych czasów, ale trafiłem jak najgorzej. Na nieustanny deszcz.

Tu, na Madeirze wtršciłem w mojš opowieć jest nas trzech; tam, w Perinet, byłem sam jeden, okrutnie samotny i do tego wród rozpaczliwych ulew. Można było oszaleć. I nie było szybkiej ucieczki: najbliższy pocišg do Tananariwy odchodził dopiero za dwa dni w południe...

Na samym dworcu zakwaterowałem się w hotelu niesamowitym, bo pełnym pustych pokoi, a budowanym kiedy na absurdalny wyrost i byłem tu jedynym gościem. Gdy kto głoniej przemówił za cianami, echo dudniło jak w zaczarowanym zamku. Makabryczność hotelu nasuwała nastroje z filmów Bergmana. Pod koniec dnia goniłem resztkami nerwów. Nigdzie dotšd nie czułem się tak daleki od wszystkiego, czym dotychczas żyłem; nawet najbliższych ludzi, drogich sercu, już nie potrafiłem sobie wyobrazić.

Wtedy, ležšc w łózku przy obskurnym migotaniu maleńkiej żarówki u sufitu i przewracajšc strony znalezionego w hotelu tygodnika "Time" nagle doznałem wstrzšsu, czego w rodzaju olnienia. Natrafiłem na artykuł zatytułowany: "Człowiek w zielonych okularach". Amerykański korespondent z Warszawy pisał o Zbigniewie Cybulskim. I jak pisał! Chyba od czasów Modrzejewskiej czy Paderewskiego nigdy jeszcze nie okazywano Polakowi w amerykańskim czasopiśmie tyle uznania i takiej serdeczności.

Artykułik pojawił się w numerze "Time'a" z 18 grudnia 1964 roku i stwierdzał, że Cybulski był obecnie pierwszym polskim aktorem, zdobywajšcym wiatowš sławę. Oczywiście przede wszystkim filmem "Popiół i diament". Nigdy jeszcze nie widzieliśmy kogo tak przeraliwie konajšcego jak Cybulski w tym filmie" cytował Amerykanin

wypowied francuskiego krytyka... Ale nie tylko Popiołem i diamentem wchodził Cybulski na ekrany wiata: angażowali go już Szwedzi do swoich filmów... Legendarne zielone okulary Cybulski nosił ponoć dniem i nocą, a on sam zwierzał się, że bez okularów czuł się zastraszone i nieszczęśliwy... Cybulski zapewniał autor artykułu był wielkim aktorem, rasowym człowiekiem sceny, pracownikiem nigdy nie strudzonym i nade wszystko dobrym kolegą, prawdziwym przyjacielem...

Gdy wtedy czytałem tego "i???" kończąc mówiłem do dwóch przyjaciół w motorówce nie wyobrazicie sobie, co ze mną się stało! Jakie fantastyczne przemiany mogły zachodzić w człowieku! Mówiąc wzniosie: krew wróciła mi do serca, myśli nabiegły do głowy, radość do duszy. Poczuliem się znowu normalnym, sobą! I od nowa silnym! Jak dobrze pomyślałem wtedy że mamy takich Cybulskich!...

Malgaska modelka

Ażeby nie psuć szyków gospodarzowi, siedemdziesięcioletniemu malarzowi Bleger w Tananariwie, skromnie siadłem z boku, mało co się odzywałem i tylko z rzadka, dyskretnie, rzucałem przelotne spojrzenie na dziewczynę. Była uderzająco ładna i czuła się dobrze w pracowni. Przyjemny uśmiech nie schodził z jej owalnej twarzyczki. Piękne oczy patrzyły na świat z niewinną słodyczą, ową znamienne dla wielu Malgasek słodyczą, w której odbijała się jak gdyby głęboka dobroć całej ludzkości. Ciekawy rys urody, który od wieków podbijał wszystkich przybyszów na wyspie. Bleger jak rzadko kto umiał doskonale przenieść na płótno właśnie ów słodki wdzięk tutejszych kobiet, i to się ogromnie podobało. W tym chyba tkwiła jedna z przyczyn jego materialnego powodzenia.

Były to pierwsze odwiedziny dziewczyny, i Bleger nie chciał ich przedłużać. Po dziesięciu minutach zakończył seans, podziękował modelce i wręczył jej pięćdziesiąt franków. Za niedługie posiedzenie cadeau aż nazbyt suto. Wszakże osóbcie było to za mało, potrzebowała główek i przestała się umiechać, przykro zadziwiona. Bleger, nawykły do takich targów, zawahał się, ale zależało mu na modelce i nie tracił

so

humoru, dorzucił jej jeszcze pięćdziesiątkę. Jednak i to nie starczyło i młoda uparciucha żywo protestując, domagała się więcej. Tego było mu za wiele. Serdecznym głosem, ale stanowczo powiedział jej: nie.

Jeszcze nie skończył zdania, gdy nagle stało się z dzierlatką coś strasznego, piorun złości w nią strzelił. Osłupiałem, tak gwałtownie zmieniła się jej twarz. Piękne rysy, przed chwilą anielsko słodkie, pełne dobroci, zniemacka wykrzywiły się nie do poznania: to już upiór, odrażający w swej brzydocie, pienieł się z wciekłości. Tak nagły przeskok z jednego w drugie, ze wzniosłej szlachetności w koszmar, nie tyle przerażał, ile wprawiał w zdumienie, więcej: rozbawiał, więcej: przejmował podziwem. Imponowała taka pasja u tak młodziutkiej Malgaszki i imponowały fantastyczne możliwości mimiki licznej buzi.

Wybuch wciekłości małego diabliska nie poszedł na marne i Bleger, zwyciężony, dołożył dziewczuszcze

jeszcze całe sto franków: oliwa na burzliwe morze. Modelka zaraz się uspokoiła i po kilkunastu sekundach przyszła całkowicie do siebie. Z jej twarzy znikł demon i buzia wróciła znów do poprzedniej urody: była czarujšca, rozmarzona, roz-anielona wszechludzkiš dobrociš. To była rzeczywiście ładna Malgaszka.

Patrzyłem na to wszystko z osłupieniem i nie posiadałem się z zachwytu.

Ależ to imponujšce! wołałem do Blegera. To imponujšce!

Malarz po wybuleniu dwustu franków był mniej skory do uniesień:

Imponujšce? Cóż takiego!

Cóż? miałem się. Diabelne uniesienie tej dziewczyny! Jej boska zdolność do tak żywiołowej pasji!
...

Malarz wzruszył lekceważšco ramionami:

Nie widzę w tym nic imponujšcego, wybaczy pan! Wciekła się cizia i nic więcej!

Wpadł mi do głowy wariacki pomysł, półzartobliwy.

Bleger! krzyknšłem. To nie żarty: błagam pana, proszę namalować jš w tej boskiej pasji!

Nie podzielał mego nastroju, nie rozgrzał się do boskoci, nie wszedł w mój ton.

I co dalej? Co z tego będzie? spytał sceptycznie.

Będzie pan bliżej Gauguina! huknšłem wyzywajšco.

b Kobiety

SI

Stropił się, na chwilę umilkł. Potem nieco zmienionym głosem, bardziej starczym i skrzypliwszym niż zazwyczaj, rzekł:

Za to dalej byłbym od nabywców moich obrazów!... Takiego obrazu nie sprzedałbym!...

Umiechnšł się, lecz nie był to pogodny umiech.

Liii Badmajew

Wyruszyliśmy z Konakri, stolicy Gwinei, około drugiej po południu. Jechało nas trzech: sekretarz naszej delegacji handlowej, Mieczysław Eibel, dzielny kierowca Kwame Sumah i ja. Wszystko grało wymiennie. Pogodne niebo, znakomita droga asfaltowa, dobra maszyna, citroen, obraz afrykańskiej sawanny, nade wszystko za oczekiwanie niecodziennych wzruszeń wywoływało nastrój upojenia.

Byliśmy szczęśliwi, wyrastały nam skrzydła.

Pędem minęliśmy sławetnie czujną policję miasteczka Koya i wpadliśmy we wzgórza. Były to południowe wyloty rozległego masywu Futa Džalon. Na jego północnym krańcu, o jakie sześćset kilometrów stąd, usadowił się Jukunkun. Rolnictwo, coraz większe, zdradzało większą wilgotność gruntu i zwłaszcza w dolinach tworzyła zwarte lasy. W tych kniejach, z dala od ludzi, trzymał się jeszcze łowny zwierz. Żerowały dzikie bawoły, migały gazy i antylopy, buszował lampart, a nieco dalej, ku granicy Sierra Leone, słoń nie był rzadkością.

Oczy miały się do ludzi, upajał nas malowniczy kraj, więc ażeby jeszcze dosadniej napawać się jego pięknem, niejako dodać mu przyprawy korzennej rozzuchwaloną wyobraźnię puszczałyśmy się w tęczowe wojaże. Pomykałyśmy aż nad Wisłę i radonie, prawie zdyszani ze wzruszenia, dopadałyśmy Krakowa. Mieczysław Eibel, człowiek wysoce kulturalny, wykształcony, a w sam raz rozmowny, był wymienionym kompanem w tego rodzaju wypadach, toteż pełni radoci wlecieliśmy razem do Michalikowej Jamy na młodopolską kawę z absyntem, oczywiście. Przy słynnym okrągłym stole pod cianą siedział tam samotnie, czekając na przyjaciół, rudawy, brodaty poeta. Wyspiański kreślił coś ołówkiem na kartkach: może strofy o Bolesławie miałym, a może szkic witrażu?

Ale tam, u Michalika, było mroczno i duszno Eiblowi i mnie nawet w wizji zbyt ciasno. Za to tu, w afrykańskiej rzeczywistości, migały nam przed oczami raz po raz ucieszne, stożkowate strzechy nad małymi chatkami wśród kulistych mangowców i rozcapierzonych baobabów. Może dlatego w wyobraniu przyjemnie było uciekać spomiędzy murów Krakowa na nadwilane błonia. Porywały nas Bro-nowice i okoliczne wsie, tonące w gęszczu lip i topoli. Błogo było spojrzeć na błękitne chaty i przytulne strzechy i zabawić w gronie rozkochanych Tetmajerów i serdecznego Rydla.

Tak oto upijaliśmy się przednim miodem wspomnień. I nie była to ucieczka od smętnej rzeczywistości w krainę pięknych rojeń, ani bunt przeciw temu, co nas otaczało, lecz przeciwnie: właśnie dlatego, że tu, na tej uroczej, gwinejskiej autostradzie czulimy się tak dobrze, unosiła nas fantazja aż hen, nad Wisłę.

Już przed Mamu przestaliśmy myśleć o Krakowie, ale teraz klucze ptaków, wędrujących z północy, wyglądały niemal jak symbole i przypominały nam poprzednie marzenia. Podjął to Eibel, odzywając się żywo:

Zwiastuny z północy! Miłe skojarzenie!

Ech! machnąłem ręką z żartobliwym przekorsem. Miłe, owszem ale ptaki i koniec!

Kochana Dalaba: podwójny pokój kosztował tu zaledwie pięćset franków dwa dolary, niebywała tanioccha! Po prysznicu czulimy się jak młode bogi i oddychając fantastycznie rzekim powietrzem, tudzież dotknięci wilczym apetytem, poszliśmy na kolację. W hotelu były pustki, oprócz nas w sali jadalnej tylko jedna para, za to ciekawa: on młody Francuz, ona niespełna dwudziestolatka o dziwnie egzotycznej krasie. Nie była biała ani czarna, nie była Mulatką ani Metyską, więc czymże, do licha? Jaką Euroazjatką? Ożywni szczerą życzliwość dla tych dwojga, zerkaliśmy na nich dyskretnie, aż znalazłem: wyglądała na Laotankę z domieszką krwi białej. Lecz skądże tu dziewczyna z Laosu, z głębi Azji? Zresztą mniejsza o jej rodowód: była przeliczna, zwłaszcza wtedy, gdy przymilając się do towarzysza, z lekka znudzonego paszy, darzyła go umiechem. Szalenie nam się podobała i przypominała jakąś znajomą. Ale kogo?

Już wiem! ucieszył się Eibel. Liii Badmajew.

Miał słusność, trafił w sedno: dziewczyna o tajemniczej urodzie była podobna do naszej Liii Badmajew, cenionej, wykwintnej baletni—

??, dorodnej córki tybetańskiego lekarza i Polki. Obydwaj znalazły ? osobicie. I chwyciło nas znowu to samo: jak po południu Kraków, tak teraz Liii Badmajew rozogniła nasz wyobraźnię. Wybiegając serdecznie myśl do uroczej tancerki, zastanawialiśmy się, gdzie ona obecnie podbijała serca: w Rzymie czy w Paryżu, a może w Atenach? Życzyliśmy jej szczęścia i pilimy za jej pomyłkę. Potem poniosła nas rozbrykana fantazja i powstało pytanie, jak zachowywałaby się Liii, gdyby kaprynym przypadkiem towarzyszyła nam w tej futadza-łońskiej wyprawie i siedziała z nami przy stole w Dalabie?

Byłaby morowym kumplem! zapewniał Eibel. I ja tak sądziłem.

Znowu wypadło stwierdzić, że to wybieganie w dal, ku kuszącej tancerce, nie stanowiło wcale ucieczki od rzeczywistości do wynionej zjawy. Przeciwnie, przywoływalimy na pamięć daleką dziewczynę, ażeby ta bliska, obecna, w tym lepszym przedstawiała się blasku i tym bardziej nam smakowała. Była to słodka, okrutna, perfidna zabawa: urodę naszej Liii Badmajew składaliśmy w ofierze czy w hołdzie tej obcej, egzotycznej piękności.

Dziwny, miły dzień, miły wieczór. Z wdzięczności umiechalimy się do pary młodych.

Papilio antenor i Sakalawka

Po przelotnym pobycie na wschodnim wybrzeżu wyspy, gdzie wchłaniałem dziwaczne piękno drzew ravenala, zawitałem którego dnia do Morondawy, starego miasteczka i portu na zachodnim wybrzeżu Madagaskaru. Od morza, od kanału Mozambickiego, szedł błogi wiatr, który w południe przeradzał się w wichurę, a przy tym słońce przyjemnie oblewało domy, palmy kokosowe i natarczywy piasek. Było to przyjazne powitanie i nie miałem żalu do miasteczka. Za nic w wiecie nie nazwałbym go smutną dziurą, jak go nazwał pewien złoliwy Anglik. Ledwo znalazłem się na głównej ulicy motyl antenor wzbił się z krzewów i ucieszył oko.-

Już od dawna czułem do Morondawy feblik. Toż to dzięki temu portowi tutejsi Sakalawowie nabywali w XIX wieku strzelby od hinduskich handlarzy i mogli skutecznie odgryzać się” Merinom. Nigdy

nie popadli w niewolę. Sławny wojak Radama I, król Merinów, małgaski Napoleon, mocno się starał i kilkakrotnie napastował królestwo Menabe, ale za każdym razem obrywał guza. Anglicy hojnie wyposażali go w broń przez port w Tamatawie na wschodzie wyspy, ale tu, na zachodzie wyspy, Sakalawowie mieli swój Morondawę.

A do tych dziewiętnastowiecznych wydarzeń doszedł teraz motyl antenor. Ujrzałem go w rodku miasta, lecącego nad ulicą, gdy zaraz po ulokowaniu się w hotelu wyprysnąłem na pierwszą przechadzkę. Jeszcze nie dochodziło południe; gwałtowny wiatr dął od morza, a z tym wiatrem zmagał się motyl.

Widok antenora to zawsze radosna rzecz. Jak motyl kometa wśród nocnych gatunków, tak antenor wśród dziennych był największym na Madagaskarze lotnikiem, powietrznym rycerzem. Rozpięty na blisko piętnacie centymetrów, zawsze sprawiał w pierwszej chwili wrażenie ptaka. Ludziom, czy chcieli, czy nie chcieli, rzucał się w oczy, bo latał powoli, nigdy się nie spiesząc, miękko uderzał skrzydłami jakby od niechcenia, a był niezwykle malowniczy: wesoło nakrapiany białymi cętkami na ciemnym tle, na tylnych skrzydłach przechodził w metaliczny szafir, upstrzony czerwieni, i kończył się jaskółczym ogonem. Wywodził się oczywiście ze szlachetnego klanu papilio, a areną jego uroczych igraszek był zachód i południe Madagaskaru.

Antenor, którego zobaczyłem, był uparty. Leciał niewysoko nad główną ulicą i chciał koniecznie dostać się nad brzeg morza, więc musiał borykać się z wiatrem. Targany podmuchami w tę i tamtą stronę, to wznosił się mozolnie, to się zniżał i cofał, ale wciś od nowa natężał siły i dążył w górę, przeciw wiatrowi. Skrzydła, same w sobie wspaniałe, miał zbyt wielkie i cienkie, zbyt słabe na tak brutalny powiew, ale motyl miał też i upór nie lada. Nie popuszczał: mocował się z wiatrem i mocował. Ileż w tym wiotkim ciele tkwiło wytrwałości, jaka czupurna nieugiętość!

Przystanąłem na ulicy i spozierając na motyla, nie mogłem wyjść z podziwu. Antenor podsuwał cudaczne skojarzenia: przypominała mi się uporczywość łososi, każsca im przewycięzać wodospady w ich pędzie ku źródłom rzek i życia. Jeszcze inna, kapryniejsza wizja stanęła mi przed oczami: ujrzałem obraz Gauguina, przedstawiający Jakuba w walce z aniołem.

Wariackie wspomnienia wywołały moją wesołość: gdzie Gauguin, gdzie Morondawa, gdzie łososie, gdzie motyl i zamiałem się sam

do siebie. Przechodziła właśnie obok mnie dziewczyna; widziała moją niezwykłą uciechę, więc i ona do mnie się uśmiechnęła. Był to serdeczny u niej odruch.

Salama, ramatu tsara! zacząłem już ochoczo, widocznie starym nawykiem niezdolny pominiść sposobności.

Dziewczyna, wcale nieźła, przystanąła i swobodnie podała mi rękę.

Salama, monsieur! Pewnie niedawno tu przyjechała? za-szczebiotała.

Mówiła do mnie ty”, bo taki był tu zwyczaj od niepamiętnych czasów, zwyczaj równie zakorzeniony jak w naszej telewizji, gdy w filmach, le tłumaczonych z angielskiego, pan do pana bezceremonialnie walił ty”.

Niedawno przyjechałem! potwierdziłem z figlarnym grymasem. Przed godziną.

Była to Sakalawka, mówiąca poprawnie po francusku, a przy tym jaka ogromnie naturalna i miła. Przyjemnie patrzyło jej z oczu.

A jak ci się podoba Morondawa? podjęła grzecznie.

Bajecznie! wybuchnąłem rozbawiony. Bajecznie, od kiedy ciebie poznałem... ,-,,

To mnie cieszy, że przyjechała... I Stwierdziwszy to podała mi znowu rękę, tym razem na pożegnanie, i odeszła. Jak inne młode morondawianki, była mocno cinięta w pasie, żeby uwypuklić piersi i poladek: szczególna moda w Moron-dawie. Więc chciałem już zatrzymać, jeszcze o czym pomówić, o co zapytać, wyznaczyć spotkanie, nic z tego: po prostu odeszła.

A gdy spojrzałem do góry, nad ulicę drugi zawód. Znikł także mój antenor. Pewnie zniechęcił się do roli Jakuba i zawrócił w głębi łąki.

I jeszcze jedno przypomnienie: Antenor.’ Czy to nie był ów Trojańczyk, namawiający swych rodaków, by Grekom oddali porwaną Helenę i nie pakowali się w babskie historie i kłopoty wojenne? Więc może to nomen omen i może dobrze się stało, że młoda Sakalawka sobie poszła? Może dobrze mówił do siebie stary obłudnik, a wiedział, że pozostanie w niewielkiej miecinie kilka dobrych dni i że góra z górą nigdy się nie zejdzie, ale człowiek z ramatoś czasem tak...

Tak czy owak, jedno pozostało pewne: wieciło tu bardzo białe słońce i huczało blisko morze, i chłodził miły wiatr; były szeleszczące palmy i Sakalawki chętnie podające rękę.

Boska Korianka

Gdy mowa o poznańskich kabaretach owych lat trzydziestych, nie sposób pominąć zachwycającej Toli Korian. Cóż to był za kapitalny talent! Młodziutka córka popularnej w Poznaniu pary artystów, Kajetana Kopczyńskiego i Marii Janowskiej, Korianka była wcieleniem niedocieczonych tajemnic estrady. Nie żadna piękność, o raczej znikomej urodzie twarzy i postaci, ale gdy zabierała głos jako diseuse'a ni to piewnie, ni mówiśco, cała oszołomiona salka Różowej Kukułki" wpadała jak gdyby w trans, zamierała ze zdumienia, ze wzruszenia, traciła chyba przytomność. To była czarodziejka nastroju, Ody-seuszowa syrena; to były seanse upojenia.

Odkrył jś prawdopodobnie Ludwik Puget, drapieźnie pochwycił jś, nie, porwał jś Artur Maria Swinarski, rozkochali się w niej bywalcy Różowej Kukułki". Wzięła ich ogniem poetycznym, gwałtownym, zaćmiewajścym na chwilę nawet satyrycznś gwiazdę Swinarskiego.

Młoda diseuse'a daremnie próbowała przedtem szczęcia, występujśc w poznańskim kinie Metropolis": oczywicie przy tej publiczności zupełna kłapa. Potem Korian wyjechała do Warszawy, wstąpiła do zespołu Bandy", nie poznali się na niej: wzięli jś za prowincjonalnego wróbelka i nie bez wulgarnej złoliwoci zahukali jś.

Dopiero potrzeba było wielkiego serca i wysokiej kultury Pugeta, by dostrzec jej iskrę bożś. I pięknie iskra rozplonęła w Poznaniu. Tola Korian była niedocigła w odtwarzaniu starych francuskich i angielskich ballad w ich rodzimym dialekcie, a w polskim języku urzekała czarownś groteskś o dwuznacznym Strachu" w lesie. Liryczny urok zwłaszcza prowansalskich ballad z ust Korianki odczuwało się jak niezwykle piękno starej rzeby z koci słoniowej. Strach" powtarzała Korian niemal co wieczór, i taka była potęga jej interpretacji, jej osobowoci, głosu, oczu, wyrazu ust, że co wieczór ci sami wierni słuchacze, olnieni, tonęli w zachwycie.

Rzecz prosta, że zadurzyłem się w ujmujśczej dziewczynie i chciałem jś zdobyć dla siebie. Istniały najlepsze ku temu widoki: miałem już za sobś romantycznś przeszłość podróżniczś, w literackim debiucie wyszły trzy ksiżki, o Dniestrze, o brazylijskich Indianach i o brazylijskich przyjaciołach-zwierzętach, a Tola Korian była miłoniczkś zwierzšt. I już skłaniała się do marzeń o przyszłej wspólnej wyprawie nad Amazonkę gdy piękne zamiary brutalnie pokrzyżował Artur Maria:

wybuchł potwornś zazdrociś. Oczywiście nie seksualnś, raczej zazdrociś estradowś. Obawiał się stracić cennś atrakcję kabaretowś. Przekonał dziewczynę, że moja mrzonka o Amazonce to nieziszczalny kaprys; zagrały także, jak przypuszczam, ich obopólne sentymety endeckie, i poznańska trzewoć Korianki wzięła górę. Ostygłem w swym afekcie i ponętnś disease'ę straciłem z oczu na wiele lat.

Dopiero trzynacie lat póniej, w 1946 roku, spotkałem jś w Londynie na jakiej narodowej akademii Białego Orła” z przemówieniem brytyjskiego dygnitarza, rozczulonego barwami sztandaru polskiego, że czerwony jak krew, a biały jak nieg. Przybyło wielu londyńskich Polaków. Przeciskajśc się w tłoku, zobaczyłem jś. Przywitalimy się, serdecznie zaskoczeni i zmieszani niespodziankś. Wiedziałem już, że Tola Korian zrobiła małżeńskś karierę”: wyszła za mśż za doktora Tymona Terleckiego, ultrareakcyjnego obrońcę Okopów w. Trójcy, orędownika londyńskich nieprzejednanych, a przy tym człowieka nad wyraz oschłego, bezdusznego. Znałem go dobrze z czasu wojny.

W ogólnym cisku można było tylko rzucić sobie co zdawkowego.

Czy jest pani szczęliwa? zapytałem doć głupawo. Wzięła to jako docinek. Musiało być z niś niezbyt dobrze.

Ależ naturalnie! Tak! Bardzo! odpowiedziała popiesznie, z maskś umiechu na twarzy, i już rozdzielili nas ludzie.

Nie zestarzała się wiele. Jej nieurodziwoć była wciśż interesujśc.

Akademia narodowa miała także częć artystycznś, i tu pierwsza wystšpiła Korianka-Terlecka. Wygłosiła stary przebój groteskowy Strach”. Zdziwiłem się, że nie wybrała czego nowszego. Strach” nie wypadł tak wietnie jak ongi, nie zrobił dawnego wrażenia. Wydało mi się, że przybladł. Może stłumiło go zatłoczenie ogromnej sali (Różowa Kukułka” mieciła się w kameralnej salce kawiarni Warszawianki” przy Alejach Marcinkowskiego w Poznaniu), a moż i talent Toli Korian, ongi tak porywajśc wieży, nieco wypłowiał?

Między jednś wyspś a drugś

Spod słońca Madagaskaru wyleciałem, przecinajśc ukonie Afrykę, do jesiennej Europy, a tu, w zaniepokojonym Paryżu, zastałem alarmy, napięte twarze, półmobilizację. Ale owego padziernika 1938 roku

ss

ludzie u góry” jako na razie jeszcze się dogadali i gdy przybyłem do Warszawy, była znowu pogoda.

Gorzej ze mnś. Przeskok z wyspy tysiśca złotych owoców w mgły nadwilańskie dał się we znaki, chociaż zrazu nic nie zauważyłem. Mieszkałem tym razem w Warszawie, nie w Poznaniu. Ksiśżki szły wciśż jak Ťvoda, honoraria wpływały sowicie, nastroje dopisywały, otaczali mnie serdeczni

ludzie, była radość w duszy⁵ byli przyjaciele, nie zawodziły przyjaciółki.

Dzięki Kreczmerowi poznałem zapalonego etnografa Aleksandra Godlewskiego, którego także porwał zachwyty dla brzówych ludzi, ale w innych rejonach globu, w Polinezji. Jego uwielbienie było nad wyraz twórcze i rzeczowe. Miły etnograf przebywał przed rokiem na Tahiti i wrócił stamtąd oczarowany wszystkim, czego dowiadczył na pacyfi-ku: przyrodę, klimatem, a przede wszystkim Tahitańczykami i bogactwami ich historii. W mrocznych dniach polskiego listopada snuł przed nami obrazy słonecznej wyspy i beztroskich jej mieszkańców, a przed moją wyobraźnią stawał od nowa ubóstwiający malarz Paul Gauguin, którego uroczej książki Noa Noa nie zapomniałem. W czasie tych tahitańskich opowiadań błyszczały renice przejętemu narratorowi, a nam, Bogdanowi Kreczmerowi i mnie, błoga wizja mórz południowych i szczęśliwych wysp napelniała oczy i duszę.

W tym mniej więcej czasie, jeszcze w listopadzie, zaczęło coś psuć się z moim zdrowiem: coraz częstsze okresy apatii przeplatały się z napadami nienaturalnego znużenia; łatwo urywały mi się myśli, jak gdyby krew nie dochodziła do mózgu; zimno mi było i nieprzytulnie na wiecie; dopiero wypicie kieliszka wódki usuwało w mig zmęczenie i sztuczny bodziec przywracał normalny humor i samopoczucie. Równocześnie działy się historie z zębami: miękły mi dziąsła, jak gdyby wszystkie zęby chciały wypadać. Zagrzebany do głębi w załatwianiu bieżących spraw, zrazu mało zwracałem uwagi na te dolegliwości, aż heca z zębami wyrwanie zakłóciła mój spokój. Poszedłem do najlepszej wówczas dentystki w Warszawie, a ta niemal na pierwsze spojrzenie znalazła diabła i zaraz chwyciła go za rogi: szkorbut, awitaminoza. W jesiennej Polsce zabrakło mi słońca i należytych owoców po ich nadmiarze i nadmiarze słońca na Madagaskarze-Leczenie zębów trwało pełne dwa miesiące i doprowadziło je jako tako do porządku, natomiast trudniej było uporać się z zaawansowanym skorbutem. Pomimo lekarstw i pochłaniania masy owoców, niedomaganie tylko

powoli ustępowało, a że wówczas cały wiat stał mi otworem, w Polsce za już niewiele pozostało spraw do załatwienia, niemal z chwilą pojawienia się szkorbutu powziłem decyzję szybkiego wyruszenia tam, gdzie najlepiej mogłem go wyleczyć: na Tahiti.

Oczywiście: na Tahiti. Przecież od lat chłopięcych postać fantastycznego romantyka, Gauguina, tak zwiśzanego z dalekimi wyspami, niewymownie mnie pasjonowała. Więc teraz owej jesieni w Warszawie czujnym uchem wchłaniałem opowiadania przyjaznego Godlewskiego i napawałem się całym urokiem jego Tahiti, tak ponętnie a przekonywająco przedstawionego. Szkorbut zjawił się tylko jak dopełnienie ostatecznej decyzji.

Wyjeżdżając na Tahiti, dobrze sobie uwiadamiałem, dokąd mnie niesło: nie tylko na nikły punkcik geograficzny na Oceanie Spokojnym, najbardziej od nas oddalony; nie tylko na wyspę ziarenko maczku wśród ogromu mórz, ale także na jakiś gigant popularności i sławy, na niedocigłszy wedetę słynnego rajy na ziemi. Od stu siedemdziesięciu lat, od chwili odkrycia wyspy przez Anglików i Francuzów, zwłaszcza

Francuzów, nieustannie rosła jej chwała aż do ostatnich dni, chwała krajobrazu, klimatu i kobiet. Tahitanki odgrywały w tej glorii główną rolę, im skrupulatni pedanci wśród lowelasów przypisywali całe 75 procent siły atrakcyjnej wyspy, a tylko 25 procent przypadało na resztę, to jest na wyjątkowy przepych krajobrazu i powab klimatu.

W okresie, gdy wybierałem się na Pacyfik, Tahiti stało u szczytu swej chwały, było na całym świecie w modzie. Sprawiał to wielotysięczny legion opętanych zapaleńców, którzy z talentem czy bez talentu przelewali swój zachwyty na papier, a wśród nich takie pióra jak Melville, Pierre Loti, Jack London, Rupert Brook, Robert L. Stevenson, Somerset Maugham, nawet malarz Henri Matisse. Życie i obrazy innego malarza, Paula Gauguina, dodawały ostatecznego blasku wyspie, a kilka wietnych filmów, jak „Bunt na Bounty”, „Białe Żagle” czy „Tabu”, rozsiewały wśród najszerzych mas czarodziejskie piękno Tahiti. Liczna Reri, bohaterka filmu „Tabu”, zawędrowała przed paroma laty nawet do Polski i tu swym tahitańskim tańcem, urokiem i pieśnią spustoszenie u kochliwych czcicieli.

Wśród monotonnego turkotu pociągów, a później łagodnych kołysań statku, wybiegałem rozbudzoną fantazją ku Pacyfikowi, lecz także cofałem się myśląc w ubiegłe wieki, kiedy odkrywano szczęśliwe wyspy na dalekich oceanach. Przed każdym nawigatorem stawało w owe

dawne czasy waŝkie pytanie, jak go tubylcy przyjmš i czy dostanie u nich wieŝej wody i owoców, od których zaleŝało często dalsze jego ŝycie; ale choć liczne były wybrzeŝa wszystkich mórz, nikt nigdzie na całym wiecie nie doznawał tak gorŝcego przyŝęcia jak na Tahiti.

Na poczštku było ich trzech dziarskich kapitanów, męŝów o sławnych juŝ wtedy nazwiskach, Samuel Wallis, James Cook i Louis Antoine de Bougainville, dwóch Anglików i jeden Francuz. Oni to w odkrywczych wyprawach, w drugiej połowie XVIII wieku, poczšwszy od 1767 roku, niezaleŝnie od siebie, kolejno rok po roku lšdowali na Tahiti i rozplýwali się w zachwytach, Anglicy z uczuciem paniki i purytańskiej obłudy, Francuz otwarcie i miało, z ubawieniem i galijskim ferworem.

Pierwszy z nich, Wallis, popadł w piekielne tarapaty regulamino-wo-sercowe. Był przecieŝ wzorowym słuŝbistš, rygorystycznie wychowanym w najlepszych tradycjach angielskiej marynarki. Więć jako taki naipierw łupnš kartaczami z armat do brŝzowych wiolarzy, podplýwajšcych, jak mu się zdawało, w złych zamiarach, bo z nagimi dziewczkami na łodziach. Następnie zacharapczył wyspę ówczesnym prawem kaduka dla Anglii i nazwał jš wyspš króla Jerzego.

Połowa załogi była chora na skorbut, więc musiał jš wyładować dla leczenia na lšd, a tu słodka ognistość dziewczšt w mig przywróciła wszystkim zdrowie. Rozniosło się na okręcie, ŝe za jeden gwód można było zaznać nieba, dostać nawet bez gwodzia urocŝ dziewczynę i owoców, ile dusza zapragnie, więc marynarze zapomnieli, ŝe sš Anglikami, poszaleli, rozwydrzyli się. Wszystkie gwodzie z belek wrywali i pędzili na lšd. Nawet tego nie potrzebowali: radosne nimfy wdzierały się same na pokład. Cięŝkie kary musiał wymierzać Wallis swym ludziom, by przywrócić jako tako dyscyplinę i poskromić opętanie załogi.

Ale miodowe kłopoty nie ominęły i jego samego, Wallisa. Oto królowa doliny, przy której okręt lšdował, niejaka Poorea, rozgorzała do niego płomiennym ŝarem i kapitan nie mógł się jej oprzeć, musiał ulec jej wdziękom. Ba, obydwaje zapałali ku sobie takim afektem, ŝe gdy po miesiřcu nadszedł dzień rozstania, królowa nie chciała wyjć z jego kabiny i musieli jš przemocŝ wynosić z okrętu. Ona wniebogłosy darła się i spazmowała, więc i on, kapitan, jak bóbr się rozpląkał z rzewnoci.

Była to scena na miarę tytanów, jakby z wielkiej opery wyjęta,

może opery buffo, ale kapitanowi srogą cenę za nią zapłacić przyszło. Służbisty poczciwiec i pedant skrupulatnie zapisywał do dziennika okrętowego wszystko, co zaszło na pokładzie, także i te płacze, więc gdy po jego powrocie do Anglii dowiedziano się o jego łzach, Wallis stał się pomiewiskiem całego Londynu. Pewien członek Izby Lordów nie omieszkiał wystąpić z interpelacją do Admiralicji, co się dzieje i do czego dojdzie wstawiona Marynarka Angielska, skoro jej kapitanowie ronią łezki przy pożegnaniach starych czarnych panii i stają się beksami.

To wystarczyło, by zwichnąć karierę Wallisowi raz na zawsze. Bougainville, który w rok później zawitał na wody Tahiti, nie był obłudny, nic nie ukrywał; kulturalny wiatowiec salonów francuskich nie myślał nakładać sobie listka figowego. Wykształcony, jasnym władający piórem, dał ludzkoci tak wietne i przekonująco opisy tego, czego doznał, że one to przeszły do historii i raz na zawsze, aż po dzień dzisiejszy, utrwaliły sławę Tahiti.

W miarę zbliżania się statku do lądu wyspiarze otoczyli nas na łodziach. Pisał w swej Podróży dokoła ziemi. Wszyscy zbliżając się wołali ta ? o”, co znaczy: przyjaciel. Na pirogach było także pełno kobiet, których piękno twarzy nie ustępowało urodzie Europejki, a wyspiarki doskonalszą harmonią ciała górowały nad naszymi kobietami. Większość tych rusalek była naga i z prostotą ducha niedwuznacznie gestami dawała nam do zrozumienia, o co chodzi, aż nas to żenowało. Brżowi mężczyźni, bardziej bezporedni, zachęcali nas, by wybrać sobie dziewczynę i iść z nią na ląd. Suszyłem sobie głowę, jak tu wobec takiej pokusy będę mógł utrzymać przy pracy na statkach 400 młodych Francuzów, którzy od pół roku nie widzieli kobiet? Jedna z młodych dziewczyn wdarła się zuchwale na pokład i stanęła nad windą okrętową. Zrzuciła z siebie przyodziewek i ujrzeliśmy istną Wenus o boskich kształtach. Marynarze i żołnierze pchali się ku niej!... Nieocenioną zaletą wyspy jest zupełny brak wstrętnych owadów, tak licznych w innych krajach tropikalnych, i także brak jadowitych czy niebezpiecznych zwierząt... Chaty ich nie mają ścian, są otwarte na wszystkie strony; można dowolnie wchodzić i wychodzić. Każdy bez pytania zrywa sobie owoce, na jakie ma ochotę, taki jest nadmiar owoców; i również ryb. Wyspiarze przyzwyczajeni tylko do picia wody, nie znoszą nawet zapachu wina... Są nad wyraz gocinni, lubią miłość, muzykę i tańce...”

Gdy książka Bougainville'a ukazała się wkrótce po jego powrocie do Francji, wywołała niebywałe wrażenie. Oto teorie Jeana-Jacquesa Rousseau o dobroci i szczęciu prostego człowieka natury, o tym „dobrym dzikim”, znajdowały swe realne potwierdzenie na wyspie Morza Południowego. Co miało cechy utopii, którą Rousseau rzucał dotychczas w pustkę, temu Bougainville nadał empiryczne uzasadnienie i wyznaczył miejsce owego rajy na naszej planecie: Tahiti. Francuscy encyklopedycy, a szczególnie Denis Diderot, mogli umocnić podwaliny swej filozofii przyrody, Diderot za przybił to rozprawę o Uzupełnieniu podróży Bougainville'a. Była to podróż ważna i bogata w skutki.

James Cook, najslawniejszy z żeglarzy XVIII wieku, nieustraszony odkrywca, genialny samouk, bystry obserwator, a przy tym mąż wielkiego serca i wrażliwoci, w rok po Bougainville'u rzucił kotwicę u brzegów Tahiti w towarzystwie wybitnego uczonego, doktora Banksa, członka elitarnego Royal Society, i jego znakomitych kolegów. Cook, uwieczniający swe podróże w wietnym dziele, pisanym kapitalnie jasnym stylem, potwierdził wszelkie spostrzeżenia, dokonane na Tahiti przez jego dwóch poprzedników, mianowicie, że to wyjątkowo piękna wyspa i wyjątkowo uroczy mieszkańcy. Ale chociaż był on rzetelnym i szanującym się Anglikiem, człowiekiem bez skazy, to jednak z przyjemnością ledwo ukrywając obserwował objawy wybujałego temperamentu Tahitanek i nie szczędził słów, by opisać sceny, które będą podniecały wyobraźnię wielu po nim pokoleń Anglików:

... Po odejściu wodzów zajęliśmy się sprawą kobiet. Na każdym kroku okazywały nam we wsi czułość wszelkiego rodzaju i tylko od nas zależało, by skorzystać z ich usług. One same nie miały żadnych zastrzeżeń. Jakkolwiek chaty bez cian były otwarte na wszystkie strony, kokietki kładły się na matach i pokazywały marynarzom, by położyli się obok nich. Najwidoczniej nie przeszkadzało im, że inni mogli to widzieć. W chacie wodza Tubarai Tamaide jedna z jego żon, imieniem Tomio, obsypywała pana Banksa szczególnymi względami, ale on wolał robić słodkie oczko do młodziutkiej, bardzo ładnej zalotnicy, pomimo że Tomio podsuwała mu mleko kokosowe i inne łakocie...”

Z relacji Cooka wynika, że ów uczoney Mister Banks był jakimś wyjątkowym Anglikiem, trochę romantykiem, trochę kogutem. Zainteresował się żywo jakąś królową jednej z dolin, Oberea, która, chociaż miała już trzydzieci kilka lat, wciąż zwracała uwagę swą niezwykłą urodą. Wytworna niewiasta miała cerę jasną i była wspaniale zbudowana-93

na, a oczy jej wyrażały uczucie i rozum. Raz Mister Banks naszedł ją leżącą w uciskach z młodszym od niej o kilkanaście lat tahitańskim absztyfikantem, ale to poza zazdrosnym Bankssem nikogo nie gorszyło. Którego z następnych dni pisze Cook złożyliśmy wizytę wodzowi Tutahah. Było nas sześciu, a u gospodarza zastaliśmy tyle gości, że krucho zapowiadało się z naszym noclegiem. Mister Banks miał szczęście, bo Oberea zaprosiła go na noc do siebie i obydwójce rychło nas pożegnali na dobranoc. Goręco było i on rozebrał się, a Oberea uspokoiła go co do odzieży, zapewniając, że będzie czuwała. Ale nie upilnowała i Mister Banksowi wykradzono tej nocy surdut, kamizelkę, dwa pistolety, rożek na proch i kilka innych przedmiotów. Zostawiono mu tylko pantalon i w nich uczoney do nas przybił, a my, rozbawieni, pocieszaliśmy go...”

Tak trzech nieustraszonych żeglarzy niemal równocześnie, bo rok po roku, odkrywało najbardziej kuszącą wyspę i chwaliło jej piękno i mieszkańców; a że dwóch z nich było wybornymi narratorami i

dobrze pisało, trzeci za także próbował uniemiętelnić swe przeżycia na piśmie w dzienniku okrętowym, ku swej zgubie sława Tahiti poszła na cały wiat. Co prawda utopia dobrego dzikusa”, którą wymarzył Rousseau, pozostała utopiś, bo dzikus nie okazał się takim idealnym aniołem, ale zśb czasu nie zdołał zniszczyć ani uroku Tahiti, ani szałowej zalotności Tahitanek.

Rozpasanie wyspiarzy próbowali ujarzmić misjonarzy, zwłaszcza protestanci, jednak bez skutku; przegrali z uroczymi kobieciśtkami. Bo hoże dziewczęta traktowały życie i tamto wszystko jak boskś zabawę, w której można było dokazywać i swawolić tańczśc i piewajśc, i dużo, dużo się mieć. Pastorowie chcieli wytępić korzenie zła i miech, ale nie wyszło. Sięgali zbyt głąboko, zbyt ponuro i poważnie, a korzenie Tahitan leżały płytko, tuż pod powierzchnią: składały się z wesołoci, naskórkowej erotyki, beztroskiej pustoty.

Jak się masz, stary byku!”

Zbliżajśc się do Tahiti na statku Sagittaire”, miałem plan pracy mniej więcej jasny: najpierw dokończyć rozpoczętś już w Europie ksiśżkę o madagaskarskim radosnym ptaku drongo”, a potem dopiero

zabrać się do Tahiti. Praca prawie na dwa lata. Wobec istniejących już przeszło tysiąca czy ilu tam księzek na temat tej wyspy, i to księzek napisanych także przez najprzedniejszych autorów wiat, ujęcie czego oryginalnego nie było łatwą sprawą. Należało wystrzegać się utartego szablonu, ogranych podziwów i uniesień, i na te piękne cuda, tak już oklepane, znaleźć inne spojrzenie niż dotychczas. Diabło trudne zadanie.

Z mocnym postanowieniem, by nie dać się porwać baranim zachwytom, przemierzałem przez blisko trzy tygodnie Pacyfik, fantastycznie pusty na całej przestrzeni, i pod koniec maja ujrzelimy przedsięokreslenie Tahiti: koralowe wyspy Tuamotu. Wiedziałem, że są mieszcnie niskie i wyglądkaję groteskowo, bo jak gdyby palmy kokosowe wyrastały wprost z samej powierzchni morza. Wiedziałem to, a jednak dziwiło.

Przeszło dobę później podpływalimy do celu. Okazały widok wynurzajęcej się z oceanu Tahiti, właściwie jednego masywu górskiego z potężną górą porodku, w istocie urzekał. Tonęcy w chmurach szczyt, obronięte bujną puszczą stoki, falbanka filigranowych palm kokosowych, otaczająca całą wyspę na samym dole nad brzegiem morza ów niezapomniany widok prowokował wszystkich lub prawie wszystkich zbliżających się podróżnych do chwytania za pióro i opisywania wspaniałej scenerii. Widowisko było w istocie wspaniałe.

Ale mną owładnęło jeszcze inne wzruszenie: czar sławy tego ustronia. Przecież to była maleńka tylko plamka na bezmiarze mórz, zagubiony w otchłani punkcik wiat, drobna garstka ludzi w porównaniu z milionami mieszkańców naszego globu, jaka ich setna część promila, a jednak magiczny zaulek oczarował cały wiat, umiał narzucić dalekim ludziom marzenia o swym wdzięku. Tysiąc płochych dziewczuszek i kilkadziesiąt tysięcy wysmukłych palm kokosowych nabrały tu wyjątkowego znaczenia i weszły do wiatowej literatury.

W kilka godzin później „Sagittaire” wpłynął do zacisznego portu Papeete, po przebrnięciu przez cienie między dwoma rafami koralowymi. Miasteczko, przylegające tuż do portu, było stolicą owych rajskich wysp i miało chyba nie więcej niż 2000 brzożowych mieszkańców. Na nabrzeżu zgromadziło się pół miasta, by powitać statek z Europy. Przeważały kobiety w pareach, białych perkalach

w wielkie czerwone lub niebieskie kwiaty. Wszyscy, którzy stali tam na dole, mieli festony z pachnących gardenii, przerzucone przez szyję.

Podniecony tłum oczekiwał w wesołym nastroju przycumowania parowca. Był to piękny zwyczaj, panujący tu od niepamiętnych pokoleń, gdy wyspa zawsze radonie witała przybyszów zza morza. Wszyscy na lądzie ogarniali podnieconym wzrokiem nasz pokład, a szczególnie dziewczyny były rozochoczone. Wśród obcych wypatrywały swych przyszłych amantów. Niewstępliwie podobne nastroje, choć bardziej żywiołowe i niepowściągliwe, wywoływało przybycie ongi statków Wallisa, Bougainville'a i Cooka.

Umiechnięty biały żandarm ledwo rzucił pobieżne spojrzenie na paszport. Szybko położył pieczętkę i sprawa była załatwiona: eden stał przede mną otworem. Zostawiając na razie walizki na statku, zszedłem na ląd i skierowałem się ku niedalekiemu bistro, by napić się lemoniady. W pół drogi kto mnie z tyłu dopędził i uderzając mnie w plecy, przyjanie powitał kobiecym głosem po polsku.

Jak się masz, stary byku!

Oszupiał, gwałtownie się odwróciłem. Trzy Tahitanki, tłumiąc miech, serdecznie szczyrzyły do mnie zęby, a najstarsza z nich, ta, która uderzyła mnie wesoło w plecy, odezwała się:

Mówili na statku, że ty Polak. Czy Polak?

Wreszcie odzyskałem mowę. Zaczęłem się domyślać. Nie odpowiedziałem na jej pytanie, lecz sam zapytałem, oczywiście po polsku:

Czy pani, przepraszam!... Czy ty jeste Reri?

Aha! potwierdziła, a ja, wzruszony, ucisnąłem jej rękę i także ręce tym dwom innym rozkosznym dziełatom.

Daj buzi! zamięła się Reri, chwyciła mnie za głowę i pocałowała w usta.

Obezwładniła mnie fala radoci; zaproponowałem im drinka.

Czy pijecie? zapytałem Reri, wskazując wzrokiem na owe dwie młódki. Czy pijecie whisky?

I jak jeszcze! odrzekła Reri i wszystkie trzy wybuchnęły serdecznym miechem, gdy Reri przetłumaczyła towarzyszkom moje wstępliwoci.

Więc ?'???, idziemy do bistro! zawołałem już po francusku z amerykańska.

Tak wkroczyłem w ten cudaczny, cudowny wiat wyspy Tahiti.

L'esprit de Tahiti”

Wraz ze mną wylądowało ze statku chyba trzystu rozanielonych pasażerów z Europy (w tym znikoma tylko ilość pasażerek) i cała radonie rozwydrzona kompania, nieposkromiona i rozhukana, rzuciła się na Papeete jak zgraja piratów z komicznej opery. Tak działo się za każdym razem, mniej więcej co dwa tygodnie, gdy przybywał francuski statek z Europy lub amerykański z San Francisco: przybysze od stu kilkudziesięciu lat wiedzieli, czego tu oczekiwać, a Tahitanki tak samo z radociś wiedziały, czego tamci od nich się spodziewali.

Reri miała od kilku tygodni swego Anglika i po półgodzinnym ze mną pobycie musiała iść do niego. Ale zanim się pożegnaliśmy, zarzuciła mi na szyję swój wieniec utkany z białych kwiatów gardenii, owych opiewanych Tiarę Tahiti. Kwiaty wydawały fantastycznie silny i przyjemny zapach.

Tego dnia, gdy Papeete piło, tańczyło, szalało, trzymaliśmy się razem, ja i Charles Pissarro, z którym się zaprzyjaśniłem na statku. Był z zawodu bankowcem w Paryżu, ale jako potomek wielkiego Kamila Pissarro przejął po malarzu sposób patrzenia na świat okiem artysty. Lubił, zdaje się, chłopców, a bardzo nie lubił Hitlera, więc mając w żyłach część krwi semickiej, a inteligentnie przewidując dalsze losy Europy, wolał zawczasu usunąć się jak najdalej od Francji. Jechał jak ja na Tahiti na dłuższy okres, na rok, może na dwa.

Po moim pożegnaniu się z Reri Pissarro i ja wyszukaliśmy wspólny pokój w miłym hoteliku tuż obok przystani i sprowadziwszy na ląd nasz bagaż, mogliśmy wreszcie swobodniej odetchnąć. Własciciela hotelu nie było, zastępowała go młoda Tahitanka, mówiąca kiepsko po francusku, ale wystarczająco, by wskazać nam pokój i wręczyć klucze.

Gdzie można się dziś zabawić? spytałem ją.

Partout (wszędzie!) odpowiedziała.

Ale gdzie najlepiej, gdzie najładniej? nalegałem.

W La Fayette”...

Był to nocny lokal o kilka kilometrów oddalony od miasta, nad samym morzem.

Dziewczyna miała około dwudziestu lat, była ładna, choć, jak na Tahitankę trochę zbyt poważna i wcale nie zalotna. Podziwiałem

7 Kobiety...

jasny brąz jej cery i długie, czarne włosy, wspaniale opadające jej na ramiona.

Dobrze, pojedziemy do La Fayette” owiadczyłem. Jak tobie na imię?

Itia.

Jeli możesz jechać z nami, to zapraszamy ciebie na dzi wieczór do La Fayette”...

Nie mogę odrzekła spokojnie przepraszającym głosem mam period.

Brakowało godziny do zachodu słońca. Byliśmy w naszym hotelowym pokoju i Pissarro wychylił się z okna, wychodzącego na port i zachód. Francuzowi wyrwał się okrzyk zachwyty:

Incoyable! Regardez!

Słońce chyliło się już nad wyspę Mooreš, oddalonę od nas o jakie dwadziecia kilometrów, i wyprawiało nieprawdopodobną orgię barw na chmurach, które o tej porze dnia skłębiały się nad tamtą wyspę. Efekt chmur był tak silny, piękno na niebie tak fantastyczne, że ów widok mógł ludziom o wrażliwej duszy rzeczywiście zaprzecić oddech.

Ale uderzyło nas jeszcze inne wrażenie, równie silne: buchający do nas z ulicy podmuch mocnych zapachów. Szły od pobliskich krzewów i drzew; musiały tam być niezwykle kwiaty albo jakie inne ródła silnych aromatów. Wonne kłębowisko po prostu upajało. Stanowiło to wyjątkową specjalność wyspy une specialite de Tahiti i nigdzie indziej na świecie nie dowiadczyłem tego w takim nasileniu.

Itia, hoży cerber hoteliku, musiała nas polubić, bo gdy wkrótce wychodziliśmy na miasto, ona już ciśnieła dwie przyjaciółki i przedstawiła je nam jako towarzyszek do La Fayette”. Podziękowaliśmy, chcieliśmy być sami.

Na głównej ulicy Papeete, równoległej do wybrzeża, gdzie roilo się od chińskich sklepów, barów i nocnych lokali, zastaliśmy tłum radośnie podnieconych spacerowiczów. Nie było hałasu, panował przyjemny szum, wywołany jakby tysiścem pszczół. Chociaż był jeszcze jasny dzień, w nocnych lokalach, otwartych ku ulicy, grali już tahitańscy muzykanci wczesniej niż zwykle z powodu przybycia naszego statku. Witalimy co rusz współpasażerów z Sagittaire’a”, prawie wszystkich już w towarzystwie rozemianych vahine i już

ozdobionych w wieńce z białych gardenii. Gdzie rozlegały się dziewczęce piewy i wciśz pachniało, ogromnie pachniało. Było ciepło, ale nie duszno. Nie trwało długo, a wciśgnęło nas ogólne podniecenie. Wszyscy jak gdyby czuli się jednš rodzinš i jakby byli z lekka pijani.

To typowe! Cest l'esprit de Tahiti! umiechnš się do mnie towarzysz i powrócił do swej idee fixe, zaprzštającej go od kilku godzin.

Mianowicie Pissarro, będc od kilku tygodni moim towarzyszem i przyjacielem, chciał mi koniecznie pomóc w pisaniu i roztaczał przede mnš zarys mej przyszłej ksiżki o Tahiti. Widzc jego zapal, słuchałem go cierpliwie. Zarys ksiżki: młody Europejczyk przybywa na Tahiti; rozkosze kšpielu w lagunie, zanięcie na plaży, przebudzenie w objęciach dziewczyny. On w raju zmysłów. Perypetie sielanki z dziewczynš; po miesišcu, dwóch, przesył u niego; raj wydaje się piekłem. On ucieka jak wariat do Europy...

Charles! Czy tego nie było już w filmach? ostrożnie tamowałem jego fantazję. Czy o tym nie pisał już Somerset Maugham?

- Dać nowe okolicznoci! Wynaleć nowe szczegóły! obstawa! przy swoim.

I niestrudzenie wymyślał dalsze wydarzenia: były u europejskiego przybysza zwštpienia i wybuchy zazdroci, i zachody słońca, i dopadania od nowa do siebie, i grymasy, i lubieżnoci, a ja wreszcie zrozumiałem, że Pissarro mówišc o mnie, myślał o sobie: to on głono marzył o napisaniu własnej ksiżki o Tahiti.

Gdy zapadł zmrok, rozlewny i działający na zmysły, nasz pierwszy na Tahiti zmrok, przechodziliśmy obok restauracji chińskiej, skšd doleciała do nas drażnišca woń korzennych potraw. Poczulimy nagły głód i wstšpilimy. Było tu pełno, lecz sami Tahitańczycy. Okazywali przyjazne zdziwienie, że do takiej spelunki weszliśmy, majšc wytworniejsze restauracje w mieście, ale nam ogromnie smakowało chop suoy, pikantna potrawa, składajšca się z mieszaniny różnych posiekanych paskudztw, odpadków i innych apetycznych ingrediencji. W pół godziny póniej wychodzšc stwierdziliśmy, że chop suoy tak znakomicie nam smakował niewštpliwie i dlatego, że otaczały nas życzliwe umiechy współbiesiadników.

Do licha, ile u nich radoci życia! zachwycał się Pissarro.

Wiadomo: duch wyspy Tahiti! przypomniałem mu jego własne słowa.

Po dwóch wiekach wykolejania ich przez białych?... Było nam dobrze na sercu, rozpierała nas radość, i w tym nastroju wynajęliśmy taksówkę do La Fayette”. Tam zastaliśmy hulatykę już w pełnym toku, wesołe bractwo rozchukane na całego. Znowu spotkaliśmy wielu pasażerów z Sagittaire’a”, a że byli nieco pod gazem, witali nas hałaliwie i całowali swe towarzyszki.

La Fayette” była nocnym przybytkiem, gdzie tahitańskość wzięcia triumfy i wyżywała się w tańcach, piewach, muzyce, biciu w bęben oraz uwodzeniu na całego białych naiwniaków. I w picciu. Wszystko na cześć goci, którzy, rozpasani alkoholem, chcieli stać się w tych oparach bardziej tahitańscy niż wyspiarze. Więc mieli się jak do kołacza, wybuchali na całe gardło, wyczyniali głupstwa. Przypominało to jakie pogańskie bachanalie i Dionizos byłby tu w siódmym niebie, zresztą tak jak i my sami.

Żeby nie zakurzyło się zbyt w łbach, było kilka przestronnych, szerokich wyjść w stronę laguny, która tuż, tuż dochodziła do naszych progów i przysyłała nam orzewiający wietrzyk. Dostaliśmy stolik niedaleko takiego wylotu, więc mieliśmy dość chłodno i od czasu do czasu wypadałem nad wodę, by łyknąć wieżego powietrza. Na pewno laguna była majstersztykiem pejzażu, ale w moim omroczeniu już nie docierał do mnie jej urok. Natomiast zauważyłem jasny księżyc, który lnił nad Tahiti i przy którym mała Titi marzyła o swym szczęciu. Jeli takie Titi znajdowały się na sali, księżyc był im obojętny; większą wagę, jedyną w tej chwili, przywisywały do jurnych popaa, to jest białych sprinterów, którym wieciły samcze oczy błyskiem jak sam księżyc, gdy obchwytywali ciała dziewczyn. One, pełne miechu, wrywały się z ich objęć i pędziły na parkiet, by zatańczyć upa-upa.

Grajkowie uderzyli w diablo wdzięczną melodię, zarówno słodką, jak bojową, i kilka Tahitanek zaraz wyskoczyło spośród goci na rodek sali. Puciły się w taniec, niby solo, każda tańczyła na swój sposób, a wszystkie, łatwo to poznaliśmy pomimo zmęczonego wzroku, na jakim zadziwiającym poziomie. Wnet dołączyło się kilku Tahitańczyków i powstało fantastyczne widowisko, istne cudo gorących ruchów. Były nabrzmiące nie tylko erotyzmem, ale czym więcej: po prostu buchały radością życia, czarem dziecięcego szczęścia. Jakże taniec leżał im w kociach, jakże płynął im w krwi! To był naród tańca i od wieków do tańca wdrożony. Ruchy wykonywał głównie ich tułów, przede wszystkim brzuch, mniej członki. Ale jakie ruchy, jaka

przejmująca magia! Rozpustnik widziałby w nich tylko rozwiślność, lowelas tylko zmysłowość; dewota religijny szal, dzikus nieposkromione szaleństwo, natomiast esteta szczyt harmonii. Pijus chyba nic.

Większość gości w La Fayette” należała już do tej ostatniej kategorii i była zbyt znieczulona, by należycie odebrać to, co tam na parkiecie wykonywali przygodni tancerze i tancerki.

W pewnej chwili zauważyliśmy przeciskając się wśród ciżby jedną z Tahitanek, przedstawioną nam po południu w hotelu przez Itię. Tahitanka nas także spostrzegła i uradowana podbiegła do naszego stołu. Była jeszcze sama, bez gacha, więc chętnie dała się zaprosić i siadła przy nas. Pissarro pozostał ostentacyjnie obojętny, więc mnie wypadło czynić honory stołu. Czy podobała mi się? Tak sobie. Czy chciałbym zabrać ją do hotelu? Diabli wiedzą: i tak, i nie. Gdy podszedł tahitański garson, zapytałem ją, na jakiego drinka miałaby ochotę.

Gin fizz! zamówiła u kelnera. Ale podwójny!

Dostała gin fizz, jednak straciła na niego ochotę. Ledwo umaczała usta, skrzywiła się, z czym było jej nawet do twarzy, i żywo odsunęła kielich.

Nie smakuje mi dzi! powiedziała i zwróciła się z miłym umiechem do mnie: Wolałabym peppermint, przepraszam...

Garson! zawołałem. Jeden peppermint!

Podwójny! dodała odważna podfruważka.

Trwało to dość długo, zanim przyszedł kelner z peppermintem, i okazało się, że kapryna dziewczyna już nie chciała peppermintu. Spróbowała trochę i odstawiła szklankę z wyrazem wstrętu na dorodnej gębusi.

Nie, nie, to nie to! zapewniała odżegnując się od peppermintu. Mam ochotę chyba na coś innego...

Patrzała ufnie na mnie, oczekując nowej propozycji.

Rozbawieni, przyjmowaliśmy zachcianki młodej dziwaczki z dobrodusznym humorem. Pissarro nie bez złoliwej ironii. Poprosiłem ją łagodnie, żeby jednak wypić peppermint, skoro miała przedtem apetyt na niego i sama zamówiła, ale ona zrobiła tak nieszczęśliwą buzię, jakby spotkała ją Bóg wie jaka krzywda.

Nie mogę! zaklinała się. Nie mogę... Nie znoszę dzi peppermintu... Chcę koniaku! poprosiła żalnym głosem.

Dostaniesz koniak, ale najpierw wypij peppermint! owiadczyłem pół wesoło, pół nakazująco

Na to dziewczyna zerwała się i z oburzeniem mierzśc mnie, zawołała:

Tu est mechant! Tres mechant! Jeste zły! Bardzo zły!

I popiesznie odeszła. Miała minę ptaszyny, której wyrzdzono wielkš niesprawiedliwość.

Głupie zajcie nieco zwarzyło nasze humory, a że zbliżała się północ, opucilimy La Fayette” i poszukalimy swej taksówki. Na całej trasie droga powrotna wiodła nieustanie przez gaje palm kokosowych. Las wysmukłych pni, wyrwanych z ciemności przez reflektory, wyglđdał niesamowicie: pnie wynurzały się z nicoci jak cienkie a długie duchy, malowniczo i trochę koszmarnie.

Jeszcze o Tahitankach

Następnego dnia zbudzilimy się raczej późno i słońce było już od przeszło godziny na niebie, gdy zasiedlimy do niadania na obszernym balkonie hoteliku. Zdumiała mnie rzekoć powietrza. To był podniecający nektar, który wchłanialimy. Dowiadczalimy na sobie ożywczego działania tahitańskiego powietrza. Upajała nas niebywała dotychczas radoć; zapach rolin i kwiatów działał tu jak luby narkotyk, a podobnie jak my, odczuwali to prawie wszyscy przybysze. Chociażby taki Somerset Maugham, któremu było tu tak przyjemnie, że dusza chciała uciec z więzienia” albo taki Henri Matisse, dla którego Tahiti, było wyspš błogiego Edenu i rozkoszy, która zacierała pamięć i usuwała niepokoje przyszłoci”. Przeżywalimy dziwnie radosny poranek.

niadanie przyniosła nam starsza Tahitanka, która miała dobry umiech, i podała wietnš kawę oraz chrupišcy chleb francuski z masłem, niestety masłem z puszki. Do tej kawy podała mietankę znowu nektar bogów: mietankę ubitš z mleka kokosowego. To wszystko, i powietrze, i niadanie tak nam smakowały, że gdy Tahitanka zaczęła nas ostrożnie wypytywać o nasze zamiary na przyszłość, zakotłowało się na balkonie od lawiny naszych bujnych zamiarów, wesołych a dzikich.

Jaka kobieta przechodziła pod balkonem z dużym koszem pełnym białych kwiatów frangipani i gardenii. Były tak wonne, że aż do nas na pierwsze piętro dochodził ich zapach. Nagle wzięła nas dziecięca ochota na kwiaty i zawołaliśmy z piętra do kobiety, by nam sprzedała ich cały pęk.

Nie mogę! odparła przystajśc. Niosę je na targ, by tam je sprzedać!... Podobajš wam się?

Bardzo! Ogromnie! Do zwariowania! Bardzo okropnie się podobajš! krzyknęlimy z góry, porwani zniecka gwałtownym zapalem, pasjš. Tego poranka wszystko by się nam podobało.

Tahitanka buchnęła wielkim miechem i zaczęła nam rzucać na górę tyle kwiatów, że zbierał się potężny ich bukiet.

Gdy przestała rzucać, zapytaliśmy ucieszeni, ile jesteśmy jej winni.

Nic! filuternie umiechnęła się i poszła dalej.

Stój! Stój! wołał za niš Pissarro, ale daremnie. Ona przyjanie jeszcze kiwnęła nam rękš, żebyśmy dali jej spokój, i szła ku targowisku Papeete. Niosła już tylko połowę kwiatów.

Pissarro miał w Papenoo, na wschód od Papeete, znajomych, u których postanowił zamieszkać przez następne tygodnie, więc już tego dnia rozstaliśmy się, serdecznie życząc sobie wzajemnie powodzenia. W miecie pozostałem trzy dni. Wystarczajšco, ażeby poznać wielu mężczyzn, bršzowych Tahitańczyków i białych podskakiewi-czów, tudzież marzycieli, i poznać kilkanacie co najmniej kobiet skorych do igraszek; by usłyszeć wszystkie aktualne plotki i całš chronišue scandaleuse tej mini-plejady; by zwiedzić większość nocnych lokali, wpać do skromnego muzeum, szukać daremnie księgarń, których tu wcale nie było i zacząć się nudzić.

Szumna stolica Oceanii Francuskiej była właściwie lilipuciš dziurš powiatowš i aż dziw człowieka bierze, że mogła tak bardzo rozsierdzić Gauguina, przeciež malarza o wyjštkowej inteligencji i szerokim umyle. Z donkiszockim zaciętrzewieniem ów olbrzym artystycznych natchnień i nieszczęsny kochanek bogów zapędził się w kozi róg, gdy wydawał w zaciankowym Papeete satyryczno-zgryliwe czasopisma Osy” i Umiech”. Wkładał w nie jaki patologiczny wysiłek zawziętoci, by zwalczać maleńkie wiatraczki i maniacko borykać się z gałgaństwem kilku tępych urzędasów i kilku głupich żandarmów.

Papeete nie było wyzbyte uroku, byleby nie oczekiwać od niego zbyt dużo. Zagorzalcy, wieszajscy na tej miecinie wszystkie psy, wpadali w przesadę. Przecież było tu jednak wspaniałe powietrze i nieziemski klimat, były spotkania szalonych obieżywiatów i były tahi-tańskie orkiestry na dansingach.

Ci muzykanci stanowili jaki wyjątkowo ciekawy klan niepospolitych wirtuozów. Swe melodie taneczne wychwytywali z całego wiata, od Hawajów i Missisipi aż po Don, ale od razu urabiali je na swójś tahi-tańskś modłę. Co było gdzie indziej ogniste i gwałtowne, stawało się tutaj tahi-tańsko rozlewne, co było tkliwe, stawało się buńczuczne i brawurowe. Ponieważ wykonywali owe urocze wariacje prawdziwi artyści, mistrzowie o kapitalnym wyczuciu muzyki, nie hetki-pętelki, więc tahi-tańskś metamorfoza wychodziła wiatowym melodiom na dobre. Słuchanie ich było dodatkowym czarem szczęśliwej wyspy.

Szczęśliwej? Żachńś się gderliwcy i przytoczś wszystkie plagi wysp Oceanii Francuskiej: i klęskę chorób wenerycznych, którym liczni tu lekarze podołać niezbyt mogli; elephantiasis potwornie zgrubiajścś odnóża większoci wyspiarzy powyżej czterdziestki; i grulicę, szalejścś zwłaszcza w XIX wieku; i zabójczś gripę, dziesiątkujścś niedawno temu ludność wysp; i tragedię uzębienia, powodujścś zupełne wypadanie zębów już w młodym wieku, gdy dwunastolatki musiały często gęsto uciekać się do protez; i jako główny kamień obrazy purytanów wytaczano bezwstydnś, jawnś, zachłannś rozwiślóć seksualnś, jakś ujawniały wszystkie bez wyjątku tutejsze vahine, niezdolne do głębszych uczuć wiernoci...

Jezus, Maria! przerazi się przybysz z Polski. Wszystkie bez wyjątku dziewczyny to takie dokumentne niecnoty? Wszystkie?

Wszystkie bez wyjątku! zatrząś się z oburzenia srogi zagorzalec.

Zapewniali mnie prawie wszyscy, że Papeete to moralny brud i że trzeba uciekać od tej gangreny, by spotkać dobrych ludzi. Więc na czwarty czy piąty dzień po wylądowaniu z Sagittaire'a" wsiadłem rano do przedhotelowego autobusu i jedynś drogś wzdłuż brzegu laguny ruszyłem na południe. Za umiech i paczkę papierosów kierowca pozwolił mi siść z przodu obok siebie, a gdy jakie cztery kilometry od miasta mijaliśmy Faaa, zapewniał, że tam pięknie i można wynajść liczny, mały bungalow. Pięknie było tu wszędzie, bo jechaliśmy przez nieprzerwany gaj palm kokosowych, a z prawej strony

wdzięczyła się laguna i za niš szumiało morze, z lewej strony za wznosiły się podnóža gór, pokryte gęstš i dzikš rolinnościš juź przy samej drodze.

Nieco dalej, o jakie dziesięć kilometrów od Papeete, była Punavia, gdzie rozsiadła się nowoczesna kolonia uroczych jedno-i dwuosobowych bungalowów. Wynajmował je gościom słynny Rivnak, chyba najsympatyczniejszy na wiecie Czech i dobroczyńca ludzi, a zwłaszcza braci artystycznej. Za tš nowoczesnš osadš były chaty tubylcze, zbudowane z lenych dršgów i pokryte strzechš z lici pandanusu: tu kierowca wyjanił mi, że w jednej z tych chat mieszkał ongi i malował Paul Gauguin.

Która to chata? spytałem.

Nie wiem! odrzekł miły szofer. Wiem tylko, gdzie gniedzi się syn Gauguina, Emil... O tam! Chce pan go zobaczyć? Może dzi jest trzewy...

Chciałem go zobaczyć, więc szofer przystanł i powiedział, że zaczeka; mam spokojnie ić i fotografować. Autobus był zatłoczony tahitańskš ciźbš, ale nikt nie sprzeciwiał się przerwaniu jazdy: na Tahiti ludzie mieli wiele czasu i wiele życzliwoci.

Przed chatš, na którš szofer zwrócił mi uwagę, było kilkoro przyjezdnych osób, i okazało się, że to amerykańscy turyci. Podskakujšc z różnych stron, gorliwie fotografowali niechlujnego obdartusa, siedzšcego z tępš gębš na kločku przed chatš. Poinformowano mnie, że to Emil, syn Gauguina. Miał około czterdziestu lat i wyglšdał na debila, wyranie niespełna rozumu. Patrzył bezmylnie przed siebie i raz po raz co pod nosem mamrotał.

Był to przykry widok. Tępak budził niezdrowš sensację wśród turystów, a ci fotografowali go jak zwierza. Przekonany, że spotkam go jeszcze nie jeden raz, nie wyjmowałem mego aparatu, ale mimo to wypadło mi zapłacić kilka franków: z chaty wyszła kobiecina z talerzem w ręku i od wszystkich pobierała opłatę za fotografowanie.

Punavia była zakštkiem o szczególnie sielskim uroku i trudno dziwić się, że Paul Gauguin malował tu ongi swe najslyniejsze płótna, a dzi do Rivnaka cišgał niejeden malarz i niejeden człek žšdny matchńienia. Gdy Gauguin tu osiadł, miał jeszcze pienišdze z Francji, więc w pierwszych czasach niemal codziennie urzšdzał hojne pijatyki i głone orgie z tahitańskimi przyjaciółkami. Aż kiedy przybył pobliski ksišdz katolicki, Francuz, i tšgo go złajał, co tak roz-

indyczyło malarza, że wojnę wypowiedział całej kołtunerii na Tahiti i wpadł w obsesję gromienia jej. Pomimo to zdołał stworzyć włanie tu, w Punavia, swe główne dzieło Skšd przybywamy? Kim jesteśmy? Dokšd idziemy”, o którym Stephane Mallarme kiedy napisze: Jakže to zadziwiajšce, że można było tyle tajemniczoci włożyć w tak okazały przepych!”

Dopiero pod wieczór, po wielu wesołych postojach, zawitał nasz autobus do Taravao, wšskiego przesmyku, który łšczy północnš część Tahiti z południowš. Tu wysiadłszy rozlokowałem się w gospodzie bardzo miłego Tahitańczyka demi, to znaczy z domieszkš krwi białej, który zaraz przyjšł mnie jak dobrego znajomego i wzišł w serdecznš opiekę.

Oczekiwałem pana już wczoraj! rzekł do mnie.

Jak to? zdumiałem się. To wiedzieliście, że tu przyjadę?

Ależ tak, wiedzieliśmy...

A widząc moją zdębiałą z lekka twarz, wyjanił z umiechem:

To poczta kokosowa"! Ludzie ludziom wszystko tu sobie donoszą. Wiemy, że przyjechał pan na Tahiti na dłuższy pobyt, na rok, może dwa, że napisze pan najpierw książkę o swej poprzedniej podróży, a potem dopiero o Tahiti...

Dokładność tych wiadomości w tak zabitym deskami ustroniu jak Taravao wprost oszałamiała.

I co jeszcze wiecie? zapytałem ironicznie, rozbawiony.

To ci sięgnął gospodarz z życzliwą powagą że pan wemie sobie na czas tutejszego pobytu żonę" vahine, pomimo że z dziewczyną Maerą, która przedwczoraj u pana spała, nic trwałego się nie wywiślało... Ale Maera już rozgłosiła, że pan w porządku... Dziewczyn z Papeete radzę nie brać, to wietrznice, nieodpowiedzialne...

Potem wydało się gospodarzowi, że za wiele ujemnych rzeczy mówił o płochoci swych rodaczek, więc następnego dnia chciał to jako załagodzić. Gospoda jego wznosiła się nad brzegiem zatoki, oczywiście srodze malowniczej, a po drugiej stronie wody, naprzeciwko nas, oddalone o jaki kilometr z kawałem, rysowało się wybrzeże południowej części Tahiti, zwanej czasem półwyspem Tairapu. Tam wśród bujnej roślinności widzieliśmy gdzieś nad laguną tubylcze chatki. Na jedną z nich gospodarz zwrócił moją uwagę.

Tam oni mieszkają! wyrzekł przyciszonym głosem, jakby w tajemnicy albo z szacunkiem.

Opowiedział. Były to niezwykle dzieje niezwyklej miłoci dwojga ludzi tam mieszkajšcych. Tahitanki i Amerykanina. On, młody, bardzo zwykły, nie wyróżniajšcy się ani urodš, ani wykształceniem, ani umysłem, prosty szaraczek z zapadłego miasteczka amerykańskiej prowincji, przyjechał przed dwoma laty na miesięczny urlop na Tahiti i tu, normalnym zwyczajem przelotnych turystów, przygadał sobie młodš Tahitankę. Gdy wyjeżdżał, utartym ceremoniałem przy rozłšce uronił małš łezkę; ale już po kilku dniach dziewczyna wyleciała mu zupełnie z głowy, a gdy lšdował w San Francisco, już właściwie nie przypominał sobie jej twarzy i jej imienia.

Zupełnie inaczej dziewczyna. To nie był jej pierwszy mężczyzna, ale w Amerykaninie zadurzyła się na zabój jakim lepym, szalonym i, co najciekawsze, nie przemijajšcym afektem: zapalała sentymentem tak głębokim, że, ku osłupieniu całej rodziny, po wyjeździe lubego nie chciała i nie mogła o nim zapomnieć. W miarę upływu czasu jej miłoc do Amerykanina rosła i powstała tragiczna sytuacja. Wzmagajšca się tęsknota tak nadszarpywała fizyczne zdrowie Tahitanki, że dziewczyna zupełnie opadła z sił i groziła jej mierz.

Rodzice nie chcieli stracić dziewczyny, a że nie byli ubodzy, postanowili sprowadzić na własny koszt Amerykanina, zapewniajšc mu notarialnie dożywocie u boku kochajšcej Tahitanki.

Zgodził się. Przybył przed rokiem. Tam, po drugiej stronie zatoki, obydwaje stworzyli sobie zaciszne gniazdo i żyli od roku jak w wynionym raju.

W gospodzie w Taravao mieszkało oprócz mnie trzech gości, dwóch młodych Anglików i starszy Amerykanin. Z wykształcenia należeli do inteligencji, byli przyjemni. Często rozwodziliśmy się nad osobliwš sielankš po drugiej stronie zatoki i nad dalszym losem wyjštkowej pary. Bylimy jej ze wszech miar życzliwi, a jednak raz po raz kiwalimy głowami. Jš dobrze rozumieliśmy: zakochała się po uszy, ogarnięta głębokš pasjš, poza którš nie widziała wiata; był to rodzaj oszołomienia albo transu. Tak u niej trwać mogło przez długie lata.

Ale on? Choćby był ostatnim kretyńcem a ponoć nim nie był, był tylko duchowym prostakiem gnune zakopanie się w tym raju na chwilę pięknym, lecz monotonnym z biegiem czasu, wyzbytym wszelkiej głębszej myli i duchowej strawy, musiało w końcu stać się i dla niego zabójczo nudne.

A może on wytrzyma! niedowierzajšco parsknšł jeden z Anglików.

Nie wytrzyma! zapewniał Amerykanin. Prędeziej czy póniej wyrwie się i jš opuci...

W kaźdym razie stwierdziłem dziewczyna wykazała, że Tahitanka umie zakochać się duszš i sercem, bez pamięci, i to nie na chwilę...

Ten raźscy wyjštek powiadcza tylko regułę ogólnej pło-choci... zauważył Anglik.

Historia Tahiti zna podobnš sprawę z okresu pierwszych kontaktów z Europejczykami, i przeżycia Tahitanki Peggy nabrały rozgłosu włanie dlatego, że były tak wyjštkowe. Działo się to w drugiej połowie XVIII wieku, gdy na angielskim okręcie Bounty” krótko po opuszczeniu Tahiti, wybuchł osławiony bunt przeciw nieludzkiemu kapitanowi Blightowi. Szesnastu zbuntowanych marynarzy z porucznikiem Christianem na czele zagarnęło Bounty”, a Blighta i jego niewielu popleczników spławiło z okrętu i kazało płynšć na łodzi ratunkowej, gdzie ich oczy poniosš. Buntownicy wrócili na Tahiti. Blight, okrutnik, ale wietny żeglarz, nie zginšł. Dopłynšł do Anglii i rozpętał tam burzę gniewu. W trzy lata póniej u wybrzeży Tahiti pojawiła się angielska fregata Pandora”, by wylapać buntowników i przywieć ich do Anglii w celu powieszenia. Christian i większość rebeliantów juź dawno umknęli na bezimiennš wtedy jeszcze wyspę Pitcairn i gardło ocalili, natomiast kilku lekkomylnych, którzy pozostali na Tahiti, wpadło w ręce karnej ekspedycji.

Między nimi był marynarz Steward, który za żonę pojšł Peggy, córkę wodza okręgu Hitiaa, i miał juź z niš córeczkę. Po zakuciu Stewarda w kajdany na Pandorze” Peggy popłynęła na okręt, by wylagać uwolnienie męża; oczywiście daremnie. Wród dramatycznych scen musiano odrywać jš przemocš od niego i roztrzęsionš bezltonie wypędzić z fregaty.

Dalsze wypadki stały się pokarmem dla kronik. Peggy, odwieziona siš na lšd, popadła w takš rozpacz, że nie mogła jej przeżyć, i siedziała nad brzegiem morza całymi dniami, wpatrujšc się w widnokršg. W pierwszych dniach zalewała się łzami, ale że mało co jadła, mało piła, wkrótce zabrakło jej sił, zabrakło takze łez. Po dwóch miesiścach agonii umarła ze złamanym sercem.

Więc kto narzeka na niewierność wszystkich Tahitanek (a narzeka prawie każdy popaa, biały), niech nie zapomina, że niektórym Tahitankom nieobca była wierność małżeńska.

Reri

W kilka dni później, po powrocie do Papeete, udało mi się wynajść liczny, niewielki bungalow o cztery kilometry na południowy zachód od stolicy, w miejscowości zwanej Faaa. Bungalow, nowocześnie zbudowany z tworzyw sztucznych, lecz pokryty strzechą z liści pandanusu, miał ródlańską wodę z pobliskich gór i wszystkie wygody higieniczne, a stał otoczony palmami kokosowymi i drzewami chlebowymi tuż nad laguną, że można było z okna wędką łowić ryby. Za to wygodne cudopłaciłem niewiele, miesięcznie około 7 dolarów, a gdy życzliwy gospodarz Dean, Metys tahitański, mieszkający w pobliżu, dowiedział się, że zamierzam tu dłużej mieszkać i pisać książki w tak uroczym otoczeniu, radził, żebym koniecznie wybrał sobie rzetelną żonę” zwyczajem europejskich rezydentów na Tahiti.

Ale gdzie wybrać? zamyślałem się. W Papeete?

Broń Boże! Przecież są Wyspy pod Wiatrem, Moorea, Huahine, Raiatea, Bora-Bora, gdzie porządnych vahine nie brak. Tu tobie potrzebna pomoc takiej vahine, więc płyn do Bora-Bora...

W dowód sympatii Dean mówił do mnie ty”, więc i ja do niego tak samo. Postanowiłem udać się na Wyspy po kilku dniach.

Kupiłem używany rower i po kwadransie jazdy bywałem już w Papeete, gdzie często zaglądałem, by spożyć obiad lub kolację w restauracjach, a pod wieczór wypić drinka w wesołym, różnorodnym towarzystwie w jednym z przytulnych barów.

Pi ssarro przepadł na dobre na wschodnim wybrzeżu i trochę mi go było brak. On, epigon znamienitego nazwiska, lubił filozofować i wynurzać przede mną swe spostrzeżenia, więc byłoby w tych kilku dniach przed moim wypadem na Wyspy mnóstwo czarujco naiwnych porad i wrażeń.

Urok Tahiti zaczął mocno wchodzić mi w krew i ogarniać zmysły. Nie dziwiłem się malarzom i poetom. Czarował tu nie tylko klimat, krajobraz i nieustanna aura sielanki, czarowała przede wszystkim lud-

noć urodź ciał, słodkim umiechem, szlachetnościś twarzy, wdziękiem ruchów, pięknem oczu.

Ale były i zgrzyty. Młode Tahitanki, wiadome swego powabu, umiały być okrutne. Znałem młodego Anglika, raczej przystojnego, ale zagubionego w tych kłębowiskach zachłannego seksu. Somerset Maugham często ich niedole opisywał: przeżywali tragedię, gdy zadurzeni na miarę, znosili upokorzenia bezlitosnych vahine i nie mogli się wyrwać z urzeczenia.

Anglika raz po raz widziałem w godzinach przedwieczornych w drodze do ródmięcia. Szedł zawsze o parę kroków za swójś vahine, której stale towarzyszyły dwie lub trzy rozchichotane przyjaciółki. One, kokieteryjne i fertyczne, zachowywały się jak kapryne panie i traktowały Anglika przez ramię, jak sługę. Był smutny, czuł się poniżony, ale potulnie włókł się za nimi i nie potrafił zdobyć się na bunt, ani grzmotność jednej, drugiej po ładnym karku. Dopiero w barze pozwoliły mu siść razem z sobś przy stole i płacić za drinki. Poznałem go osobicie: był miły i kulturalny, miał wszystkie klepki w porzśdku i dorzecznie z nim się rozmawiało; tylko wpadł w zaczarowane koło absurdałnego uroku i to go całkiem rozłożyło.

W pierwszych dniach czerwca wyruszyłem na motorowym kutrze w podróż na Wyspy pod Wiatrem i najpierw wylśdowałem na kilka dni na najbliższej z nich, Moorei. Owa młodsza siostra Tahiti”, młodsza, bo jeszcze panowały tu obyczaje sprzed kilkudziesięciu laty, była pełna ujmującej prostoty, ludzie mniej zepsuci, a krajobraz chyba piękniejszy, zieleń niemal bujniejsza niż na Tahiti.

Nasz kuter, podchodząc pod Mooreę, przecisnął się przez przesmyk między dwoma rafami koralowymi i wpłynął do laguny w zatoce Vaiere, na wschodnim wybrzeżu wyspy. Gdy wysiadaliśmy na lśd, kilkunastu mieszkańców przyjanie oceniało przybyszów witając ich, a że byłem dla nich nowś twarzś, przyglśdali mi się najzyczliwiej. W pobliżu istniała przyjemna gospoda wraz z hotelikiem. Gdy wszedłem do rodka, siedziało tam czworo gości. Z tego towarzystwa na mój widok z miłym okrzykiem zerwała się dziewczyna i podbiegła do mnie. Była to Reri.

Jej żywiołowe powitanie sprawiło mi przyjemną niespodziankę na tej obcej wyspie, więc gdy ona i jej grono dwóch Anglików i jedna młoda Tahitanka zaprosili mnie do stołu, chętnie się zgodziłem, ale pod jednym warunkiem.

Jakim? zapytała Reri nieco spłoszona.

Że dacie się zaprosić na jednego dubla Johny Walkera: na kutrze przewiało mnie cholernie do szpiku! zawołałem.

Odkrzyknęli wesoło, że zgoda, zgoda! i dosiadłem się do kompanii. (Dnia poprzedniego dostałem z Warszawy miesięczny przekaz na 150 dolarów, więc mogłem pozwolić sobie na gest powitania).

Obecnym stałym” przyjacielem Reri był sympatyczny, piegowaty, łysawy Anglik, wysoki jak tyczka, ale hojny. W czasie obiadu, jaki zjedliśmy razem w wietnych humorach, plśtała się angielszczyzna z francuszczyzną, a do tego dobijały brawurowo wykrzykiwane polskie słowa.

Reri miała wtedy dwadzieścia siedem lat i wciśz jeszcze była ładna, choć szczyt urody już minął głównie z racji jej zbytnej skłonności do trunków. Rano budziła się zawsze z migreną i musiała wypić szklaneczkę whisky lub dzinu, by przyjść do siebie. Już straciła sarnią ongi wysmukłość, natomiast wciśz zachowała ujmujący wdzięk. Różniła się od innych Tahitanek wyjątkową subtelnością i była w tym jak gdyby dziecięco bezradna. Nie zapominało się jej głosu; był miękki, pewny, niemal pokorny. Podziwiałem jej szlachetną skromność. Przecież pozostawała do dziś najślawniejszą Tahitanką; kiedy zdobywała chwalebne laury i wieściła jako gwiazda hollywoodzka, a jednak nie zmanierowała się i pozostała sobą: miłym, dobrym człowiekiem.

Im bardziej przy naszym stole potęgowała się wesołość, tym więcej starała się Reri mówić po polsku. Trochę jej przyjaciel na to sarkał, ale wyjaśniłem mu wyjątkową sytuację: że Reri niedawno temu przebywała w Polsce i snuła oto zarówno czułe, jak gorzkie wspomnienia z pobytu w Warszawie. Czułe wspomnienia: była, jak to u nas, prawdopodobnie bałwochwalczo podziwiana i podejmowana zrazu jak bóstwo. Olniewała piewem i tańcem w kabarecie, grała główną rolę w rednim (jak to u nas) filmie Czarna perła” i kochała się w głąd-kolicym Eugeniuszu Bodo. Kochała się prawie jak owa historyczna Peggy: bez pamięci, na zabój, wcale nie po tahitańsku.

A Bodo jak to Bodo. Niestety głądysz, dzióbosowy letkiewicz, po kilku tygodniach sprzykrzyła mu się egzotyczna aktorka i tu zaczęła się mniej chwalebna część romansu. Bodo zaczął bezceremonialnie wpychać Reri w ramiona innych galopantów, swych koleżków, a im więcej ich było, tym lepiej dla niego; im rzęsciej się lała gorzałka, tym skuteczniejsza woda na młyn szaląputa. Gdy Reri w końcu wyrwała się

?

z birbancko-spronego bagienka i wyjechała z Polski, już było za późno, by się wyprostować; nie mogła wyzbyć się trunkowego nałogu.

Reri opowiadając mi te dzieje przy stole wśród tych obcych ludzi polszczyzną mieszną i łamaną, ale dość zrozumiałą, nie żaliła się, nie wyrzekała, nie rzucała złorzeczeń na niewiernego kochanka. Ona nie umiała nienawidzić: przeciwnie, jakim niepojętym kaprysem kobiecoci nie mogła oderwać serca od tego, co było w Polsce. Kochała wciśz Warszawę ponad wszystkie Nowe Jorki, Hollywoody i

Paryże. Nie żaliła się ani słowem na cynicznych łobuzów, którzy jš wiadomie roz-pijalij i wcišž zachowała ciepłe uczucia o dziwo! o niekonsekwencjo serca! dla hultaja Genia. Pięknje to o niej wiadczyło, że przy rzewnych wspomnieniach jej oczy napełniały się łzš wzruszenia.

Kariera wiatowa Reri zaczęła się akurat dziesięć lat przed moim przybyciem na Tahiti. Wtedy zjawilo się na wyspie dwóch utalentowanych filmowców ze Stanów Zjednoczonych, Murnau i Flaherty, by stworzyć film o Morzach Południowych, które wówczas nabierały rozgłonej sławy we wszystkich Hollywoodach wiata. Majšc pewnš koncepcję scenariusza, przybysze szukali aktorki-bohaterki, od której właciwie zależałoby wszystko: powodzenie całej imprezy i ranga filmu.

Wreszcie znaleli: poznali Reri na wyspie Bora-Bora. Nie było Tahitanki, która odmówiłaby propozycji grania w filmie. Ale dopiero po pewnym czasie Murnau i Flaherty odkryli, jakš zdobyli perłę. Reri, jaka tahitańska Modrzejewska en miniaturę, była obdarzona wyjštkowym drygiem scenicznym, była wulkanem o licznej, szlachetnej twarzy, fantastycznym kształcie ciała, a przy tym podbijajšcym uroku osobistym. Sceny miłosne grała szelma tak namiętnie i realistycznie, że Flaherty musiał jš hamować, żeby nie mieć kłopotów z amerykańskš cenzurš.

Tabu”, ów film o półlegendarnych dziejach miłosnego konfliktu Polinezyjczyków, realizowany na Tahiti i sšsiednich wyspach przez kilkanacie miesięcy, stał się wielkim przebojem, zdobył sławę wiatowš, a wraz z nim zasłynęła jego bohaterka, Reri. Tamci się wzbogacili, ona, typowa Tahitanka, nie umiała spieniężyć swych zdolności. Pozostała sobš.

Tyle że Murnau zabrał jš ze sobš do Stanów Zjednoczonych, gdzie wpakował jš do Ziegfield Follies. Potem jeszcze budziła zachwyt w Europie zachodniej, a gdy blask jej zaczął tam nieco przygasać,

przyjechała do Polski i tu igraszka losu chciała, że przyszła kreska na płochš dotychczas Tahitankę. Reri zakochała się po uszy, na zabój: dosięgła jš wariacka strzała Amora, piorunujšca, piekielna strzała... Gdy juź dobrze nam się kurzyło z czupryn przy wspólnym obiedzie, Reri, przepraszajšc swego Anglika, zaproponowała mi, żebyśmy w dwójkę wyszli nad brzeg laguny.

Zapiewam ci najulubieński mój szlagier z Warszawy!... rzekła z wypiekami na twarzy, gdy stanęlimy z dala od gospody.

wietnie! ucieszyłem się.

Gdy to w Warszawie piewałam, zawsze myślałam o nim, o Gienku. Słuchaj!

Zanuciła. Jej wymowa przypominała mi urocze kaleczenie języka, tak w owe czasy spopularyzowane przez konferansjera Jaro-ssy'ego w Qui Pro Quo". Gdy ochłoniłem z pierwszego wrażenia (czyżbym aż tyle wypił?!), juź lepiej rozumiałem jej słowa. Czyniła taneczne ruchy i piewała:

... Dla ciebie chcę być biała, Bielutka tak jak ty... Mieć jasne oczy i jasną twarz I dobre serce Takie, jak masz ty...

Zdaje mi się, że Reri jeszcze cišgle chciała wierzyć w prawdę tych bzdurnych słów. A jeli wierzyła, to niech jš diablštka biorš!

Stalimy pod majestatycznymi palmami, wisiały nad nami cudowne kokosy i w pewnym momencie, przez zamroczonš głowę, prze-taszczyła mi się jak gdyby jaka koszmarne bajka: bajka o królownie zakochanej w winiopasie.

Wróćmy do nich, Reri, do gospody!...

Na wyspie Moorei

Następnego dnia rano wiał od oceanu tak orzewiający zefir, że odczuwało się to jak zdrowš kąpiel i po whiskowo-wesołej nocy nie było kaca. Kawa, cudowna, tahitańska kawa z mlekiem kokosowym znowu zrobiła swoje i postawiła mnie od razu na nogi. Więc opu—

8 Kobiety.

szczajśc w Vaiere piścš Reri oraz jej angielskich kumpli, ruszyłem jednokonnš powózkš w drogę na podbój Moorei. Tu, tak samo jak na Tahiti, wnętrze wyspy było bardzo górzyste i pokryte tropikalnš puszcžš, jedyna za droga na Moorei cišgnęła się jak na Tahiti wzdłuż wybrzeża morskiego wśród przytulnych chat i bujnej zieleni.

Od wanilii i różnych ukrytych kwiatów buchały w nas podniecajšce zapachy, czasem dochodził szum pełnego morza, jeli nie było laguny, a wśród listowia morski wietrzyk szelecił tak radonie, że można było roztopić się w tej błogoci, gdyby nie mój wonica. Ów niemłody już Maorys, z dobrš domieszkš rasy białej i żółtej, był niemiłosiernie gadatliwy i chociaż nasuwał mi przyjemne wspomnienia naszych niektórych działaczy kultury i dygnitarzy w Polsce, raczej nudził. W końcu znieczuliłem się na potok jego bajdurzeń i pomysłów, przeważnie erotycznej natury, i na pół zasnšłem. On dopiero po dłuższym czasie to zauważył, nagle odwrócił się, zmierzył mnie wylękłym spojrzeniem i zawołał niemal zrozpaczony:

Cóz to, popaa? Nie lubisz tych spraw? Nie chcesz mieć kobiety, żony, żoniusi? zwyczajem tahitańskim mówił do mnie: ty.

Wcišż senny, zbyłem go:

Mais oui! Chcę mieć sto żon! On zmieszał się:

Sto żon? Zlituj się! Źartujesz chyba?

Tak, żartuję...

Wystarczy ci kilka.

Niech będzie kilka! zgodziłem się. On wybuchnšł miechem:

Ale nie bierz ich wszystkich naraz, będziesz miał piekło!

A przy jednej żonie nie będzie piekła?

Będzie! stwierdził. Ale czasem będzie i niebo, gdy przymrużysz oko.

Przymrużę?

Tak, żeby nie widział za wiele...

Szkapie nie było zbyt spieszo, nam również nie, więc dopiero około południa zajechaliśmy do Temae, dokšd się wybierałem. Istniała tu tubylcza gospoda, Co w rodzaju hoteliku, prowadzonego przez leciwš Tahitankę, wdowę po francuskim marynarzu. Źyczliwi znajomi w Papeete dali mi do niej list polecajšcy, pisany po tahitańsku,

ale takie wprowadzenie było niepotrzebne: właścicielka, przepojona macierzyńskš uczynnościš, wszystko od pierwszej chwili robiła, żeby było mi tu dobrze. Płaciłem jej żenujšco mało, więcej nie chciała; jadałem w głównej chacie, a spałem w pobliskiej chatynce z lici palmy kokosowej. Z rana pracowałem pod rozłożystym pandanusem, który nieustannie szelecił w morce od morza, w południe aż szumił. Ale to mi nie przeszkadzało: tu podjąłem pisanie ksišżki (Radosnego ptaka drongo) o moich przeszłorocznych przeżyciach w dalekiej wsi Ambinanitelo na Madagaskarze, gdzie również rosły i szumiały pan-danusy.

Pod wieczór schodziła się do gospody okoliczna młodzież i przy dźwiękach gitary melodyjnie nuciła. Byli to urodzeni piewacy. Z kilkoma chłopakami szybko się zaprzyjaśniłem; byli szczęliwi i wdzięczni, gdy stawiałem butelkę czerwonego wina. Tańczyli i piewali. Przychodziły także dziewczyny, wesole, ponętne, przychylne. Wdawałem się z nimi, ale ostrożnie: z żadnš nie chciałem się zbyt wišzać, gdyż czekała mnie jeszcze podróż na inne Wyspy pod Wiatrem: Huahine, Raiatea, Bora-Bora, skšd pochodziła Reri i gdzie według powszechnej famy żyły najładniejsze kobiety.

Noce w Temae były dziwne. Ludność bała się złych demonów tupapau, grasujšcych w ciemności. Takie noce bezksiężycowe teraz nastaly i rzeczywiście w ogromnej ciszy, zalegajšcej tu przyrodę, można było wyczuwać jak gdyby drażnišć niesamowitoć czego wrogiego. Widocznie lęk wyspiarzy był zaraliwy.

Pewnego wieczoru przybyło do gospody dwóch mężczyzn z Vaiere i dosiadło się do mego stołu, gdyż inne były zajęte. Dobroduszni, uprzejmi, trochę zagadkowi, trochę kpiarze, łatwo nawišzali ze mnš pogawędkę. Znowu przekonałem się, jak sprawnie działał tu telegraf kokosowy: przybysze wiedzieli o mnie dziwnie dużo, nawet niektóre mieszne drobiazgi nie były im obce. Rozweseleni, cieszyli się, że mogli mi imponować swš wiedzš. Zapanował przy stole serdeczny nastrój, tršcalimy się na przyjań szklankami z moim winem, potem oni zamówili butelkę. Błyszczały nam oczy na dobre, gdy jeden z nich, poważniejšc, odezwał się do mnie:

A wiesz, co nas najbardziej zainteresowało u ciebie? Czy wiesz?

Źe piszę ksišżkę tu w Temae zażartowałem.

te

Nie! pokiwał tamten głowę. Twoje pisanie nas mało obchodzi... i

Więc co was tak zainteresowało?

To, że chcesz u nas pozostać przez całe dwa lata...

Spoglądali na mnie osobliwie i przypominały mi się podobne rozmowy w Papeete. Panowała tam istna mania swatania facetów, robiących wrażenie zasobnych, a przybywających na Tahiti na dłuższy pobyt. Czyżby podobna mania istniała także na Moorei? Ogarnęła mnie nagła chęć buchnięcia żartobliwym miechem, ale powstrzymałem się i tylko z uciesznym grymasem parsknąłem do nich:

A czy wy wiecie, że ja wiem, co wy teraz zamierzacie mi poradzić?

No, co zamierzamy ci poradzić? zaniepokoiłi się.

Poradzić, żebym nie zwlekał i wybrał sobie jakąś żonę. Prawda?

Umilkli, wyranie spłoszeni. Po ich minach poznałem, że się nie myliłem. Ale zaraz wszyscy trzej zachichotalimy. Dalej trwała przy stole ochocza wesołość, i gdy po dwóch godzinach obydwaj opuszczali Temae, żegnaliśmy się jak starzy przyjaciele, a jeden z nich prosił mnie, żebym go koniecznie odwiedził w Vaiere.

Dobrze! przyrzekłem. Za kilka dni opuszczam Mooreę i zanim wsiądę na stateczek, wpadnę do ciebie.

Wpadnij, koniecznie wpadnij!... Nazywam się Taaroa... Gdy następnego dnia rozmawiałem z moją gospodynią o dwóch

przybyszach z Vaiere, dla niej nie ulegało wątpliwości: zjawili się, by wybadać, kim ja byłem. Jeden z nich, ów zapraszający, miał kilkunastoletnią córkę i pewnie o nią chodziło.

A do diabła! wybuchłem. A czy ładna przynajmniej?

Sam ocenisz! rzekła wdowa i zaraz ostrzegła: Tylko nie bądź zbyt pewny siebie. Musisz spodobać się...

Oczywiście!

... spodobać się matce dziewczyny...

Wszystko to traktowałem jako dobry żart i wszystko było rzeczywiście jakie zabawne, ale gdy przybyłem do Vaiere i odwiedziłem przyjaciela Taaroa, przygoda ta wydała się mniej miśzna: każdy członek owej schludnej, choć ubogiej rodziny przywitał mnie nad wyraz ceremonialnie i z wielką przyjaźnią. Witająca dziewczyna Hutia, ładna i kształtna siedemnastolatka, pełna wdzięku i wieżoci, i jej

matka, umiechnięta matrona, i witał jej ojciec Taaroa, i jakie dzieć i jakie dwie kuzynki wcale sobie niczego. Padały grzeczne słowa, ale jeszcze nic wyranego, co by zobowiŝywało. Chciałem wpierrw zobaczyć inne wyspy i potem dopiero powziŝć decyzję. Wszyscy zgodzili się życzliwie na taki krok.

Jed tam! rzekł Taaroa. I wracaj: będziesz tu mile widziany!

Hutia dotychczas nic nie mówiła, chociaż stale była w łagodnych umiechach. Zwróciłem się do niej bezporednio z żartobliwym pytaniem:

Czy mam wracać? Jak sŝdzisz?

Odpowiedziała lekkim kiwnięciem głowy, że tak, lecz ani słowa nie wyrzekła. Za to jej umiech był wymowny. Miała zdrowe, ładne zęby, co mnie ucieszyło.

Ale pewnie nie umiesz nic mówić po francusku? natarłem obcesowo.

Umiem mówić po francusku spokojnie odrzekła poprawnym akcentem.

Takie było nasze miłe pożegnanie i ja, jak tylu innych narwanych poszukiwaczy przygody Mórz Południowych, wypłynęłem na romantycznŝ wędrowkę na Wyspy pod Wiatrem. W ciŝgu tych tygodni doznałem wiele gocinnoci, dobrych słów, zmysłowych wrażeń, także ciepła dziewczęcego; na Huahine zaproponowano mi kupno niewielkiej plantacji palm kokosowych wraz z nabyciem dziewczyny.

Gdy wracałem z okrężnego rejsu po wyspach, sprawa się rozstrzygnęła i w drodze do Papeete wstŝpiłem na Mooreę. Rodzina Taaroy powitała mnie radosnym okrzykiem:

Już mylelimy, że nie wrócisz!

Wróciłem! rzekłem i spojrzałem pytajŝco na Hutię. Wszyscy oni umiechali się do mnie.

Dobrze! owiadczyła matka. Hutia pójdzie do ciebie. Bŝd dla niej dobry!

Będę dobry! rzekłem bardzo powaŝnym głosem, jak gdybym co przysięgał, i wydałem się sobie troche mieszny. Piękny bungalow w Faaa na niŝ czeka. Możemy zaraz jechać!

Nie! zaprzeczyła matka. Za tydzień obchodzŝ w Papeete więto 14 lipca. Za tydzień przyjedziemy wszyscy razem.

Matka rzekła, naleŝało słuuchać.

Hutia radosna

Przyjechali. A wraz z nimi spłynęły do Papeete gromady mieszkańców ze wszystkich wysp Oceanii Francuskiej, nawet z najodleglejszych atoli Paumatu. Dzień 14 lipca był największym w tej części globu wietem i okazją do niezwykłego wyzycia się dla tysięcy wyspiarzy. Toteż Papeete nabrzmiwało lawiniś podnieconych przybyszów, powstawały na szereg dni nowe dzielnice miasta, wznoszono setki bud i chat palmowych, wyrastały karuzele, strzelnice i dziwy lunaparku, nocami błyszczały olepiajšce wiatła. A przy tym było co jeć i pić obficie, bez miary lało się wino i rum; opychano się słodyczami. Wród gwaru i ciżby gubernator w złotych galonach dukał co niezrozumiałego o zdobywaniu gdzie kiedy jakiej Bastylii. Kto to był? Jaka kobieta, jaka fregata? Ale najwięcej podniecenia, ba, istnego szału, wywoływały konkursy tubylczych tancerzy i piewaków poszczególnych wysp, rywalizujących ze sobś o palmę pierwszeństwa z wojennym niemal zacierzowaniem.

Więc przyjechała Hutia i jej bliscy, których było prawie dziesięcioro. Chciałem ich goinnie podjšć w którym z lokali Papeete według tutejszego obyczaju, ale lokale od rana do nocy były niemożliwie przepełnione. Więc zakupiłem w chińskim sklepie kilkanacie butelek wina oraz moc żywnoci i na murawie w miejskim parku urządziliśmy piknik. Gdy Hutia trochę ceremonialnie siadła obok mnie, jaki chochlik we mnie się rozpętał: przypomniała mi się bardzo podobna scena z młodš Tenurš, opisana w Noa Noa przed blisko pół wiekiem przez Gauguina. Tu czas powoli szedł naprzód. Hutia wcinała wiele, ale wina nie piła.

Nie pijesz? spytałem.

Nie lubię odrzekła, a ja miałem ochotę pocałować jš za to w policzek.

Ów piknik był naszš ucztš weselnš i właciwie jak gdyby jedynš formalnociš dopełnienia małżeństwa. Tahitańskiego małżeństwa” na pewien czas, gdyż oczywiście istniały na Tahiti inne, bardziej formalne sposoby zawierania małżeństw, to jest normalnie w kociele i urzędzie. Ale tahitańskie małżeństwo równie się ceniło jak tamte inne.

Gdy nastrój na murawie rozkipiał się w miarę opróżniania butelek, przechodziła obok wstawiona Tahitanka lekkich obyczajów.

W mig zrozumiała, co tu się działo, wykrzywiła twarz na wszystkich i wskazując palcem na mnie krzyknęła chropowatym głosem:

Znam tego! Leżał ze mną niedawno temu, gdy byłam chora na rzeżączkę...

A to ładny kawał, mógł zepsuć wszystko! Pijanś widziałem po raz pierwszy.

Nie znam tej kobiety! rzekłem twardo i spojrzałem na Hutię i na całość dokoła rodzinę.

Tamta co jeszcze plugawego mamrotała, ale matka Hutii wzięła sprawę w swe ręce.

Wyno się, wiedmo! krzyknęła tak rozkazująco, że zazdronica umilkła i rzeczywiście jak niepyszna poszła sobie.

Tobie my wierzymy! zwróciła się matka do mnie i nieprzyjemny incydent przeszedł bez narobienia szkody.

Dzień 14 lipca był słoneczny i tropikalnie skwarny, ale silny wiatr morski łagodził żar południowych godzin. Na polu igrzysk od samego rana rozlegały się donone bębny i piewy; nieustanne tańce coraz to innych grup wyspiarskich roznamiętniały tłumy gapiów do ostateczności. Jednak Hutia i dwie jej kuzynki, obydwie hoże dziewczyny, nie chciały widzieć występów; wołały włączyć się po wesołym miasteczku i napawać wniebowzięte oczy tysiścem barwnych wiecidełek. Szczebiotki sięgały po byle głupstwo, a popaa płacił; objadały się słodyczami co niemiara, a popaa miał się jeszcze i jeszcze zachęcał je do swawoli. Biada, gdybym chciał powstrzymać ich niewinne szaleństwa; swójś twarz i ładną dziewczynę straciłbym z kretelem. Dziewoje miały ciała wspaniale dojrzałe, ale dusze dziecięce i rozum rozkosznie płytki, i tak należało je brać; z umiechem i pobłażliwością.

Raz tylko Hutia niemal wyprowadziła mnie z równowagi: nie chciała oderwać się od karuzeli. Jedziła dokoła i do góry, i na dół, i jedziła, i kręciła się ciśgłe w kółko, aż spowodowała katastrofę: nagle, na pół omdlała, bolenie zwymiotowała wszystkie zjedzone słodycze. Bolało ją, i bolał żalony widok mej młodej pani, ale ona, pełna zdrowia niespożytej młodości szybko wróciła do siebie. Na karuzelę nie chciała już patrzeć.

Była noc, gdy pożegnawszy się z rodziną Hutii, pojechalimy taksówką do mego bungalowu w Faaa. Dziewczyna miała zawiniśtko i całym swym dobytkiem, to jest parę bucików od Baty, dwiema

sukienkami z perkalu i czerwonym pareo w białe kwiaty. Zawiniśtko wiadczyło o jej uczciwym zamiarze pozostania u mnie na

długo.

Bungalow, zbudowany ze sztucznego tworzywa, jednak pod strzechś z lici pandanusu, nie był duży, ale miecił w sobie dwa pokoiki, kuchenkę na gaz, prysznic z chłodnś wodś wprost z pobliskiej góry i schludnś, bardzo nowoczesnś wygodkę, a poza tym miał elektryczne wiatło, więc gdy przekręciłem kontakt, Hutia wykrzyknęła z radosnego zdziwienia na widok tych wspaniałoci. Skoczyła pod prysznic (lubiła kšpiel jak wszyscy wyspiarze), następnie, jeszcze mokra, rzuciła się na łóżko czyste, białe i wygodne, potem spojrzała na mnie i szepnęła mi do ucha:

Je faime!

Po czym wypadło i mnie westchnś:

Moi aussi! i tak zaczęła się nasza sielanka.

Hutia bardzo chciała, żeby w bungalowie naszym panował błogi nastrój, więc nastąpiło co zbliżonego do ludzkich pojęć o raj. Codziennie, skoro wit, brała mój rower i pędziła do Papeete po zakupy. Gdy wracała po godzinie ze wieżutkim tuńczykiem na obiad, z chrupiścym chlebem, masłem, owocami, wielu owocami na niadanie, ja właśnie brałem prysznic i pławiłem się w chłodnej wodzie z górskiego potoku. niadanie dzięki ubitej mietanie z kokosów i obecności umiechniętej dziewczyny smakowało jak uczta bogów. Potem zabierałem się do pisania mych przeżyć we wsi Ambinanitelo na Madagaskarze, podczas gdy Hutia cicho i dyskretnie usuwała się gdzie na bok, w zaplecze

bungalowu.

Wiele, wiele lat póniej Krystyna Goldbergowa, redaktorka wydawnictwa Iskry”, równie nieomylnym instynktem wiedziona, zauważy, że niektóre rozdziały Goršcej wsi Ambinanitelo były mi szczególnie bliskie. Bo, dalibóg, były bliskie dzięki dziewczynie, stwarzajšcej niezwykłś idyllę w okresie owego pisania.

W tych dniach pisało mi się bardzo dobrze. Bryza morska pobudzajšco zawodziła wród palm kokosowych tuż nad naszymi głowami i żywo napływały wizje z dalekiego Madagaskaru. Jedzilimy od czasu do czasu na rowerze do Papeete, spotykaliśmy się na aperitifie z miłymi cyganami wszelkiej nacji, wpadalimy także na kolacje do barów, czasem do kina, by, wróciwszy do swego bungalowu, padać sobie w objęcia.

Postanowiłem najpierw zakończyć mego Radosnego ptaka drongo, a potem dopiero zabrać się na serio do Tahiti. Więc pilnie pisałem, Hutia popiewując gospodarowała, palma kokosowa szeleciła. Chłodziliśmy się w morzu, rozgrzewaliśmy na słońcu, a gdy wypływalimy na naszą wysepkę w lagunie, było w nas szczęście, była radość; była nirwana. Zapominalimy o wiecie.

Czasem na wysepce pytała mnie Hutia, czy rzeczywiście pojedzie ze mną do Polski, gdy będę wracał do kraju. Polska wydawała jej się najpiękniejszym ustroniem, bo Reri o czym Hutia wiedziała przeżywała tam kiedyś wielką miłość.

Chyba pojedziesz ze mną! odpowiadałem jej.

Cest bien! Cest magnifisue! wołała i wyładowywała się uciechę, skacząc na naszą łódkę i balansując na krawędzi jej burty.

Cień na sielance

W trzecim tygodniu naszych szczęśliwych dni, na początku sierpnia, Hutia spojrzała na mnie poważnie i zawiadomiła z całym spokojem, że następnego poranka pojedzie na Mooreę, do domu.

Widząc mój zdumiony twarz, dodała:

Na krótko! Zaraz wrócę!...

Mówiła to bez umiechu, bardzo opanowana.

Ogarnął mnie niepokój, poczułem jak gdyby ukłucie zazdrości. Mówiono mi, że nawet bardzo kochające Tahitanki musiały co pewien czas zdradzić swego białego przyjaciela, i to przeważnie z jakim tahitańskim kuzynem.

Czy musisz jechać? zapytałem.

Muszę! odpowiedziała spokojnie, ale bardzo stanowczo, niemal hardo.

Mógłbym ją namawiać do pozostania i zaklinać się na wszystkie nasze uczucia i, być może, osiągnąłbym swoje, ale na pewno popełniłbym błąd. Złamałbym dziwne prawo do kaprynych dziwactw tahitańskiej dziewczyny. Więc nie nalegałem, lecz przeciwnie, hojnie obdarzyłem ją frankami na drogę i na zakup podarków dla jej rodziców.

Zadowolona odpłynęła i po trzech dniach pobytu na Moorei szczęśliwie wróciła, pełna spotęgowanego ciepła i wiezoci.

Przez te trzy dni nie pisałem, lecz codziennie wyjeżdżałem do Papeete, poddając się atmosferze bez troskiego towarzystwa kumpli i ich dziewczyn. Piłem może trochę za wiele, chcąc zatrzeć frasunek. W rozbawionej stolicy Oceanii nie wychodziła żadna gazeta, żyliśmy na rodoku Pacyfiku jakby odcięci od reszty świata i jedynie wywieszka przed pocztą, pisana na maszynie na białej karteczce, donosiła w kilku lakonicznych skrótach o tym, co się działo we Francji, a jeszcze skąpiej o tym, co gdzie indziej w Europie. Agresywne pogroźki Hitlera wobec Polski dochodziły tu stłumione i zniekształcone. Nikt paranoika z Berchtesgaden nie brał tu na serio. Ważniejszy był tęskny głos hawajskich gitar i kuszący pieśń młodych Tahitank; błogo nas odurzał podniecający zapach tiare Tahiti. Zresztą byliśmy nad Wisłą silni, zwarci i gotowi”, jak zapewniał nas Rydz-migły.

Hutia gniewna

Po powrocie Hutii z Moorei nasze nastroje szczęśliwego Shangri—La trwały nadal w Faaa. Milszą przyjaciółkę trudno było sobie wyobrazić. Była czuła, pogodna, usługująca, cały bungalow przepajała swym wdziękiem i czułością.

Lubiła przekomarzać się z krabami, których mnóstwo czyhało w ziemi dokoła chaty. Były to lądowe stwory, niektóre wielkie jak dłoń ludzka, szybkie, mieszne swym bocznym chodem i bardzo płuche, ale jeszcze bardziej żarłoczne. Hutia łowiła je na wędkę bez haczyka, tylko przywiśniętą kawał mięsa do sznurka. One wypadły ze swych zielnych nor łapały przynętę tak kurczowo, że można było zapaleńców porwać w powietrze, zanim spostrzegąły niebezpieczeństwo i rozwierając szczypce, puszczały zdobycz. Było pełno uciechy... Hutia nigdy ich nie zabijała.

Od pokoleń zwyczajem współtowarzyszce pobytu na Tahiti nie płaciło się żadnej pensji, natomiast wypadało obdarzać ją stałym kieszonkowym i co pewien czas podarunkami. Więc pewnego dnia pojechalimy do Papeete i zakupiłem dla Hutii buciki u Baty, a u Chińczyka piękny czerwony materiał na długie spodnie, pierwsze w jej życiu Spodnie. Czowała się bardzo nowocześnie.

Jeliby ocenić owe dni, przebyte w tym okresie na Tahiti, to niewstpliwie był to jaki mój szczyt tahitańskiego błogostanu, niebywale miły sen na jawie. Czasem aż nie sposób było pojsć, że tyle uroku mogło tkwić w całej gamie otoczenia, w dziewczynie, w bungalowu, palmach kokosowych, w lazurowej lagunie i błękitnym niebie, w czerwieni drzew flamboyants; że w tym wszystkim mogło miecić się tyle siły upajania. Był to bez wstpienia jaki punkt kulminacyjny i z tej wyżyny cieżka mogła wieć tylko na dół. I wiodła aż zbyt raptownie na dół.

Około połowy sierpnia 1939 roku lakoniczne telegramy na poczcie w Papeete nabrały niepokojšcego brzmienia. Czyżby Hitler chciał rzucić się na Polskę? Jako porucznik rezerwy uważałem za wskazane, by wysłać do Polski lotnicze listy, między innymi do Miedzińskiego z redakcji Gazety Polskiej” i do Mariana Kistera z wydawnictwa Rój”, wydawcy moich ksišżek, proszšc o niezwłoczniš wiadomoć, jak sprawy w istocie się miały w Europie: czy należało przerwać pobyt na Tahiti i natychmiast wracać do kraju? Helas, odpowied już nie zdšżyła przybyć na dalekš wyspę.

Tymczasem na Tahiti jak gdyby to była naprawdę wyspa wiecznej radoci i nieznišconej beztroski nikt poważnie nie brał europejskich tarapatów. Międzynarodowa ferajna, nie tylko Francuzi, Anglicy i Amerykanie, ale i Duńczycy, Norwegowie, także Niemcy z Rzeszy i Austrii, wszyscy oni szaleli jak zwykle, pili, wymieniali sobie vahine i wierzyli, że życie to nieustannie beztroska zabawa.

Pewnego dnia było to około 20 sierpnia Hutia po nieco dłuższym pobycie rano w Papeete owiadczyła, że była u dentysty i omówiła z nim sprawę wyrwania jej zęba i zastšpienia go złotym zębem.

Wyrwania zęba? ożywiłem się. Czy ciebie boli?

Nie. Ale musi być wyrwany, mówi dentysta...

Pokazała mi ów zšb, który był zdrowiuteński jak rydz. Wielu mieszkańcom wysp Oceanii, jak przy okazji wspominałem, już w młodym wieku fatalnie psuły się zęby, od kiedy zaczęli tu gospodarzyć biali ludzie, i bywali dwudziestoletni wyspiarze prawie całkowicie szczerbaci, ale Hutia stanowiła chwalebny wyjštek: wszystkie jej zęby były na razie nieskazitelnie zdrowe i czyste jak perły. Niemal wybuchnišem przyjaznym oburzeniem na jej niemšdry kaprys pozbywania się zdrowego zęba, by zadoćuczynić modzie Tahitan, przepadajšcych za złotymi zębami. Zresztš niesumienny dentysta, Francuz, dowiedziawszy

się, że Hutia żyła z popaa, białym mężem”, zażądał horrendalnie wysokiej ceny, stu dolarów.

Hutia! zawołałem na pół zrozpaczony. Nie czyń tego głupstwa! Nie pozbawiaj się takiego zęba...

Po raz pierwszy od czasu naszego poznania się Hutia była niezadowolona, spojrzała na mnie zdumionym wzrokiem.

Czy jeste skšpy? zapytała poważnie, jak gdyby odkrywała we mnie co niemile nowego.

Nie, nie jestem skšpy! zapewniłem jš. Ale szkoda zęba... Kupię ci pareo tak ładne, że dziewczyny będą ci zazdrociły...

Kupiłem piękne pareo, czyli czerwony materiał w olbrzymie białe kwiaty. Dziewczyny zazdrociły, Hutia już nie chciała złotego zęba, ale stała się nieco inna, jak gdyby mniej wesoła niż dotychczas.

Mnie także było coraz ciężej na duszy; wieci z Europy z każdym dniem się pogarszały. Czy tam powariowali, czy co? Hitler, cóż on chciał wyczyniać?

Dnia 2 września, z jednodniowym opónieniem, dotarła na Tahiti wiadomość o napaci wojsk niemieckich na Polskę. Już w drodze na pocztę ogarnęło mnie złe przeczucie: z lokalnego radiowęzła usłyszałem niezwykłš na ulicach Papeete melodię mazurka, a zaraz potem marsz żałobny Szopena. Wywieszka przed pocztš potwierdziła hiobowš wiadomość. Poczulem zawrót głowy, serce okropnie cisnęło, ziemia jak gdyby uciekała spod nóg. Potem nastala w mózgu złowroga martwota.

Nie pamiętam, kiedy i jak dowlokłem się na rowerze do Faaa. Padłem na łózko, musialem być bardzo blady. Hutia zaniepokoiła się tš bladociš.

Chyba nie umrzesz?! zakłopotala się wystraszona.

Nie! burknšłem słabym głosem, ale oschlej, nili chciałem. Nie bój się: nie umrę!

To dobrze! umiechnęła się.

Niedobrze!!

Wiadomość o napaci Hitlera na mojš ojczyznę dziwnie mało Hutię przejęła. Po prostu zabrakło dziewczynie wyobrani, by uprzytomnić sobie grożę tego wydarzenia. Od półtora wieku, jeli się nie myliłem, nie było tu wojen, a przedtem istniały tylko zamieszki, co prawda czasem krwawe, ale w wyniku jakich rodzinnych zatargów, jak na przykład między mieszkańcami Tahiti a ludmi z Moorei.

Więc trudno było Hutii wczuć się w moją sytuację i ból. Moich wyjanień słuchała jak tureckiego kazania; jej oczy pozostały puste i bez wyrazu. Sprawilo mi to przykroć, nawet rozdrażniało: zawiąło od dziewczyny dojmującą obcość. Wspaniała towarzyszka w ochoczych sprawach gospodarowania i frywolnego piewu, tańców i igraszek miłosnych, teraz zupełnie zawiodła; płytki umysł, na proste uciechy nastawiony, nie mógł pojąć nieco głębszych zawiłoci ludzkiego losu. Jakże inaczej zachowałyby się teraz polska dziewczyna, jakakolwiek Polka; wspólnie ze mną odczuwałyby tragedię narodu. Naraz spostrzegłem, jak brakowało mi dobrej, siostrzanej duszy i jak byłem osamotniony.

Jeste kłamcą!

Gdy następnego dnia popieszyłem do Papeete, nie było żadnych nowych wiadomości z Polski. Zbudziła się we mnie niemiała nadzieja, że napastnicy, może wyparci z granic kraju (co tyle razy przyrzekał nam Rydz-migły), znajdowali się w odwrocie na Berlin. Niestety, nowe wiadomości nazajutrz zadały kłam wszelkim nadziejom, i przeciwnie, obwieszczały o zwycięskim parciu naprzód hitlerowskich hord. Telegramy wymieniały polskie miasta: wróg zbliżał się do Bydgoszczy, od Rawicza parł na Poznań i zajął już Czemiń, od południa przeszedł przez Częstochowę i podchodził pod Łódź.

Zakotłowało mi się w głowie: pod Łódź?

Przecież Łódź leżała w centrum Polski. Więc tam już wtargnęli hitlerowcy?

Następne dni, przynoszące coraz gorsze wiadomości o daremnej, acz zaciętej obronie wojsk polskich, były dla mnie okresem niewymownej rozpacz i męki. Rozpacz tym boleńszej, że całe Tahiti, jak gdyby w Europie nie było wojny, wrzało nadal nieposkromioną uciechą, a w Faaa zewsząd dochodziły mnie z daleka nieustanne piewy i odgłosy wesołych libacji. Jak za najlepszych czasów, w barach Papeete roilo się od młodych Francuzów i Brytyjczyków w najbardziej poborowym wieku i dziwiła mnie ich wesoła beztroska: przecież kraje ich weszły już także w wojnę z Niemcami. Były to okropne dla mnie dni.

Gdy krótko po całkowitym opanowaniu Polski przez hitlerowców

doszły do Tahiti słuchy o tworzeniu przez generała Sikorskiego w Paryżu nowego rządu polskiego i o podjęciu dalszej walki z najedcš, postanowiłem najbliższym statkiem wracać do Europy i zacišgnąć się do tworzonego we Francji wojska polskiego. Ale zamiar okazał się na razie niewykonalny: Francja po wybuchu wojny wstrzymała wszelkš komunikację z Tahiti na czas nieograniczony i nie można było opuścić wyspy. Wojna, rzecz prosta, przerwała dopływ pieniędzy z Polski, skšd miesięcznie przysyłano mi sto piędziesišt dolarów. Na szczęście posiadałem nieco rezerw, około szeciuset dolarów, które, oszczędnie gospodarowane, mogły mi starczyć na szereg miesięcy pobytu na Tahiti. Oszczędność! Takie pojęcie nie mieciło się w pustej główce Tahitanki. Ogromnie ostrożnie napomknšłem Hutii o konieczności zmniejszenia wydatków na nasze życie, ale musiałem to kilka razy tłumaczyć na różne sposoby, zanim poczciwa dziewczyna zrozumiała, o co chodzi, a gdy zrozumiała zrobiła duże oczy, owe liczne, głębokie oczy, lecz w tej chwili pełne lęku i żalu.

To ty jeste biedny? stwierdziła krzywišc usta z niejakkš pogardš. Nie masz pieniędzy!

Ależ mam, mam! żywo zapewniałem jš. Tylko jestem bardzo smutny, bo wróg odcišł mi drogę z Polski, gdzie ginš moi bracia...

Ty jeste kłamacš! fuknęła.

Miała brzydki grymas na twarzy, jakiego dotychczas nigdy u niej

nie dostrzegłem.

Bój się Boga, Hutio, nie jestem kłamacš! zaklinałem się

miętko.

Jeste! Zawsze mówiła, że byłe jedynakiem i braci nie miała, a teraz pleciesz, że tam bracia twoi ginš. Jeste kłamacš!

Długo trwało, zanim jš udobruchałem, po czym dałem jej pienišdze, by rowerem pomknęła do Papeete i w chińskiej restauracji kupiła dwie porcje chop suoy oraz butelkę czerwonego wina na nasz kolację. Było popołudnie. Gdy po godzinie wróciła, przywiozła tylko jednš porcję chop suoy i nic więcej.

Nie chce mi się jeć! burknęła.

A wino?

Musisz oszczędzać wycedziła z niemiłym umieszkiem. Jakże Hutia się zmieniła po tej oszczędnościowej” rozmowie.

Gdzie podziała się łagodność mej dziewczyny, gdzie jej słodycz, jej zniewalajšcy wdzięk?

Nastąpiła noc, owa nasza noc”, o której Tuwim kiedy tak dosadnie piewał, i wydało mi się, że w objęciach odzyskałem znowu dawnš, oddanš Hutię: była rozpalona i w namiętnych uciskach jak gdyby rozwiewały się wszystkie złe nieporozumienia.

Ale następnego dnia znowu się boczyła. Jej dšsy działały mi na nerwy. Już nie mogłem nic pisać, Madagaskar odłożyłem do walizki. Jedziłem w tych dniach często do Papeete i którego dnia doznałem tam niezwykłego przeżycia: jak wiadomo, tu wszyscy wszystkich znali. Jaka tahitańska matrona nagle podeszła do mnie na ulicy, ujęła mnie oburšcz za głowę i pocałowała w policzki mówiąc: Vive la Pologne!” Miała ze wzruszenia zamglone oczy. Podziękowałem jej, całując ją w rękę, po czym ona bez słowa się oddaliła, zanim u przechodniów wywołałimy sensację.

W przeciwieństwie do starej Tahitanki Hutia była tego dnia szczególnie nieprzyjemna. Gdy wróciłem do bungalowu, owiadczyła, że wszystko tu się jej znudziło, że wszystkiego ma fiu i że ja jestem mechant, zły. Wiadomo, nie było na Tahiti gorszego wyroku na popaę niż to, że jest mechant. A najbardziej mechant był taki biały, który nie miał pieniędzy na wszystkie zachcianki swej dziewczyny. Więc zastałem Hutię już gotowš do odejcia ze spakowanym zawiništciem, wypchanym jej kieckami. Gniewna opuszczała mnie na stałe i tylko żsdała, żebym pożyczył jej rower, a odele mi go następnego dnia. Dostała rower i odjechała. Była w ostatnich dniach tak niemożliwa do zniesienia, że żegnałem ją z pewnš ulgš.

Gdy zostałem sam, odetchnšłem. Ogarnšł mnie wisielczy humor na mój pieski los. Przeżywałem w życiu dwie wojny, owš pierwszš wiatowš i teraz drugš, i za każdym razem los płatał mi najpaskudniejszego figła: pierwsza wojna zwichnęła mi studia uniwersyteckie i karierę naukowš, druga uniemożliwiła mi napisanie ciekawej ksižki o Tahiti, raj-piekle zachodniego wiata.

Pewien Czech i ja Polak

Przez dwa dni odpoczywałem po utrapieniach z małżeństwem tahitańskim”, lecz trzeciego dnia naszła mnie nieznona chandra osamotnienia. Pod wieczór pieniały się znowu nad Mooreš czerwone

chmury w zachodzącym słońcu i siały w przyrodzie i w ludzkim sercu tyle niepokoju i melancholii, że można było wyć z tęsknoty za dziewczyną: było to typowe dla Tahiti urzeczenie.

W poczłtkach padziernika udałem się do gubernatora i, zaraz przyjęty, poprosiłem go, by zechciał mnie, polskiego porucznika rezerwy, zapisać w pierwszej kolejności do powrotu do Francji. Obawiałem się, że władze gotowe wysłać najpierw setki młodszych poborowych Francuzów i Brytyjczyków.

Gubernator był jak gdyby zaskoczony moją gorliwością i rozbawiony wzmianką o tych setkach poborowych. Zapewniając mnie, że niepotrzebnie się obawiam, poinformował, że w ciągu najbliższych dwóch miesięcy nie oczekuje się żadnego statku z Francji. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że pomimo tak wielu młodych lowelasów w poborowym wieku, nikt nie kwapił się do opuszczenia rozpiwanej wyspy i wyjazdu do trapionej wojną Europy. Chciało dobrowolnie wyjechać z Tahiti tylko dwóch Europejczyków: pewien Czech i ja.

Wciąż nie mogłem otrząsnąć się z szoku z pierwszych dni wrzenia i niepokoiłem się o swe nerwy i stan ducha: bierne czekanie na statek przez miesiące oraz przygnębiająca samotność wśród rozchukanych wesołości ludzi mogły mnie całkowicie rozkleić. Nie chcąc do tego dopuścić, popłynąłem pewnego dnia na Mooreę i zawitałem do przyjaznej gospody w Temae. Tu już o wszystkim wiedzieli, co działo się w Papeete: o fiu, czyli historycznym kaprysie Hutii i o mojej niedoli Polaka. Raczej współczuli mi, jak owa stara Tahitanka w Papeete, więc bez trudu znalazłem nową dziewczynę. Była nią Pajpe, która z niechęci do swej kuzynki Hutii chciała zostać moją towarzyszką, pójść na Tahiti i gospodarzyć u mnie. Nieco starsza niż Hutia, miała blisko dwadzieścia lat, wietne ciało, ładną twarz, ale nad wyraz dzikie usposobienie. Była jak narowisty rebak, którego nie sposób okiełznać. Nie niosła osłody. Kiepsko znała język francuski, nie umiała być miłą Tahitanka.

Z bungalowu Deana, zbyt drogiego jak na moją ówczesną kieszeń, wyprowadziłem się do chaty u podnóża gór, między Faaa a Punavi. W owej chacie, pustej od dłuższego czasu, nikt nie chciał mieszkać, bo tu straszyły liczne demony tupapau. Pajpe ich się nie bała. Lubiła chodzić po zachwaszczonym ogrodzie, otaczającym

nasz chatę, i zbierać całe kosze dojrzałych pomarańczy, gojaw i papai. Nikt tych owoców nie jadł, gdyż rosły w zaklętym ogrodzie, ale dla nas nie były tabu; nam nie szkodziły, a wietnie smakowały.

Bungalow znikł mi z oczu

Nie wiem, jak spędziłem tygodnie czekania na statek do Francji. Nic wyranego nie robiłem, tylko często zaglądałem do Papeete, by rozerwać się w towarzystwie okrutnie beztroskich Anglików i Francuzów. Drażnili mnie, a jednak przyciśgali. Oczywiście w tym czasie nie pisałem ani słowa.

Pewnego wieczoru w listopadzie, w okresie dusznego skwaru na wyspie, rozpętał się nad Tahiti gwałtowny orkan. Burzył chaty, łamał drzewa, siekł ulewš, przewracał ludzi, wszystkim okropnie szarpał nerwy ale mnie szaleństwo żywiołów nie dopiekło; przeciwnie, sprawiło mi ulgę, po prostu wyszło na zdrowie. O północy orkan przeszedł i zapadłem w twarde sen, a gdy rano się przebudziłem i wieciło piękne słońce, przebudziłem się jak gdyby do nowego życia: opadły ze mnie melancholie i omroczenia. Przyjazne słońce, jak już tyle razy w życiu, napełniło mnie nowymi siłami. Po udręce ostatnich tygodni odczułem radość oddychania i wezbrała we mnie przyjemność patrzenia na wiat. Tak powoli otrzsałem się ze skutków tragedii wrzeniowej i oto napływała coraz bardziej chęć walki. Co tęzało we mnie. Europę po zdławieniu Polski zaległa cisza, ale nietrudno było przejrzeć, że to chwilowa cisza przed burzš, że to wstępn do wielkich zmagai. Tam coraz bardziej przywoływał mnie głos sumienia.

W owych dniach krzepnšcej ufnoci do siebie łagodniej oceniałem perypetie z Hutiš, nieodrodnš dziewczynš urzekajšcego Tahiti, i patrzyłem na tę przygodę już nie tylko pobłaźliwiej, ale i z humorem, i z pewnym umiechem, nawet cudacznym podziwem. Jakkolwiek by było, u boku kaprynego diablštka przeżyłem kilka tygodni sielanki, o jakiej nie niło mi się w najdziwaczniejszych marzeniach i jakiej doznało mało amantów na tym nie najdoskonalszym z padołów. Niedługo trwała uciecha z Hutiš, szybko diabli wzięli miłe nastroje, inaczej

9 Kobiety.

zrządził zawistny los, ale jednak owe radosne tygodnie w Faai, choć nieliczne, były przeżyciem co się zowie.

W chwilach największego strapienia przenikała mnie bolesna tęsknota za kim z Polski. Jakże mi brakowało dobrego przyjaciela z tamtych stron, jakże obecność polskiej dziewczyny mogłaby złagodzić ból i ułatwić wybrnięcie z duchowych tarapatów. Nie było jej, nie było żadnej Andry, bliskiej sercu. Była dokoła tylko dręcząca radość rozpiewanego Tahiti.

Póniej, ale jeszcze w czasie drugiej wojny światowej, z tego okresu powstanie poczciwa legenda, jak wszystkie legendy zawierająca półprawdę - półzmylenie, rzecz może słuszną w całości, przejawioną w szczegółach. Ujmijmy Polka, Ludwika Ciechanowieckiego, będzie snuł na łamach polskiej prasy w Nowym Jorku w czasie wojny balladowe opowiadanie o podróżniku: że dawniej piewały mu ryby w Ukajali, a teraz gwizdzą dokoła niego głębinowe pociski w odmętach Atlantyku... Że bardzo dziwny był ten człowiek i potrafił przyjaźnić się z mrówkojadami, pieścić kameleony. Ale że przede wszystkim był ciśnie Polakiem, odczuwającym odpowiedzialność wobec dalekiej, utraconej, Bóg wie na jak długo, ojczyzny... Wojna zastała go na Tahiti. Mógł być tam od biedy przetrwać do końca zawieruchy. Ale byłby nieszczęśliwy. Więc uciekł z tego rajskiego ogrodu do Francji, by zgłosić się do polskich szeregów. Nie darmo był Polakiem. Z tahitańskiego raju, gdzie noce i dni były jak bajka, kobiety jak kwiaty, a kwiaty jak motyle, wyгнаła go nieuleczalna polskość. Wyrwał się z objęć młodej Tahitanki...

Tak sławiła zacna ballada.

Chociaż było trochę inaczej z tą młodą Tahitanką, to nie ulegało wątpliwoci, że samo Tahiti nie zawiodło, okazało się wspaniałe. Nie można było nie poddawać się czarowi klimatu i krajobrazu, nie napawać się wonią kwiatów tiarę. Toteż gdy zbliżał się dzień mego wyjazdu z Tahiti w połowie grudnia, byłem ogromnie ciekawy, jak się zachowam w chwili wypływania z Papeete. Czy zbierze mi się na szloch, podobnie jak rzekomo wszystkim, wszystkim bez wyjątku, którzy opuszczali szczęśliwą wyspę, a opuszczając wrzucali do morza naszyjnik z kwiatów tiarę, by jeszcze powrócić kiedy do tego raju? Nie! Nie pójdę w lady angielskiego komendanta Wallisa, płaczącego na swój zgubę, ani w lady Bougainville'a i jego jurnych marynarzy, ani tych wszystkich innych pobekujących, nie pójdę w ich lady! Nie zapomnę

o cięgach, oberwanych od gniewnej licznoty Hutii, i do morza nie rzucę naszyjnika z kwiatów, bo po prostu nie będę go miał.

Zawczasu, na dwa tygodnie przed odjazdem, odesłałem nieporadnś dzikuskę Pajpe na Mooreę z odpowiednim cadeau-podarkiem, a gdy nadszedł ów ostatni dzień, taksówka zawiozła mój bagaż i mnie do portu. Na przystani przed statkiem był znowu tłum żegnających mieszkańców wyspy. Precisnśwszy się przez tłok, już chciałem wchodzić na trap statku, gdy z tłumy dobiegł mnie kobiecy głos:

Arkady! Arkady!

Oniemiałem: czyżby Hutia? Nie, to był kto miłszy, Reri. Dopadła do mnie z kilkoma rozszczebiotanymi młódkami i, rozemiane, nuż ciskać mnie a całować, a tarmosić za włosy.

Pozdrów ode mnie jego tam w Europie! zawołała Reri.

Kogo pozdrowić?

No, Genka!

Miała na myli Eugeniusza Bodo. Niestaly kochanek wciśz tkwił w jej sercu.

Może już nie żyje, może zginśł na wojnie! odrzekłem.

Żyje, żyje! zapewniła. Tacy jak on nie ginś!

A gdy wchodziłem na trap, Reri i jeszcze jaka dziewczuszka zarzuciły mi na szyję dwa wieńce z kwiatów tiarę.

Wnet statek odbił od przystani wród uniesionych okrzyków pożegnania i wród wymachiwań rśk. Powoli oddalalimy się od barwnego tłumy, w oczach rosła panorama miasteczka. Wyłaniał się coraz dobitniej wdziek górskiej scenerii Tahiti, tężało malownicze piękno wyspy. Do diabła, widok był przejmujścy, szedł od niego czar. Zarechotałem z siebie samego, gdy ciśgałem z szyi wieńce z kwiatów i, rozbawiony, rzucałem je do morza.

Stałem na rufie statku, nikogo nie było w pobliżu. Gdy odpłynęliśmy o milę od brzegu, odstłoniły się palmowe gaje w Faaa i wydało mi się, że dostrzegam pod palmami kokosowymi mój bungalow i chatę gospodarza Deana. Tego było już za wiele. Dobre zamiary wzięły w łeb. Rozpadła się brawura, nerwy zmiękły, doznałem wzruszenia. Stało się: renice zaszły mi wilgociś. ,’

Bungalow zatarł się w zamglonych oczach.

Potem statek powoli zmienił kierunek i niósł mnie już prosto na północny wschód, ku nowym brzegom i nowym przeznaczeniom w Europie.

Na zachodzie chmury nad Mooreš jeszcze płonęły zwykłym wieczornym szaleństwem. Patrząc na ich blaski, czując pod sobą drżenie statku, widząc zmianę kursu, nagle doznałem dziwnych uczuć. Zaciśnięciem pięci w przyplądzie nowych sił. Opuszczał mnie bezwład, wracała otucha, rosła radość życia. Stawałem się znowu sobą.

Q|-iq Słowo wstępne (Zdzisław Beryt)..... 5

O miłoci i o szkole..... 9

rzeczy Stefka..... 10

Odette o zapachu mleka..... 13

Wanda..... 19

Pietyzm wobec ojca..... 22

Gauguin..... 26

Janka Brejska..... 29

Pójdę z tobš”..... 32

Goršcokrwista Andra..... 34

Ryby piewajš w Ukajali..... 37

Dolores..... 40

Jeszcze raz o Dolores..... 43

Kanada 1935..... 45

Czajka..... 49

I love you, too!..... 51

Krystyna Skarbek..... 52

Ku Madagaskarowi w latach 1937/38..... 56

Benaczehina..... 60

Velomody..... 65

| | |
|--|-----|
| Sielanka..... | 69 |
| Kintana i Julietta..... | 73 |
| Bogdan Kreczmer i dziewczyna Sakalawka ... | 74 |
| Bark zwycięzca..... | 75 |
| Mroczny deszcz i jasne wspomnienia..... | 77 |
| Malgaska modelka..... | 80 |
| Liii Badmajcw..... | 82 |
| Papilio antenor i Sakalawka | 84 |
| Boska Korianka..... | 87 |
| Między jednš wyspš a drugš..... | 88 |
| Jak się masz, stary byku!..... | 94 |
| L' esprit de Tahiti” ;..... | 97 |
| Jeszcze o Tahitankach..... | 102 |
| Reri..... | 109 |
| Na wyspie Moorei.....: ... | 113 |
| Hutia radosna | 118 |
| Cień na sielance..... | 121 |
| Hutia gniewna..... | 122 |
| Jeste kłamcš..... | 125 |
| Pewien Czech i ja Polak.....Ś. . | 127 |
| Bungalow znikł mi z oczu..... | 129 |
| Prinied in Poland | |

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE POZNAŃ 1989 Wydanie I. Nakład 79 700 + 300 cgz. Ark. wyd. 8,4; ark. druk. 8,5 + 0,75 wkładek.

Druk ukończono w listopadzie 1989 r.

Zam. nr 13/89 K-8/483 Zlec. druk. 70763/89

POZNAŃSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE IM. M. KASPRZAKA

Poznań, ul. Wawrzyniaka 39